

PHILIP REEVE

Połączenie
Pratchetta
i Tolkiena
„The Times”


AMBER

GOBLINY

GOBLINY



PHILIP REEVE

Przekład:
TOMASZ KLONOWSKI



Korekta
Hanna Lachowska
Magdalena Stachowicz

Ilustracja na okładce
© Jonny Duddle, 2019

Tytuł oryginału
Goblins

The original edition is published and licensed by Scholastic
Ltd.

Text © Philip Reeve, 2012

Interior Map Illustration © Philip Reeve, 2012

Cover © Jonny Duddle, 2019

All rights reserved.

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiegokolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition

Copyright © 2019 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-7135-4

Warszawa 2019. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.

02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58
tel. 691962519

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Spis treści

Strona tytułowa

Karta redakcyjna

Dedykacja

Mapa

MROCZNA WIEŻA

STERTY PODCIEREK

JAKO MADRZEJSZE OD KURY

NIESZCZĘŚLIWE UPADKI

W LAS

MOST

HENWYN

SEROWAR Z ADHERAK

POŁUDNIOWE WROTA

KSIĘŻNICZKA

KŁOPOTY Z GOBLINAMI

GONITWA W RUINACH

SZEŚĆ GWIAZD W MIODOWEJ SAKWIE

MAPA STENORYONA

ZŁODZIEJ W CIEMNOŚCIACH

PORWANIE

MOKRADŁA NATTERDON

SMOCZYDŁO

MROCZNA DROGA W DÓŁ

ŚWIETLISTA DROGA W GÓRĘ

CIĘŻKIE KOMNATY

SMOKOROŻEC

KAMIENNY TRON

KRÓL LIKZ

PROBLEMY Z MAGIA

WSZYSTKO WALI SIĘ NA GŁOWĘ

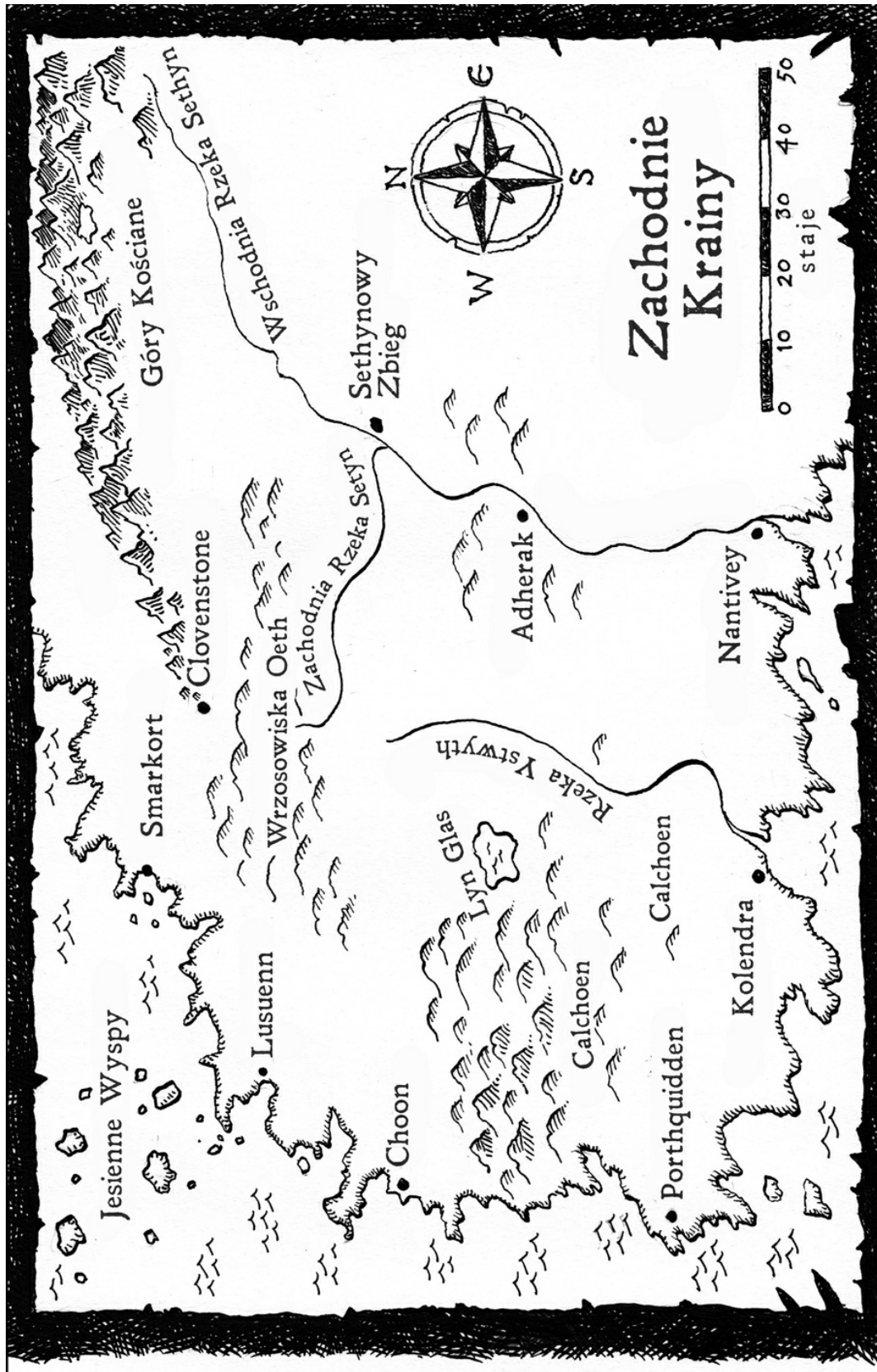
DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE

Podziękowania

Dla SAMA REEVE

Clovenstone





MROCZNA WIEŻA

W zachodnich krainach, gdzie ludzi żyje niewiele, a pradawna magia wciąż jeszcze przenika leśne ostępy, stoi starożytna forteca Clovenstone. Otaczają ją szerokie mury obronne, dziś po części leżące w gruzach, gęsto obrośnięte trawą i mchem. Na teren warowni wdarły się drzewa i dzikie strumienie, ponownie zasiedlając wąskie, porzucone uliczki i niszczące domy. To właśnie tam, w samym sercu dziczy, wznosi się grań zwana Meneth Eskern, najbardziej wysunięta na zachód część Gór Kościanych. Na jej szczycie góruje czarna Twierdza, o stromych ścianach i rogach z kamienia sięgających nieba. Dookoła tej złowroziej, mrocznej wieży, niczym skalista korona na wierzchołku grani, biegnie urwisty mur wewnętrzny, strzeżony przez siedem pomniejszych wieżyczek. Przed laty porzucone przez swych budowniczych, dawno zamieniły się w ruiny. Wśród zapadniętych dachów słychać już tylko ochryple krakanie kruków, a w gęstwie bluszczu, jak pchły w brodzie żebraka, czają się szkaradne gargulce.

Największa z siedmiu baszt znana jest jako Czarny Szpon. Choć nie może równać się z ogromem Twierdzy, która dominuje nad całą okolicą, wciąż przewyższa wszelkie wieże,

jakie znajdziecie w krajach ludzi. Od pokrytych śniegiem zębatych blanków aż po skalistą ziemię u stóp grani rozciąga się przyprawiająca o zawroty głowy przestrzeń. I nic dziwnego, upadek z takiej wysokości byłby naprawdę niebezpieczny...

Co bez wątpienia nie było dobrą wieścią dla Skarpera, który w tym właśnie momencie został wyrzucony z samego szczytu.

– Aaaaaaaa! – krzyczał wniebogłosy, wpierw wznosząc się coraz wyżej i wyżej, machając bezładnie rękami w rozpaczliwej próbie uchwycenia się powietrza, by wreszcie zawisnąć na chwilę i naraz rozpocząć gwałtowny upadek. – Aaaaaaaa... – Jednakże już po pierwszym tysiącu stóp, czy coś koło tego, zdał sobie sprawę, że wrzeszczy z czystego przyzwyczajenia i stwierdził, że właściwie mógłby przestać. Od tej pory jedynym dźwiękiem, jaki mu towarzyszył, był głośny wizg mroźnego powietrza w uszach, okazjonalnie przerywany miękkim pufnięciem, gdy przelatywał przez chmurkę.

„Oczywiście to nie samo spadanie mnie martwi” – myślał Skarper, z porażającą szybkością mijając kolejne omszałe kamienie i małe, złowieszcze okienka Czarnego Szpona. – „Problem pojawi się dopiero, gdy plasnę o ziemię...”.

Daleko w dole – teraz, gdy przywykł już do tego, że wiatr wbijał mu pazury w oczy – mógł dojrzeć bielutkie, puszyste obłoczki. Wyglądały zupełnie jak pulchne owieczki, tyle że pasły się w połowie drogi na ziemię. Pod nimi ponura podstawa Meneth Eskern rozpościerała się niczym rozczapierzona kamienna łapa, a między jej palcami tłoczyły się zrujnowane zabudowania, których gnijące dachówki i wyludnione brukowane alejki porastały zielsko i karłowate drzewka. Im bardziej wzgórze nachylało się do Murów Zewnętrznych, tym

chaszczce były gęstsze, a drzewa większe. Mniej więcej po pięciu stajach przekształcały się już w prawdziwy las, nad którym gdzieś tylko wystawały dachy starych stołpów i budynków gospodarczych, przywodząc na myśl samotne morskie wysepki.

To był właśnie świat Skarpera, a gdy tak teraz patrzył nań z wysokości, z zainteresowaniem zauważył, iż parę detali na słynnej Stenoryona Mappie Ziemi Wszelakich Clovenstone dość mocno odbiega od rzeczywistości. No, może nie aż z takim zainteresowaniem, jako że wszystkie detale bez wyjątku mknęły mu na spotkanie z zawrotną szybkością. Istniało wysokie ryzyko, że zanim zdoła z kimkolwiek podzielić się swoim odkryciem, rozplaska się na nich jak przypadkowo upuszczony słoik dżemu malinowego.

A zresztą to mapy, książki i inne takie dysertacje winne były tarapatom, w jakich Skarper się aktualnie znalazł. Już sama myśl przepełniała go rozgoryczeniem, obrzucił więc gniewnym spojrzeniem kruka, który akurat przelatywał mu przed nosem.

Skarper był goblinem, co kruk od razu poznał po jego bursztynowych oczach, pazurzastych łapkach, długich uszach łopoczących na wietrze i ogonie, który podczas upadku strzelał wokół jak rzemienny bicz. Jego pobratymcy zamieszkiwali wszystkie siedem wież Clovenstone. Lęgli się z górskich skał, zaślepieni chciwością oraz żądzą złota, srebra i wszelkich drogocennych błyskotek. Przez większą część swojego życia przeczesywali starożytne skarbce i opuszczone zbrojownie w poszukiwaniu klejnotów, a nieraz wykradali je sobie nawzajem lub goblinom z innych wież.

W zamierzchłych czasach gobliny służyły wielkiemu

czarnoksiężnikowi, Królowi Liczowi, który wznosił Clovenstone i stalową ręką rządził całym światem z Kamiennego Tronu, wysoko w komnatach Twierdzy. Minęły jednak niezliczone lata od Bitwy pod Dor Koth, kiedy to armie królestw ludzi pokonały hordy Króla Licza, a każda z siedmiu wież, odkąd pamięcią sięgają najstarsi z goblinów, stała się siedzibą poszczególnych goblinich plemion. Czasem plemiona z dwóch lub trzech różnych wież zawierały doraźne przymierze i hurmą wytaczały się z Clovenstone, by grasować po niewielkich królestwach ludzi na Pogryzionym Wybrzeżu, rabując wioski rybackie i górnicze przysiółki. Powszechnie jednak wiadomo, że gobliny nie należą do przesadnie ufnych ani uczciwych istot, nic więc dziwnego, iż te sojusze nigdy nie trwały zbyt długo. Każdy wypad grabieżczy kończył się zbrojną utarczką o łup, a zwycięzcy pośpiesznie wracali do wież, by zabarykadować swoje legowiska gruzem i starymi meblami.

Czarnym Szponem, gdzie mieszkał Skarper (a przynajmniej mieszkał dopóty, dopóki nie został wykatapultowany z jego szczytu tego właśnie ranka), władał wielki i wielce niebezpieczny goblin zwany królem Knoblerem, jego podwładni zaś znani byli w okolicy jako Czarna Ferajna. W całym Clovenstone nie było okrutniejszych szabrowników, bezlitońszych szachrajów ani pazerniejszych szubrawców. Bijatykę i rozbój mieli we krwi; bijatykę, rozbój i łakomstwo. A właściwie bijatykę, rozbój, łakomstwo i jeszcze więcej bijatyki.

Wszyscy poza Skarperem. Ponieważ Skarper był inny.

Stary Breslaw zauważył to już tego dnia, gdy Skarper przyszedł na świat. Breslaw również był inny. Stracił oko, ucho, nogę i spory kawałek ogona w napadzie na Pogryzione

Wybrzeże jakieś czterdzieści lat wcześniej. Był zaledwie w połowie tym samym goblinem, co w pełniejszych czasach. A jako że nie mógł już szabrować z resztą plemienia, król Knobbler powierzył mu opiekę nad świeżo wyklutymi szczeniakami.

Raz do roku, w noc, gdy rogi księżyca w nowiu zdawały się spoczywać na szczycie Twierdzy, Breslaw schodził w głąb przepastnych piwnic pod Czarnym Szponem, otwierał ciężkie, gęsto pokryte pajęczyną drzwi, po czym powoli toczył się na rozklekotanym, zgrzytającym wózku w dół spadzistych, pustych tuneli, które ciągnęły się głęboko pod Clovenstone aż pod mroczne korzenie góry, gdzie na samym dnie spoczywa wrzące jezioro lawy.

Tam, w kotłach ziemi, bulgotała i kipiała rozgrzana do srebrzystej białości, wzburzona magma. Jezioro co trochę wypływało niewielkie pecyny lawy, które zastygały w błyszczące czarne skały na ścianach i posadzce ogromnej jaskini. Ale raz w roku z jeziora wydobywało się coś jeszcze: skały lęgowe, owalne niczym skamieniałe jaja.

Owinięty mokrymi skórąmi, aby ochronić się przed okropnym żarem, który inaczej spaliłby go na skwarę, stary Breslaw kuśtykał w tę i we w tę, co chwila zbierając jaja przy użyciu długiej łopaty. Od czasu do czasu, poprzez gęste siarczane opary, mógł dostrzec sylwetki innych lęgomistrzów z pozostałych wież, patrolujących swoje skrawki wulkanicznego wybrzeża. Nigdy jednak ich nie zagadywał ani nie próbował przeszkodzić im w zbiorach. Każdy się smaży na swojej plaży – to jedno z nielicznych prastarych praw, wciąż jeszcze szanowanych przez wszystkie gobliny z Clovenstone.

Nigdy też nie zaglądał do wylotów wielkich kominów w stropie jaskini, które ponoć sięgały aż do samej Twierdzy. Kiedy Breslaw był zaledwie młodziakiem, uporczywe marzenie o spenetrowaniu wnętrza tajemniczej Twierdzy spędzało mu sen z powiek, z wiekiem zrozumiał jednak, że nie ma na to żadnych szans. Szajka Szalonego Manaccana z Krzywostropu podjęła kiedyś karkołomną próbę wdrapania się do góry po rusztowaniu skleconym naprędce ze starych desek podłogowych. Przedsięwzięcie spaliło niestety na panewce, gdy chybotliwa konstrukcja z głośnym szczękiem i chlupotem runęła w jezioro lawy, zanim którykolwiek z goblinów zdążył dojść wystarczająco blisko ziejących ciemnością dziur.

I tak Breslaw trzymał oko nisko na bazaltowej plaży, zgarniał do wózka ćmiące przytłumionym blaskiem kamienne jaja, po czym z powrotem turlał się stromymi tunelami aż do swojej komnaty w Czarnym Szponie, zwanej wylęgarnią. Tam układał skały lęgowe przy wielkim palenisku i doglądał ich, aż zaczęły lekko drgać, by za chwilę pęknąć...

Szczeniaki wyklute z tej samej partii jaj nigdy nie były do siebie podobne. Skarper także różnił się od rodzeństwa. W przeciwieństwie do ludzkich rodzin, a nawet całej człowieczej rasy, stworzenia zrodzone z podziemnych czeluści nie wykazują zbytniego pokrewieństwa. Zdawało się, że o różnorodności kształtów i rozmiarów współbraci Skarpera decydowała sama matka ziemia. Jedni mieli łuski, inni futro, a jeszcze inni spłaszczone świńskie ryjki lub szpiczaste nosy i powłóczyście uszy. Większość mogła poszczycić się ostrymi kłami i pazurzastymi łapkami, a przede wszystkim czarnymi, paciorkowatymi ślepkami, błyskającymi dziką radością, kiedy

malcy, wygrzebawszy się ze skorupki, po raz pierwszy ujrzeli niewielkie maczugi i malutkie ćwiczebne buzdygany, które Breslaw zostawił oparte o ściany wylęgarni. Komnatę wypełniały ochryple piski i podniecone okrzyki, gdy młode gobliny rzucały się po miniaturową broń i wnet zaczynały okładać się nawzajem po łebkach. Stary łęgomistrz przyglądał się temu rozgardiaszowi, z satysfakcją kiwając głową. Oto kolejne dziarskie, spragnione bitki chłopaki, które przyniosą dumę plemieniu króla Knobblera.

Aż pewnego razu zobaczył Skarpera. Był najmniejszy z miotu, miał długie, oklapłe uszka, gęste ryże futerko i rdzawą kitkę na końcu ogona. Jednak najbardziej nietypowe były jego oczy, pałające przenikliwym blaskiem. Breslaw spostrzegł, że dziwny mikrus trzyma się samotnie na tyłach wylęgarni, jakby przeczuwał, że oberwanie drewnianą pałką w świeżo wyklutą główkę może nie być najlepszym pomysłem.

Breslaw przeczesał resztki skał łęgowych, aż znalazł jeszcze ciepłe skorupki, z których wykluł się Skarper. Jak przypuszczał, pokrywała je gęsta siateczka z żył wolnego srebra. Wolne srebro: najosobliwszy i bez wątplenia najmagiczniejszy ze znanych metali. Połyskiwało niczym prawdziwe srebro, lecz dało się ugniatać jak modelina, a wystawione na pewien rodzaj ognia, wybuchało tajemniczym płomieniem. Od dawien dawna czarnoksiężnicy, tacy jak Król Licz, wykorzystywali je w zaklęciach. Dziś nie przynosiło zbyt dużego pożytku, wciąż jednak było błyszczące i rzadko spotykane, a więc kosztowne. A gobliny kochają wszystko, co błyszczące i rzadko spotykane, nie wspominając o kosztownym. Łęgomistrz schował migocące skorupki za pazuchę, zanim którykolwiek ze szczeniaków je

zauważył. Później wyciągnie z nich drogocenny materiał i zlepi z kulką wolnego srebra, którą trzymał potajemnie w skrytce w jednej ze ścian komnaty.

Minęły wieki, odkąd natknął się na skałę lęgową z taką obfitością wolnego srebra. Lata temu on sam, Breslaw, wykluł się z całkiem podobnego jaja. Nic zatem dziwnego, że w młodym Skarperze widział samego siebie; goblina bystrzejszego i przenikliwszego od innych. „Muszę go strzec jak ostatniego oka w głowie”, powiedział sobie.

I rzeczywiście, Skarper nauczył się mówić znacznie szybciej od braci z miotu, których Breslaw nazwał: Paplak, Walibrzuch, Buńczuk, Szarpacz i Głębciarz. Jedynie on z uwagą słuchał lekcji o goblinńskiej tradycji. Podczas gdy reszta walczyła o skrawki jedzenia w wielkiej, zatłoczonej sali, zwanej szamarnią, Skarper zawsze znajdował sposób, aby zwędzić najsmakowitsze kęski sprzed ryjków rozwrzeszczanej hałastry. Tłuste połcie mięsa i wonne kawałki sera, pokrytego jaskiniową pleśnią, przemycał chyłkiem poprzez opustoszałe korytarze i chwiejne drabiny Czarnego Szpona, aż znalazł jakąś ciemną klitkę, w której mógł posilić się w spokoju, przez nikogo niezauważony – poza Breslawem, który nigdy nie spuszczał z niego czujnego oka.

Breslaw był świadkiem, jak młody spryciarz wykradał przeróżne cacka i świecidełka innym goblinom, a potem chował je w licznych kryjówkach, aby cieszyć się nimi w wolnej chwili, gdy był pewien, że nikt nie patrzy.

„Przypomina mi mnie, gdy byłem szczeniakiem”, chichotał pod nosem stary lęgomistrz.

Pewnego dnia, gdy burza z hukiem przetaczała się przez Góry Kościane, a reszta plemienia na obwarowaniach łapała w sieci

kruki lub ciskała kamienie i przekleństwa na głowy szajki Szalonego Manaccana, Breslaw znalazł Skarpera w szamarni. Młodziak siedział bezczelnie rozwalony na tronie Króla Knobblera i wyjadał resztki z królewskiej miski.

– Co ty tu robisz? – zapytał łęgomistrz. – Czemu nie jesteś z resztą chłopaków? Dobrze wiesz, że kamienie same się nie rzucają!

Skarper wzruszył ramionami i wsadził tłustego pająka do ust.

– Deszcz zacina na wszystkie strony – powiedział, przeżuając. – Grad też. Tutaj jest sucho i ciepłutko. Tamci idioci marzną i mokną, a ja mogę spokojnie najeść się przy ogniu.

Na te słowa Breslaw wyprostował się na całą wysokość (mierzył dobre pięć stóp i sześć cali wzrostu, co jest bardzo imponujące jak na goblina), a jego oko zamigotało groźnie. Żaden szczeniak nigdy nie mówił w ten sposób do łęgomistrza od czasów... no cóż, pomyślał, od czasów, gdy on sam odezwał się tak do swojego łęgomistrza, starego Świszczyzadka, więcej lat temu niż był w stanie spamiętać.

Zamiast więc skrzyczeć zuchwalca i dać mu dydaktycznego łupnia drewnianą pomocą naukową, rzucił tylko:

– Chodź ze mną, młodzieńcze. – Po czym poprowadził go stromymi, krętymi schodami Czarnej Szpony do niemal zapomnianej komnaty u podstawy wieży. Gęste, zakurzone pajęczyny rozdarły się, gdy Breslaw pchnął ciężkie drzwi. – Patrz! – powiedział z dumą. – Oto Sterty Podcierek!

STERTY PODCIĘK

Rozległe kazamaty Clovenstone wypełniała nieprzeliczona mnogość komnat, alkierzy i zakamarków. Wielkie, rozsypujące się, opustoszałe budowle cisnęły się u stóp Twierdzy, a goblinscy zwiadowcy nie musieli zapuszczać się daleko od Czarnego Szpona, nim natrafili na stołp lub magazyn, jakiego nigdy wcześniej nie widzieli. Niektóre z tych pomieszczeń po brzegi wypełniały skarby. Wszelkie klejnoty wnet rabowano; wydzierano sobie nawzajem z łap, by w końcu zanieść je w górę schodów do króla Knobblera, który najlepsze fanty zostawiał dla siebie, a resztą obdarowywał ulubionych chłopaków z ferajny. W innych można było znaleźć gnijące kotary i butwiejące gobeliny (idealne na goblinie ubranka), ciężkie sprzęty i masywne meble (w sam raz, by przerobić je na broń), starożytne miecze i topory (jeszcze lepsze jako broń), czy choćby żeliwne garnki, miedziane patelnie i mosiężne kociołki, które gobliny z Czarnego Szpona skwapliwie wyklepywały na hełmy, puklerze i zbroje. Jeszcze inne miejsca zamieszkiwały kolonie czarnych szcurów, tak smacznych, że palce lizać. W pozostałych zaś zalegały kości ludzi i goblinów, a także szkielety nieodgadzionych pradawnych bestii, z których wciąż można

było ugotować zupę, czy ewentualnie zamienić na cieszące oko ozdoby (albo jeszcze więcej broni). Bywało jednak i tak, że czasem gobliny natknęły się na obiecującą, okutą skrzynię lub zamkniętą na cztery spusty komnatę, które po otwarciu ujawniały zaledwie sterty pożółkłych, cienkich, szeleszczących przedmiotów, pokrytych mrowiem czarnych znaczków. Te jednogłośnie uznano za bezużyteczne. Wiele z nich odkryto w samym Czarnym Szponie, a wszystkie co do jednego wrzucono do opuszczonego składowiska w pustej pieczarze. „Podcierki” – tak nazwały je gobliny, i czasem zabierały garść do wychodka, ale przeważnie nikt ich nie ruszał, bo gobliny rzadko podcierają zadki.

To właśnie do tego składowiska Breslaw zaprowadził młodego Skarpera. Na posadzce w wielkich stertach spoczywały rozrzucone podcierki, pomiędzy którymi gdzieniegdzie dało się dostrzec wijące bielaki – paskudne, blade robale. Na stalaktytach u powały jaskini drzemały ślepe nietoperze albinosy z Clovenstone, a ich luminescencyjne odchody rozświetlały pomieszczenie mdłym, błękitnawym blaskiem. Stos podcierek był dziesięć razy większy od Skarpera i równie śmierdzący co sam król Knobler. Niższe warstwy dawno już zamieniły się w kompost, ale na górze wciąż leżały hałdy książek, papierów, map, listów, dokumentów, rycin i rysunków.

– I co to ma być? – spytał Skarper, który nigdy dotąd nie widział nic podobnego.

Breslaw od razu się zorientował, jak dobrze zrobił, że przyprowadził go tutaj. „I co to ma być?” było najżywszym wyrazem zainteresowania, jaki którykolwiek z goblinów okazał podcierkom, odkąd został lęgomistrzem. Starzec wygrzebał ze

sterty ciężkie, oprawione w skórę tomiszczę, zeszkrobał z wierzchu nietoperze guano, po czym, otworzywszy je, pokazał Skarperowi postrzępione strony.

– Widzisz te ciemne fikuśne robaczki? Mienczaki zwą je lakierami – wyjaśnił. – Kiedy jest dużo lakier naćkanych razem, nazywa się to słomami. Wszystkie one to nic innego jak słoma. Pewnikiem dlatego, że są cienkie jak źdźbła słomy, chociaż czarne i nie wypchasz nimi siennika. A gdy jest wielkie mnóstwo takich słomów na mnóstwie różnych podcierek, zszywa się je do kupy, pakuje w takie skórzane klapki i wtedy mamy gzięgi. Tak się to nazywa: gzięgi.

Podał Skarperowi gzięgę, a sam wyciągnął z kopca duży, zwinięty w rulon arkusz podcierki. Rozłożywszy go na ziemi, wskazał masę plamek i wiotkich kleksików z wciśniętymi pomiędzy nie słomami.

– To zwiemy mapą – tłumaczył dalej. – Wszystkie te kreseczki to obrazki, widzisz? Całość to jakby obrazek wielgachnej dziedziny Clovenstone. Kiedy mienczaki żyły tu w przedczasach, używały takich map, żeby się nie zgubić. Spójrz – postukał pazurem przy środku mapy – tu mamy Czarny Szpon.

Skarper uważnie przyjrzał się liniom i zobaczył, że Bresław ma rację. Rozpoznał szpiczasty zarys Czarnego Szpona, a tuż obok sąsiednie wieże: Czerwony Kaptur, Krzywostrop, Surową Grań, Natterdon, Srogoszcic i Wyjca. Łączył je nieregularny pierścień Murów Wewnętrznych, okalający samą Wielką Twierdzę. Każdy goblin bez większych trudności poznałby wydłużone sylwetki baszt, jeśli tylko zechciałby na nie spojrzeć. Jednakże poza Skarperem i Bresławem żaden nigdy nie miał ochoty. A już na pewno żaden nie wpadłby na to, co pomyślał

Skarper, gdy tak patrzył na czarne słoma wypisane na mapie. „Słoma obok Surowej Grani i Srogospiczu zaczynają się dużym, falistym znakiem w kształcie S. A tutaj, w środku Krzywostropu, jest taki sam, tylko mniejszy. Może więc taki zawijas znaczy „Ssss”. Skoro tak, to inne znaczki muszą odpowiadać innym dźwiękom...

(„Żałuję, że kiedykolwiek rzuciłem okiem na tę piekielną mapę!” – jęczał teraz Skarper, jakieś dwa tysiące stóp nad ziemią).

Ale rzucił obojętnie oczu i tak zaczęła się cała heca. Od tamtej pory, podczas gdy reszta goblinów szła wykradać ptasie jaja z gniazd na blankach Czarnej Szpony czy ćwiczyć bitkę wśród ruin, Skarper zawsze znajdował sposób, żeby niepostrzeżenie wymknąć się do komnaty z podcierkami. Tam, w świetle nietoperzych bobków, którymi smarował sobie nos, by lepiej widzieć, z zapartym tchem studiował tajemnicze lakiery, słoma i gziegi. Zanim minęło kilka księżyców, nauczył się czytać, wykorzystując nazwy na mapie w charakterze klucza. W ten sposób wykoncypował, jakie brzmienie mają poszczególne lakiery. Wkrótce zrozumiał, że „lakiery” to tak naprawdę litery, „słoma” to słowa, a „gziegi” to nic innego jak księgi. Była nawet księga zwana Słownikiem, w której wypisano całe listy słów, a przy nich jeszcze inne słowa, objaśniające ich znaczenie. I tak Skarper poznał słowa, o jakich innym goblinom się nawet nie śniło, na przykład życzliwość albo altanka.

A w stosie znaleźć można było jeszcze inne księgi. Księgi zawierające całutkie historie, chociaż czasem bez zakończenia, wygryzionego przez robaki-bielaki. Jednak nawet gdy opowieści były nienaruszone, Skarper nie wiedział, które są prawdziwe, a

które nie. Na przykład, czy rzeczywiście ktoś zwany księciem Brewyon z Tyr Trewas został wzięty do nieba przez chmurzanę, która zapalała do niego miłością? Skarper podejrzewał, że chmurzanny nie istnieją, nie był też do końca pewny czegoś takiego jak „książę”, chociaż w różnych tekstach było ich całkiem sporo. Na dodatek książę Brewyon pojawiał się w wielu historiach, przeważnie walcząc z gigantami i trollami, albo ratując coś określanego jako „księżniczka”.

Nietoperze załatwiały się na Skarpera; jaskiniowe pająki łąziły mu po stopach; z góry dobiegały dźwięki rozróby, gdy starsze gobliny kłóciły się o skarby z ostatniego rajdu; a gdzieś z oddali długi, przeszywający krzyk oznajmiał, iż jeden z młodziaków wykradających jajka stracił równowagę i spadł w przepaść. Skarper na żadną z tych rzeczy nie zwracał jednak uwagi. Stare księgi do tego stopnia go pochłonęły, że odpłynął daleko od Czarnego Szpona i warownych murów Clovenstone, poszybował w niezbadane, zagadkowe tereny pełne cudów i ekscytujących tajemnic.

Jedynym miejscem, które księgi zdawały się pomijać, było samo Clovenstone. Nie wspominały o nim prawie nigdy, poza paroma lakonicznymi wzmiankami to tu, to tam: „Króla Licza mroczne siedliszcze, Clovenstone zwane” albo „Clovenstone, Kasztel Rozpaczy”. Wszystko, czego dowiedział się na temat Clovenstone, znalazł na mapie, która nosiła, jak już wiedział, wdzięczne miano Stenoryona Mappa Ziem Wszelakich Clovenstone. Musiała powstać całe wieki temu, ponieważ zaznaczono na niej drogi i budowle od dawien dawna zniszczone, bez kniei i bagien tuż poza Murami Zewnętrznymi, i z nienaruszoną wieżą Natterdon, która zawaliła się przed laty.

(Gobliny nie lubiły rozmawiać o tym incydencie). Te strzępki informacji wystarczyły jednak, by Skarper zaczął się zastanawiać, jak takie ogromne tereny, które nazywa domem, mogły nagle popaść w ruinę.

JAKO MĄDRZEJSZE OD KURY

Zafascynowany okruszkami wiedzy, które znalazł w starych woluminach, Skarper tęsknił za kimś, z kim mógłby się nimi podzielić. Gdyby tylko w Czarnym Szponie znalazł się choć jeden goblin podobny do niego; ktoś, z kim mógłby porozmawiać...

Początkowo zwierzał się Breslawowi, ale po jakimś czasie zauważył, że stary łęgomistrz pilnie go obserwuje, a więc sam począł pilnie obserwować łęgomistrza. Wkrótce odkrył, że Breslaw wykradł wolne srebro ze skorupki jego jaja, a raz nawet zdołał zobaczyć błyszczącą kulę, ukrytą w ścianie wylęgarni. „Część tego pochodzi z mojego jajka”, mruczał pod nosem. „I powinna być moja”. Myśl ta wprawiała go w takie oburzenie, że czasem zastanawiał się, czy nie ukraść srebrnej kuli i nie schować we własnej skrytce. A przynajmniej zastanawiał się dopóty, dopóki nie przypomniał sobie, że Breslaw wyklął się w tym samym miocie co król Knobbler, byli zatem braćmi (starzec często przechwalał się, że to on byłby królem, gdyby nie brakowało mu tego i owego). Młodziaki, które zebrały się na odwagę, żeby okraść Breslawa, zawsze trafiały na czarną listę króla Knobblera i czekał je smutny koniec. „Głupio

byłoby zostać wykatapultowanym ze szczytu wieży”, powtarzał sobie Skarper.

Nie, nie okradało się takiego szczwanego lisa jak stary Breslaw. Ale też nie można było mu ufać. A już na pewno nie należało mu przekazywać informacji, od których stałby się jeszcze szczwańszy.

Zamiast tego Skarper robił, co mógł, by dzielić się swoją wiedzą z własnymi braćmi.

– Ludzie tam w dole nie wykluwają się z kamieni jak my, gobliny – zagadnął jednego wieczoru podczas wyżerki w szamarni. – Właśnie dlatego mówimy na nich mięczaki. Rodzą się z brzuszków stworów, zwanych „paniami”.

Bracia Skarpera byli tak zdumieni, że paru z nich przestało na moment się obżerać.

– Co? – spytał Paplak.

– Sardynki! – wykrzyknął Walibrzuch. („Sardynki” było to jedyne słowo, jakiego kiedykolwiek używał. Nikt nie wiedział dlaczego, ani co miało ono oznaczać. Walibrzuch był tak duży i walił tak mocno, że nikt nigdy nie pytał).

– Nie dziwota, że mienczaki som mienkie jak nietopyrze – zauważył rezolutnie Głębierz.

– Co to „paniami”? – zainteresował się Szarpacz.

– Panie – wyjaśnił Paplak – to te, co mają długie włosy.

Był największy z miotu i zdążył już zaliczyć kilka wypadów do osad ludzi z Pogryzionego Wybrzeża; lubił przechwalać się znajomością odległych terenów.

– Piszczą piskliwiej niż inne mienczaki. Nie lubię takich pisków. Uszy bolą, jak... jakby...

– Paznokcie skrobały tablicę? – podsunął Skarper.

Pozostali zamrugali niepewnie.

– Co to „paznokcie”? – spytał Buńczuk.

– Co to „tablica”? – spytał Głębkiarz.

– Co to „skrobały”? – spytał Szarpacz.

– Sardynki! – wykrzyknął Walibrzuch.

– Plecie bzdury – rzucił w końcu Paplak z wyższością. – Widziałem te „panie”. Wcale nie większe od innych mienczaków. Mniejsze nawet. W ich brzuskach nie ma dość miejsca na dorosłego człowieka.

– Ludzie nie rodzą się w pełnym rozmiarze – westchnął Skarper. – Najpierw są mali, a potem rosną, tak samo jak my, gdy wyklujemy się z jajek.

– A ja urosłem najroślejszy! – oznajmił z dumą Paplak, korzystając z okazji, by zmienić temat na taki, od którego nie kręci się pod sufitem. Dla podkreślenia swoich słów naprężył mięśnie, po czym łupnął łbem Szarpacza o stół, rozbryzgując wszędzie jego kolację. Szarpacz natychmiast zerwał się na równe nogi i spróbował zdzielić Paplaka drewnianą łagą, ten jednak uskokzył, tak że pałka z hukiem wylądowała na nosie Buńczuka. Rozsierdzony Buńczuk ugryzł Paplaka; Głębkiarz dźgnął Szarpacza widelcem, a Walibrzuch rozbił o głowę Buńczuka stół. Westchnąwszy głęboko, Skarper zabrał miskę pajęczej potrawy i cichcem wymknął się do komnaty podcierek, by dokończyć lekturę. Trochę żałował, że nie może bawić się z braćmi, ale zdawał sobie sprawę, że coraz mniej ma z nimi wspólnego. Po prostu wiedział znacznie więcej niż oni...

Koniec końców, rozważał, spadając na ostre skały, cała ta wiedza nie przyniosła mu nic dobrego. Wręcz przeciwnie, to ona była przyczyną jego upadku. Kiedy wiesz tak dużo, trudno

jest trzymać język za zębami i nie poprawiać innych na każdym kroku. A jak się okazuje, nie zawsze jest to dobrym pomysłem...

Niesiony i smagany gwałtownymi porywami wiatru, który z hukiem odbijał się od górskiej ściany, Skarper przypomniał sobie wczorajszy wieczór i wielki plemienny wiec, zwołany przez króla Knobblera w szamarni.

Zebrały się tam wszystkie gobliny, od najsilniejszych wojowników po zakatarzone szczeniaki. Król, wspaniały w pełnej zbroi, stał w blasku paleniska na swoim krześle, przeznaczonym specjalnie do królowania. A należy zaznaczyć, że król Knobbler był najprawdziwszym olbrzymem, prawie sięgającym dorosłemu człowiekowi do ramion, co było głównym powodem, dla którego mógł zostać wodzem goblinów.

Jego sroga, pobrużdżona twarz naznaczona była bliznami z niezliczonych najazdów i bitew, a czarna przepaska zasłaniała odcięty nos. Oczy pały mu wewnętrznym blaskiem, gdy z przejęciem wołał ochrypłym głosem:

– Wspaniałe wieści, moje chłopaki! Jutro w nocy napadniemy na wschodnie wieże razem z szajką Szalonego Manaccana i Czapeczkami Chilli z Czerwonego Kaptura!

Wschodnie wieże – Surową Grań, Srogoszcic i Wyjca – zamieszkiwały nad wyraz bezczelne gobliny, które ostatnio ważyły się nawet rabować zbrojownie w cieniu Czarnego Szpona. Nadszedł czas, by dać im porządny wycisk, nie mówiąc już o tym, że ich siedliska też pewnie obfitowały w najrozmaitsze skarby. Uczestnicy napadu na trzy krnąbrne baszty powinni się nieźle obłowić. Czarna Ferajna wzniosła więc radosne okrzyki, spotęgowane przez akustykę kamiennej sali.

Stary Breslaw, stojąc po królewskiej prawicy, pokiwał aprobująco głową. Pomysł łupieżczej wyprawy był oczywiście jego. Knobbler wraz ze swoimi kapitanami byli postawni, dobrze się bili i mieli parę w łapach, ale jeśli chodzi o myślenie, to nie szło im ono zbyt dobrze. To Breslaw zawsze opracowywał wszelkie plany. Tak długo, jak miał kabzę pełną złota, nie przeszkadzało mu, że Knobbler sobie przypisuje jego zasługi. Teraz zaś wyciągnął połamany parasol i spróbował osłonić się przed królewską śliną, którą podekscytowany Knobbler prychał na głowy poddanych, krzycząc dalej ile sił w płucach:

– Damy tym wschodnim knypkom niezły wycisk i wyrzniemy je co do nogi, a potem zgarniemy ich złoto i srebro, i inne kłamotoy! A wy, moje chłopaki, będziecie na samym czele; młot Czarnego Szpona! Pokażemy Szalonemu Manaccanowi i tym papryczakom, że Czarna Ferajna nie ma sobie równych! Jesteśmy naj... naj... najstrachliwszymi lądowymi piratami w Clovenstone!

I właśnie w tym momencie Skarper, z głową wprost pękającą od faktów i nieznanym słów, uniósł szpon w górę.

Król Knobbler spostrzegł ruch i zająknął się. Został wybity z rytmu do tego stopnia, że zapomniał, co miał wykrzyknąć dalej. Jego groźne, złote ślepia spoczęły na Skarperze. Z charknięciem pochylił się w przód, uważnie mierząc wzrokiem chłystka, którego dotąd nie zauważał, a który ośmielił się na coś, czego nie zrobił jeszcze żaden goblin: przerwał mu w pół słowa. Blask ognia odbijał się od jego kolczastego pancerza i ostrych kłów w kolorze herbaty.

– Co? – wycharczał król.

– Nie ma czegoś takiego jak lądowi piraci, wasza wysokość –

wyjaśnił niepewnie Skarper. Wyczuł już, że popełnił wielką pomyłkę, ale nie miał jak się wycofać.

Oczy króla goblinów rozjarzyły się jeszcze mocniej, zupełnie jakby ktoś podsycał za nimi płomień. (Głęboko pod korzeniami Gór Kościanych podobnym blaskiem pałało jezioro lawy).

– Napadamy ludzi – wycedził przez zęby. – Rozwalamy drzwi, palimy domy, mordujemy, rabujemy i wracamy z łupem. Czym jesteśmy, jak nie piratami?

– No cóż, piraci przeważnie rabują na morzu – wytłumaczył Skarper. Z każdym kolejnym słowem głos stopniowo wiązał mu w gardle, ale wciąż był wyraźnie słyszalny w pełnej napięcia ciszy, jaka zaległa w jaskini. – Jesteśmy bandytami, wasza królewska ogromność. Albo rozbójnikami.

– Rozbójnikami? – powtórzył Knobler.

– Tak, wasza wyśmienitość. „Rozbójnik – rzeczownik: ten, kto uprawia rozbój, napada na kogo, bandyta, zbój, opryszek. Zazwyczaj członek bandy lub gangu”.

Definicja słowa „rozbójnik” przytoczona ze Słownika zwała króla z nóg niczym celny cios młotem bojowym. Nie do końca rozumiał, co zostało właśnie powiedziane, ale w jego uszach brzmiało to zupełnie jak mowa mienczaków. „Czy mienczaki kiedykolwiek zrobiły coś dobrego?”, pytał często poddanych, a potem wykrzykiwał razem z nimi: „Nic a nic!”. (Tak naprawdę jeden z wynalazków mienczaków niezmiernie mu imponował. W skrytości ducha zachwycał się ich majtkami: takimi wygodnymi, milutkimi i ciepłutkimi. Podczas jednej z wypraw ukradł parę różowych bawełnianych majtek w kropki, rozmiar XL, z wykończeniem z falbanki. Nosił je codziennie, żeby ochronić tyłek przed mroźnymi przeciągami, jakie hulały po

Czarnym Szponie. Nie wspominając, że dzięki takim majtkom o wiele wygodniej było siedzieć na twardym królowym krześle. Oczywiście bardzo się pilnował, żeby nikt ich nie zauważył. Nosił je zawsze skrzętnie ukryte pod zbroją i portkami z koziej skóry. Nie można było dopuścić, by jego chłopaki zobaczyły go w falbaniastych różowych majtasach).

Nie można też było dopuścić, aby pyskował mu taki niewyrośnięty szczawik jak Skarper. Gobliny z Czarnego Szpona tolerowały jego królowanie, ponieważ bały się okrutnej kary, która czekała każdego, kto by mu podskoczył. Knobbler przez chwilę wpatrywał się w Skarpera groźnym wzrokiem, rozważając, jak ukarać paskudnego impertynenta.

Na szczęście nie musiał myśleć zbyt długo. Mieszkańcy Czarnego Szpona mieli odwieczną i szacowną tradycję, wedle której radzono sobie z zuchwałymi, buntowniczymi lub niechcianymi szczeniakami.

– Na karapultę z nim! – ryknął Knobbler.

NIESZCZĘŚLIWE UPADKI

Karapulta stała w najwyższym punkcie Czarnego Szpona, odkąd najstarszy z goblinów sięgał pamięcią. Zaprojektowano ją jako maszynę obronną, miotającą głązy i kotły wrzącego oleju na wrogie armie, jednakże od dawien dawna żadne armie nie oblegały wieży. A jeśli zdarzyło się, że inne plemię szukało guza, chłopaki króla Knobblera po prostu zrzucali im na głowy kamienie przez okna. Teraz karapulty używano już tylko do zabawy, a dla goblinów nie było nic zabawniejszego, jak za karę wystrzelić krnąbrnego szczeniaka wysoko w powietrze, a potem patrzeć, jak spada daleko, daleko na ziemię.

Machina wykonana była z drewna, kamienia, żelaza, kości, starych stempli górniczych, skór kopalnianych kuców, a także przeróżnych gratów, które gobliny zdołały wtargać po stromych schodach na sam szczyt wieży. Pokrywała ją gruba płachta śniegu, a z jej długiego ramienia zwisały lodowe sople. Skarper przez całą noc dygotał z zimna, skrępowany sznurem i wciśnięty w głęboką łychę.

Król Knobler najchętniej wystrzeliłby go jeszcze tego samego wieczora, ale było już dość ciemno i inne gobliny narzekały, że nie będzie widać, jak spada na pewną śmierć, co

było przecież głównym punktem programu.

– Można by go wprawdzie podpalić – zasugerował ktoś, ale północny wiatr dął tak silnie, zrzucając z wieży cienki, wilgotny śnieg, że wykonanie tego bystrego pomysłu okazało się wręcz niemożliwe. Nie pozostało nic innego, jak zostawić związanego Skarpera i wrócić do szamarni, a egzekucję dokończyć rano.

„A co, jeśli jutro będzie mgliście?” – zastanawiał się Skarper, niewygodnie skrępowany, lekko przypalony i pełen żalu. Spojrzał na wielki masyw Twierdzy, górującej na nocnym niebie i skąpanej w nieprzenikniętych ciemnościach. Czasem, gdy wichura słabła na chwilę, dało się dojrzeć puste, ciemne wykusze i nagie blanki.

Prastara Twierdza Clovenstone, pozbawiona drzwi, niezbadana, nieodgadniona, pełna tajemnic. W niczym nie przypominała murów i wież, którymi ją otoczono: była o wiele starsza i nie zbudowano jej z poszczególnych kamieni. Wyglądała raczej na wyciosaną z surowej skały. Bywało, że gobliny próbowały dostać się do środka w poszukiwaniu skarbów, nikt jednak nie znalazł wejścia. Wraz ze śmiercią Króla Licza wszystkie okna i drzwi Twierdzy samoistnie pokryły się ciężką skorupą mrocznego liczego kryształu, którego nie mógł zniszczyć ani sforsować żaden śmiertelnik. Bez względu na to, jak usilnie by próbować, nie zostałyby na nich ślady. Wszelkie cuda i bogactwa Twierdzy zostały zapieczętowane na zawsze.

Oczywiście, goblinie legendy opowiadały o strasznych stworach, które wciąż żyły wewnątrz Twierdzy: wiernych sługach Króla Licza, czekających na jego powrót. Skarper nigdy w to jednak nie wierzył... przynajmniej aż do teraz. Gdy tak usilnie wpatrywał się w ciemność, próbując wyobrazić sobie

zimne, okrutne ślepie patrzące na niego z góry, mógłby przysiąc, że na chwilkę, króciutką chwilkę, jedno z pustych okien rozjaśniło się niezwykłym blaskiem.

Śnieg zawirował jednak z powrotem, przesłaniając widok, a wraz z nim wróciły rozterki Skarpera związane z mgłą. „Jeśli dzień będzie mglisty, nie będzie widać, jak spadam; będą musieli poczekać, aż się przejaśni...” Czasami mijały tygodnie, zanim mgła zniknęła ze szczytu Czarnej Szpony. Mógłby umrzeć z głodu w łyżce karapulty, czekając na lepszą pogodę. Zastanawiał się, czy głodowa śmierć jest lepsza od rozpaćkania się na skałach u stóp wieży, ale jakoś nie mógł zdecydować. Ogarnięty zmartwieniem, odpłynął w niespokojny sen.

Szczęście mu jednak sprzyjało... albo całkowicie go opuściło. Zależy, jak na to spojrzeć. Następnego ranka dzień wstał jasny i pogodny. Ledwo słońce weszło nad wschodnimi wieżami, z Czarnej Szpony wytoczyła się czereda goblinów, rozochoconych nadchodzącym widowiskiem. Łajniak, prawa łapa króla Knobblera, rozciął pęta więźnia, żeby po wystrzeleniu zabawnie machał rękami i nogami. Paplak, Szarpacz, Głębierz i Buńczuk przyjmowali zakłady o to, ile czasu zajmie ich słabowitemu braciszкови dolecenie do ziemi, i czy po drodze nie obije się o coś ciekawego.

– Sardynki! – krzyczał raz po raz Walibrzuch.

Lęgomistrz Breslaw ze smutkiem potrząsał głową.

Król Knobler dobył miecza. Był to iście imponujący oręż o szerokim, obosiecznym ostrzu, a chociaż nie zdobiły go tak misterne ornamenty jak niektóre miecze z legend, zdawało się, że drzemie w nim jakaś posępna magia. Mówiło się, że jest w stanie przeciąć litą skałę na pół. Knobler zasłyszał skądś, że

bohaterowie i królowie ludzi zwykli nadawać swojej broni imiona, więc i on nazwał własny miecz: „Pan Rach-Ciach”. Uniósł go teraz wysoko nad głowę, tak że krwistoczerwony wschód odbijał się w ostrzu.

– To za to – zakrzyknął – żeś mądrzejszy od kury!

Pan Rach-Ciach świsnął w dół, przecinając linę spustową karapulty. Długie ramię zakończone łychą wystrzeliło do przodu i z głuchym huknięciem uderzyło o drewnianą obudowę. Sople lodu rozprysły się na miriady kawałków, które pięknie dźwięcząc, poszybowały w powietrze. A Skarper poszybował w ślad za nimi. Tak samo jak setki innych krnąbrnych szczeniaków przed nim, wyleciał w przestworza nad wieżą.

– Aaaaaaaa... – jęknął, wznosząc się coraz wyżej.

Rozległy się gromkie wiwaty, a gobliny wnet rzuciły się do krawędzi dachu, by lepiej widzieć jego upadek.

Skarper spadał coraz niżej, niżej i niżej, otoczony chmarą lodowych odłamków. Czasami spadał głową w górę, czasami głową w dół. Ten drugi wariant był znacznie gorszy, ponieważ w miarę jak ziemia się zbliżała, pomiędzy chmurami mógł dojrzeć roztrzaskane na niej szkielety innych ofiar karapulty, rozsypane na kanciastych skarpach niczym biały żwir na dnie morza. Łzy napłynęły mu do oczu, lecz porwane pędem powietrza wkrótce pozostały daleko w tyle, jak zagubione krople deszczu. Były to łzy gorzkości, ponieważ Skarper żałował każdej chwili spędzonej nad książkami i ich słowami. Szarpacz, Paplak i inni mieli rację. Na co mu było uczyć się o odległych krajach i dawno zapomnianych królach? Za jego życia rzadko który goblin zawędrował dalej niż Mury Zewnętrzne

Clovenstone. Po co więc wiedzieć, co znajduje się po drugiej stronie? Większość rzeczy, o których przeczytał, i tak najpewniej była zmyślona. Nie wierzył, żeby ktoś taki jak książę Brewyon kiedykolwiek istniał, to samo tyczyło się miejsc zwanych Tyr Trewas czy Kolendra. Nie mówiąc nawet o chmurzannach. Kto uwierzyłby w taki stek bzdur?

Nagle usłyszał jakby rozdarcie, a potem głośnie buch!, i nim zrozumiał, co się dzieje, wylądował ciężko na czymś miękkim, co zapadło się pod nim jak grząskie trzęsawisko. „Jestem martwy!”, pomyślał, po czym przyszło mu do głowy, że nie mógłby myśleć, gdyby naprawdę był martwy. Ostrożnie otworzył oczy, które do tej pory trzymał mocno zamknięte, żeby nie widzieć, jak roztrzaskuje się na skałach.

Leżał w gęstym, białym, bawełnianym puchu, na samym dnie głębokiej dziury w kształcie Skarpera. Ściany wspomnianej dziury składały się z tego samego dziwnego puchu, a w górze widać było błękitne niebo uformowane jak jego własna sylwetka. Zdał sobie sprawę, że wpadł prosto w przelatującą chmurę i zatrzymał się gdzieś pośrodku.

Ledwie doszedł do siebie, w prześwicie pojawiła się twarz, ciekawie zaglądnąca w dół dziury. Nie była to jednak zwykła twarz. Wyglądała jak bielusieńki, puchaty obłoczek, z koroną ulotnych jak para włosów. Na widok Skarpera obłoczek zasnuł się ciemnoszarym, burzowym odcieniem.

– Co robisz na naszej chmurze? – zapytał gniewnie obłoczek.

Skarper z zaskoczenia zapomniał języka w gębie. Na próżno przywoływał w pamięci kolejne książki, w poszukiwaniu odpowiednio dowcipnej lub uprzejmej odpowiedzi.

Po chwili przez dziurę w chmurze zajrzały kolejne twarze-

obłoczki.

- Co się stało, siostrze? – spytała jedna.
- Czy to książę? – dopytywała druga pełnym nadziei głosem.
- Oczywiście, że nie! Jest przecież za mały!
- Może to bardzo mały książę?
- A co miałyby robić książę tak wysoko?
- To tylko paskudny goblin!

– Łapać go! – zakomenderowała pierwsza chmurzanna. Jej buzia pociemniała jak pochmurne niebo przed nawałnicą, a wokół włosów zaiskrzyły maleńkie błyskawice.

– Jeśli to nie problem – zawołał Skarper z nadzieją – to bardzo chętnie! Tylko odstawcie mnie bezpiecznie na ziemię, a nie będę zawracał wam głowy!

Chmurzanny popatrzyły po sobie podejrzliwie.

– Jest bardzo grzeczny jak na goblina – nieśmiało zasugerowała ta, która miała nadzieję, że Skarper jest księciem.

Pozostałe jednak poczerniały gwałtownie i zamigotały blaskiem piorunów.

– Odstawić go na ziemię? Co za pomysł! Wyrzucimy tę poczwagę z powrotem w powietrze, siostry, zanim swoim ciężarem ściągnie nas do dołu!

W LAS

Łapać go! – wołały chmurzanny.

Ale Skarper nie zamierzał czekać, aż go złapią. Wystarczająco często uciekał innym goblinom, żeby wiedzieć, kiedy wziąć nogi za pas. Począł więc się i kręcić, aby jakoś wyswobodzić się z chmury. I w ten właśnie sposób odkrył, że ma ona konsystencję podobną do lekkiego, suchego śniegu. Mógł rozkopywać ją nogami i rozgarniać rękami. Odwrócił się na drugą stronę i na kolanach zaczął kopać jak pies, odrzucając do tyłu całe garście obłoczka, które niepewnie dryfowały w górę. Po krzykach i przekleństwach poznał, iż chmurzannom nie w smak było, że jeszcze bardziej niszczy ich domek. Spojrzawszy w górę, zobaczył, jak kilka z nich schodzi w dół dziury, którą wygrzebał. Wbijają stopy w ściany chmury, niczym alpiniści na ośnieżonym zboczu. Oczy błyskały im groźnie, jak kule gradowe, a w dłoniach dzierżyły lodowe miecze.

Skarper zaskomlał i spróbował kopać jeszcze szybciej. Lepiej już roztrzaskać się o skały, pomyślał, niż dać posiekać się chmurzannom. Kopał i kopał, raz po raz gorączkowo odrzucając kolejne obłoczki przez ramię. Walczył z całych sił, by jak najszybciej pogłębić dziurę. A im głębiej schodził, tym

ciemniejsza stawała się chmura. Przedzierał się przez coraz cięższe i wilgotniejsze warstwy, wypełnione gradem lub nasiąknięte deszczem jak gąbka wodą. W końcu, w rosnącej szczelinie na samym dnie, Skarper ujrzał światło dnia.

Naraz chmurna ręka capnęła go za kitkę na końcu ogona. Wziąwszy pod uwagę, iż owa ręka w całości zrobiona była z chmury, odznaczała się wyjątkową siłą. Szczęściem nie mogła się równać z siłą grawitacji, która ściągnęła Skarpera w dół dokładnie w tym samym momencie, w którym zarwała się ostatnia, cieniutka warstwa obłoku. Przez chwilę dyndał w powietrzu, wołając: „Puść mnie! Puść mnie!”, ale nadgarstek chmurzanny pod wpływem jego ciężaru stawał się coraz dłuższy i dłuższy, coraz cieńszy i cieńszy... aż wreszcie pękł: pach! – i goblin spadał znowu, aż nagle pacnął w miękkie błoto sześć stóp poniżej.

Uwolniony od zbędnego balastu, obłok wystrzelił w górę i poszybował w dal, niesiony podmuchem, który omiatał nasadę Czarnego Szpona. Skarperowi zdawało się, że niektóre jego fragmenty łopocą na wietrze jak żagle. Chmurzanny, niczym marynarze na tonącym okręcie, usilnie próbowały załatać przedziurawiony pokład. Młody goblin zastanawiał się, jak to możliwe, że nigdy wcześniej nie zauważył tak interesującej chmurki. Prawdopodobnie były wyjątkowo rzadkie, a ich załogi unikały wzroku mieszkańców ziemi. Szkoda tylko, że te chmurzanny były takie niemiłe, pomyślał sobie, strzepując z ogonka resztki białej piany, pozostałej po palcach jednej z nich. Bardzo chętnie dowiedziałby się czegoś o ich życiu w przestworzach.

Wstał niepewnie na nogi i rozejrzał się dokoła. Znajdował się

na małym, smętnym bagienku, jakieś stajanie od Murów Zewnętrznych, powstałym w miejscu, gdzie strumyczek źródlanej wody wylewał się z koryta na zarośniętą trawą splechetek terenu, wciśnięty pomiędzy dwa zrujnowane budynki. Kiedyś zapewne był to całkiem przyjemny skwerek. Po każdej stronie grzędawiska spod bujnego zielska wyzierały resztki starożytnego chodnika, z popękkanymi płytami rozoranymi przez korzenie pokracznych drzew.

Nagle Skarpera olśniło.

– Jestem poza Czarnym Szponem! – pisnął. – Za Murami Wewnętrznymi!

Jako że nigdy dotąd nie postawił stopy poza obrębem wieży, którą do tej pory nazywał domem, na sam widok tak rozległej, otwartej przestrzeni ciarki przeszły mu po karku. Okolica była jaśniejsza i przestronniejsza od korytarzy i zakamarków, do których przywykł w ciągu swojego życia. Odkąd pamiętał, zawsze starał się znaleźć ciszę i spokój z dala od goblińskich krewniaków, jednakże teraz, gdy stał w takim właśnie miejscu, zaczynał powoli tęsknić za nieustającymi sprzeczkami i bójkami, chrapaniem, bąkami i bekaniem. Przez myśl mu przemknęło, że może lepiej będzie zawrócić, przejść przez Mury Wewnętrzne, wspiąć się z powrotem do Czarnego Szpona i na kolanach błagać króla Knobblera o przebaczenie. Problem w tym, że gobliny były strasznie kiepskie w przebaczeniu. Nie ma wyjścia, trzeba będzie znaleźć sobie nowe leże, pomyślał. Spojrzał na południe, na zalesiony obszar pomiędzy Czarnym Szponem a Murami Zewnętrznymi, gdzie wprost roilo się od porzuconych strażnic i zapuszczonych bastionów. Może to właśnie tam znajdzie kryjówkę? Przyczai się w jakiejś dziurze i

zastanowi, co dalej. A przy okazji może znajdzie jakiś skarb? Chociaż kilka niewielkich klejnotów, co przecież i tak marnują się w tych ruinach. Mógłby uzbierać sobie całkiem porządnym skarbczyk. Kto wie, może nawet natrafi na jakieś gobliny? Plemię wyrzutków, które nie pogardzi parą dodatkowych rąk do pracy...

Powziąwszy tę myśl, obrócił się zadkiem do dawnego domu i ruszył przed siebie, plaskając stopami o błocko bagniska. Wkrótce szedł już szerokim, południowym gościńcem, czasem tylko przystając, by schrupać parę wyschniętych ostów, których wysokie łodygi wystawały spomiędzy spękanych płyt chodnikowych.

Z początku rozciągającą się przed nim odległość mógł oszacować po przydrożnych ruinach. Kominy zapadniętych budynków sterczały w górę jak samotne, kościste palce. Pomiedzy nimi, tam gdzie woda zalała stare piwnice, stały smutne, zarośnięte jeziorka. W miarę jednak jak gościniec biegł w dół zbocza, coraz dalej od Czarnej Szpony, horyzont przesłaniać zaczęła nieprzebyta ściana drzew. Skarper z niepokojem obserwował przybliżającą się knieję, aż znalazł się na tyle blisko, by zobaczyć, że drzewa formują nad gościńcem coś na kształt tunelu. Młody goblin czuł się coraz bardziej nieswojo. Nie wiedział zbyt dużo o drzewach i innych rosnących rzeczach. Samosiejki, które przypadkiem wykiełkowały na murach jego dawnej wieży, stanowiły niezłą przekąskę, ale te drzewa były zupełnie inne. Wielkie, stare pnie z omszałą korą, straszne, rozczapierzone gałęzie pozbawione listowia. I te trzaski, i skrzypnięcia, i szelesty, i wszystkie inne nieznanne dźwięki, brzmiące zupełnie jak złowrogie, tajemnicze

szepty. Skarper nie mógł nie zauważyć, z jaką łatwością masywne korzenie rozsadziły i pokruszyły wielkie kawały kamienia.

Szedł coraz wolniej i wolniej... był już gotowy zawrócić, gdy nagle błysło, świsło i kępka olch, spokojnie rosnąca nieopodal drogi, stanęła w płomieniach. Skarper zapiszczał, rozejrzał się dookoła, po czym spojrział w górę. Chmura, która wcześniej złagodziła jego upadek, wisiała mu nad głową. Czarna niczym mokry żwir, z połatanym dnem i piorunami strzelającymi na boki, przypominała kudłatą bestię na elektrycznych nogach.

Goblin rzucił się do ucieczki, biegnąc zygzakiem w stronę kniei, podczas gdy wszędzie dokoła spadały świszczące błyskawice, wznecając co trochę małe pożary, gdy tylko trafiły w wyschnięty torf lub zielsko. Ponad równomiernym hukiem grzmotów i trzaskiem piorunów dało się słyszeć wysoki, pogardliwy śmiech chmurzann.

Lawirując między białymi płomieniami, przeskakując przez zwalone filary, Skarper pędził ile sił w nogach do skraju lasu. Z jakiegoś powodu drzewa zaczęły wyglądać znacznie przyjaźniej. Duże, nagie, pokryte szronem, tuliły się do siebie w mroźnej pogodzie, wyciągając do nieba gałęzie porośnięte mchem, tworząc klatkę zielonych cieni. Gdy tylko się tam znajdzie, chmurzanny z pewnością nie będą w stanie go zobaczyć...

Krazzzzap! Błyskawica przeleciała tuż nad jego uchem, aż włosy stanęły mu dęba.

Następna trafiła w kałużę z przodu, zamieniając ją w obłoki pary.

Połykliwy piorun kulisty mignął obok i rozsadził przydrożny

kamień.

Skarper gnał na łeb na szyję, kluczył wśród kolejnych eksplozji, aż wreszcie wpadł pod bezpieczne sklepienie lasu. Tam padł bez sił na poduszkę mokrego mchu w wykrocie zwalonego drzewa. Leżał cały poobijany, dysząc ciężko i słuchając uderzeń własnego serca, które waliło niczym bębny wojenne goblinów z Clovenstone.

Chmurzanny zatrzymały grzmiący statek powietrzny tuż nad koronami drzew, próbując dojrzeć swoją ofiarę poprzez gąszcz splątanych gałęzi.

– Goblinuku! – wołały. – Hej, goblinuku! Wyjdź do nas!

Cisnęły jeszcze paroma piorunami tak dla zabawy, po czym nastawiły żagle, aby podmuch wiatru zabrał je na wschód, do innych obłoków ponad Górami Kościanymi.

Skarper czekał cicho jak mysz pod miotłą, aż ich głosy zupełnie ucichną. Następnie wystawił ostrożnie głowę z kryjówki, by sprawdzić, czy niebo jest już czyste. Gdy był pewny, że nikt nie osmali mu ogona, wyruszył w drogę przez las... na poszukiwanie nowego domu.

MOST

Od czasu ucieczki przed chmurzannami minęło parę ładnych godzin, ale jak dotąd nikt nie próbował obdrzeć go ze skóry ani spalić na popiół. Żadne drzewne bestie ani driady nie wyskoczyły znienacka, by wygnać go ze swojego lasu, a sądząc po prymitywnym graffiti na przydrożnych ruinach, nie był pierwszym goblinem, który zapuścił się w te strony. Podniosło go to trochę na duchu i nawet poczuł się odrobinę jak w domu. Odetchnął z ulgą, przekonany, że niebezpieczeństwo ma już z głowy (choć dla pewności zadzierał głowę do góry, aby upewnić się, czy na niewielkich skrawkach nieba, prześwitującego przez baldachim gałęzi, nie dostrzeże groźnej chmury).

Raz jeszcze przywołał w myślach Stenoryona Mappę Ziemi Wszelakich Clovenstone (jak bardzo żałował, że nie mógł zabrać jej ze sobą!). Rozległe Mury Zewnętrzne, otaczające Clovenstone nierównym kręgiem, miały cztery bramy: północną, południową, wschodnią i zachodnią. Gościńiec, którym szedł, musiał prowadzić z Twierdzy do Południowych Wrót. Za rządów Króla Licza maszerowały nim nieprzeliczone armie, niosąc wojnę i terror do krajów ludzi. Okoliczne budowle były

najpewniej starymi barakami, zbrojowniami, kuchniami, siodlarniami i stajniami. Teraz pozostały po nich tylko liche szczątki, zapadające się w poszycie leśne jak tonące galeony. Wszystko pokrywał gruby, rdzawozielony dywan mchu. W tajemniczym zielonkawym półmroku raz po raz rozbrzmiewały trele niewidocznych ptaków. Z oddali dobiegał chichot leśnych strumieni, które dawniej płynęły w kamiennych akweduktach, dziś zaś przedzierały się przez drzewa i chaszczce, często tworząc na trakcie głębokie po kolana rozlewiska.

Porzuciwszy gościniec, Skarper wszedł w zarośla, by zbadać zrujnowane budynki. Szybko uznał, że niezbyt mu się podobają. Nawet zanim obróciły się w gruzy i zgliszcza, musiały robić raczej kiepskie wrażenie. Podłogi niskich, posępnych i ciasnych klitek pokrywały sterty butwiejących dachówek i gnijącej słomy, które spadły na ziemię, gdy zawaliły się krokwie. Gobliny z Czarnej Szpona i innych wież dawno już ogołociły ruiny ze wszelkich rzeczy, które miały jakąkolwiek wartość. Pozostały tylko zwietrzałe kości, a w niektórych miejscach, wysoko na ścianach, które wciąż jeszcze stały, czarne pszczoły z Clovenstone pozakładały gniazda, brzęcząc groźnie, ilekroć Skarper się do nich zbliżał. Nie miał wątpliwości, że gdzieś w pobliżu czaiły się znacznie gorsze stwory. Od jakiegoś czasu czuł mrowienie w uszach: pewny znak, że jest obserwowany. Mógłby przysiąc, że usłyszał czyjeś pośpieszne kroki, a kątem oka dostrzegł jakiś podejrzany ruch. Drzewa skrzypiały i szeptały między sobą, zaglądając przez dziury w zniszczonych dachach.

Po krótkim namyśle Skarper przezornie zawrócił na stary trakt. Będzie znacznie lepiej, zdecydował, jeśli podąży

gościńcem dalej na południe. Według mapy Stenoryona, tuż za Południowymi Wrotami stały wielkie bastiony. Teraz, gdy o tym myślał, był całkiem pewny, że widział je podczas upadku. Szedł więc przed siebie, od czasu do czasu zrywając suche kwiaty ostów, których pieprzowy smak przypadł mu do gustu. Niebawem droga zamieniła się w schody o niskich stopniach, opadające łagodnie w dolinę, gdzie drzewa rosły jeszcze gęściej, tworząc nieprzeniknioną kopułę poskręcanych, nagich gałęzi i czap wiekowego mchu nad szeroką rzeką, pełną dużych kamieni.

Skarper od razu zgadł, że to rzeka Oeth, wypływająca z wrzosowisk o tej samej nazwie, a następnie okalająca zewnętrzne regiony Clovenstone, by na końcu wpaść do morza. Woda w niej była wartka, pieniście biała i zaskakująco głośna, ale goblin niezmiernie ucieszył się na jej widok, bo wiedział, że z drugiego brzegu do Południowych Wrót jest zaledwie rzut kamieniem. Stare zabudowania przycupnęły po obu stronach nurtu, gapiąc się ślepo pustymi okiennicami. Ściany pokrywały grube liszaje mchu, tak że wyglądały jak porośnięte gęstym zielonym futrem. Gościńiec wiódł przez most; nie była to marna kładka, jakie gobliny budowały na strumykach za Murami Wewnętrznymi, lecz prawdziwy, wzniesiony przez ludzi kamienny most, z filarami, przyporami i innymi architektonicznymi wynalazkami. Dawniej musiał być zaprawdę imponujący, obecnie jednak wyglądał na zapuszczony, zaniedbany i dość żałosny.

Właśnie w takich miejscach zwykły czaić siętrolle, przynajmniej według ksiązek, które czytał Skarper. Nigdy nie widział trolla i nie był pewny, czy naprawdę istnieją, lecz po

spotkaniu z chmurzannami wolał nie ryzykować. Zanim więc wszedł na most, ostrożnie zsunął się po skarpie i zajrzał pod spód.

Nic nie ruszało się wśród cieni, ale goblin nie mógł pozbyć się dziwnego uczucia niepokoju. Paprocie i trawy rozpleniły się tu tak gęsto, że trudno było cokolwiek zobaczyć. Skarper wspiał się z powrotem na drogę i po chwili wahania miał już zejść, żeby zajrzeć z drugiej strony, gdy nagle z przeciwległego brzegu usłyszał: „Aha!”.

Spojrząwszy w górę, zobaczył nieznanego zmierzającego w jego stronę. Był to mienczak – człowiek, najprawdziwsza żywa istota ludzka; na dodatek całkiem młoda, sądząc po wyglądzie, odziana w długi, ciemny płaszcz podróżny, znoszone buty, bryczesy i skórzaną brygantynę wysadzaną stalowymi guzami. Skarper gapił się na przybysza wytrzeszczonymi oczami. Słyszał opowieści o mienczakach, którzy nie bali zapuszczać się do Clovenstone – rzezimieszkach i łowcach skarbów – widział nawet ich czaszki, zdobiące królowe krzesło króla Knobblera. Nigdy jednak nie przyszło mu do głowy, że kiedykolwiek spotka jednego z nich. Stał więc jak wryty, podczas gdy mienczak zamaszystym ruchem ściągnął miecz oparty na ramieniu. Z wyraźnie stępionego, postrzępionego ostrza zwisały przeróżne torby, sakwy i zawiniątka z koców, które nieznamy błyskawicznie odpiął i cisnął na most, by wnet rzucić się na Skarpera.

Goblin uskoczył, ledwo unikając ciosu, który musnął mu ryżą czuprynę.

– Stań i walcz, przebrzydły trollu! – zakrzyknął mienczak.

– Nie jestem trollem! – odkrzyknął z oburzeniem Skarper,

przeturlając się na bok.

Mienczak zamachnął się ponownie.

– Widziałem na własne oczy! – zawołał. – Czyhałeś pod mostem, żeby na mnie napaść!

– Nie napadam na nikogo! – odwołał Skarper.

– Kłamiesz! – syknął mienczak, dysząc ciężko z wysiłku, wciąż wymachując wielgachnym mieczem, pod którym goblin z łatwością nurkował. – Mógłbyś się nie ruszać? – sapnął. – Błagaj swoich podłych trollich bogów o przebaczenie i szykuj się na śmierć!

– Trolle są większe! – piszczał Skarper. – Dużo większe! Widziałem ryciny...

Skoczywszy między nogi napastnika, goblin uniknął ponownie cięcia, po czym rzucił się do ucieczki przez most. Ledwie jednak postawił na nim stopę, z dołu rozległ się wilgotny, niosący echo ryk, a spomiędzy paproci i traw wyłonił się ociekający mułem, masywny szarozielony kształt. Palce grube jak kołki chwyciły gzyms mostu i ciężkie cielsko wciągnęło się na górę. Wyglodniałe ślepie patrzyły tępo spod splątanej grzywy przypominających wodorosty włosów. Bestia rozwarła paszczę do kolejnego ryku, a Skarpera owionął obmierzły, cuchnący stęchlizną odór.

Goblin odwrócił się do mienczaka, wskazując palcem poczwarę.

– Widzisz? – krzyknął z satysfakcją. – To jest troll!

HENWYN

Skarper liczył na to, że troll nie będzie zawracać sobie nim głowy, tylko sięgnie po mienczaka, który był przecież większy, a więc stanowił soczystszy kąsek do zjedzenia. Nic jednak z tych rzeczy. Ku jego zaskoczeniu wielka łapa capnęła go za kostkę i do góry nogami uniosła przed pysk bestii, która wpatrywała się w niego, mrugając czarnymi, wilgotnymi ślepiami. Trolle, zrozumiał Skarper, gdy użębiona paszcza rozwarła się, aby go połknąć, są niezmiernie głupie...

Wszelako mienczak musiał być jeszcze głupszy. Podbiegł pod wiszącego Skarpera i z całej siły ciął swym zardzewiałym, tępym mieczem prosto w brzuch potwora. Czy nikt mu nie powiedział, że trollowa skóra jest twardsza niż kamień? Ostrze odbiło się gwałtownie i ze szczękiem poleciało na kamienny most. Mienczak zawył z bólu, wciskając obolałe ręce pod pachy. Swoją niewydarzoną szarżę przyciągnął jednak uwagę trolla. Bestia zrzuciła mu czapkę z głowy i chwyciła za gęste złote loki. Skarper postanowił skorzystać z okazji i z rozmachu kopnął trolla w oko. Stwór zagulgotał, zachwiał się i postąpił parę kroków do tyłu. Wytrącony z równowagi przez nieoczekiwane wierzgającą przekąskę, wpadł na popękany, omszały gzyms

mostu, który zawalił się z hukiem. Człowiek, troll i goblin wpadli w lodowaty nurt.

Skarper oswobodził się z uścisku potwora, ale niewiele mu to pomogło, jako że woda nie jest odpowiednim środowiskiem dla goblinów. Natychmiast zaczął się topić, prychnął i rozpaczliwie młóćąc rękami, ale silne ramię wyciągnęło go na brzeg. Mienczak postawił go bezpiecznie, po czym dobył noża, podczas gdy ze wzburzonej rzeki z dzikim rykiem wynurzył się rozwścieczony troll.

– Tutaj, piekielna bestio! – krzyknął mienczak, wymachując małym kozikiem.

– Sza! Ćśś! Psst! Nie zwracaj jego uwagi! Bierzmy nogi za pas! – syknął Skarper, który chwycił mienczaka za przemoczony płaszcz i rozpaczliwie próbował odciągnąć go do tyłu.

Było już jednak za późno. Troll musiał usłyszeć krzyki albo zobaczyć słońce, odbijające się w ostrzu nożyka. Spojrzał na nich z dziką furią i zaryczał.

Na szczęście gzyms mostu nie zdążył jeszcze opaść do końca. Jeden wielki kamulec wciąż tkwił na miejscu, przytrzymywany pędami bluszczu. Dokładnie w chwili, gdy troll ryknął, ostatnie z pnączy pękło i głąz rymsnął prosto na jego spłaszczoną czaszkę. Bestia runęła do wody i nie podniosła się już więcej. Jedyne kilka bąbelków pojawiło się na powierzchni rzeki, ale szybko porwał je nurt, który przybrał rdzawoczerwoną barwę.

– Zwycięstwo! – zawołał mienczak triumfalnie, po czym z nożem w ręku ruszył do miejsca, w którym zatonął troll. – Odetnę maszkarze głowę!

– Nic mu nie odetniesz! – krzyknął Skarper, z całej siły ciągnąc za płaszcz młodzieńca. – Nie wiesz, że król Kolendry

odziewa straż przyboczną w pancerze z trollowej skóry, bo żaden oręż wykuty ręką człowieka nie jest w stanie jej przebić?

Mienczak z powątpiewaniem zwrócił na niego duże, błękitne oczy.

– Byłeś w Kolendrze?

– Przeczytałem w książce – zachnął się Skarper. – A w innej czytałem, że trollowe kości są twarde jak skała – dodał i upadł na tyłek, gdy mienczak zawrócił na brzeg.

– Myślisz, że tylko stracił przytomność? – spytał, gramoląc się z wody.

– Wolałbym nie czekać, żeby to sprawdzić – powiedział goblin.

– Cóż; pewnie masz rację – zgodził się człowiek, po raz pierwszy wykazując się odrobiną rozsądku.

Razem wspięli się na skarpę i pośpieszyli gościńcem, aż rzeka została daleko w tyle; szum jej nurtu był już ledwo słyszalny poprzez zasłonę drzew. Mienczak odzyskał swoje bagaże i swój miecz. Skarper przyglądał mu się uważnie, gdy przystanęli na chwilę, żeby złapać oddech i wycisnąć wodę z przemoczonych ubrań.

– Henwyn – powiedział nagle mienczak.

– Eee?

– Tak się nazywam. Henwyn z Adherak.

Wyciągnął rękę, ale Skarper nie był pewny, co powinien z nią zrobić. Zmierzył człowieka wzrokiem od stóp do głów. „Wygląda na szczeniaka, który dopiero się wykluł”, pomyślał. „Może dlatego jest taki głupi...”

– Musisz być wielce uczonym mędrcom – skonstatował ze szczerym podziwem Henwyn. – Czytałeś tak wiele książek. Mam

nadzieję, że wybaczysz mi... No cóż, że pomyliłem cię z trollem, wiesz? To całkiem zrozumiałe. Tak nagle wylazłeś spod tego mostu. I sam musisz przyznać, trochę dziwny z ciebie człek, jeśli mogę tak powiedzieć. Tam, skąd pochodzę, ludzie są znacznie wyżsi i, cóż, zupełnie inni, więc naturalnie, jak tylko cię zobaczyłem, pomyślałem...

Tu urwał i po chwili namysłu skłonił się nisko, cisnąwszy miecz na ziemię z takim impetem, że Skarper odskoczył przestraszony.

– Wybacz mi, proszę, i przyjmij mój oręż na swe usługi. Z radością powitam kompanię w tym diabelskim miejscu. Wszyscy wiedzą, że w Clovenstone roi się od paskudnych, obmierzłych goblinów, które są równie głupie, co nikczemne.

– Naprawdę? – spytał Skarper, kątem oka zerkając na niewydarzonego młodzieńca. Przecież nawet taki idiota musiał zauważyć jego goblinie uszy, goblinie łapki i goblini ogonek wystający spod skórzanej gobliniej kamizelki. – A jak wyglądają te gobliny?

– Och, to wie każde dziecko! To wielgachne, potężne brutale – wyjaśnił z pełnym przekonaniem Henwyn. – Wyższe i silniejsze od ludzi, z czerwonymi, błyszczącymi zębiskami i ostrymi jak brzytwa ślepiami.

– Pewny jesteś?

– Może pomyliłem coś ze ślepiami i zębiskami, ale reszta to najprawdziwsza prawda. Tak mówią wszystkie pieśni i legendy. Podobno gobliny mieszkają w wieżach otaczających prastarą Twierdzę, ale kto wie, jak daleko zapuszczają się w poszukiwaniu łupów i ofiar? Nawet teraz gdzieś bliźutko może się czaić jakiś goblin. Czuję to w kościach...

– A więc co cię tutaj sprowadza? – przerwał Skarper, myśląc: „Nie masz pojęcia, jak bliziotko...”.

– Och, bo ja jestem bohaterem! – powiedział wyniośle Henwyn, a zaraz potem, jakby wyczuwając sceptycyzm Skarpera, dodał: – A przynajmniej zamierzam być. Jak w starych baśniach. Chociaż nie urodziłem się w bogatej rodzinie, czuję, iż pisane są mi wzniosłe czyny. Widzisz, moja matka w dalekiej linii wywodzi się z rodu króla Kennacka. Córa bohaterów, sam rozumiesz. Postanowiłem więc samemu spróbować sił w bohaterowaniu. Zabijanie potworów, uwalnianie księżniczek, zwykłe sprawy. Chociaż w dzisiejszych czasach w Adherak nie ma na to zapotrzebowania. Dlatego przyszedłem tu, do Clovenstone. Co prawda nie dokonałem jeszcze żadnych bohaterskich ani wzniosłych czynów, no, chyba że zaliczymy tego trolla, ale to właściwie nie był czyn, bardziej przypadek. Och, jak strasznie żałuję, że nie odciąłem mu łba...

Przerwał, patrząc tęsknie w stronę rzeki, więc Skarper podjął:

– I postanowiłeś włóczyć się po ruinach, aż znajdziesz coś bohaterskiego do zrobienia?

– Ależ nie! – odparł Henwyn, po czym usiadł na mokrym krawężniku i ściągnął buty, by wylać z nich resztki wody. – Nie, nie! Zmierzam do Zachodnich Wrót.

Skarper zmrużył oczy, przypominając sobie mapę Stenoryona.

– A czemuż to, jeśli można wiedzieć? – spytał.

– To dom Fraddona Olbrzyma – wyjaśnił Henwyn, ale Skarperowi nic to nie mówiło.

– Nie wiem nic o fraddonach-olbrzymach – powiedział. – Nie

wiem nawet, jakiego rozmiaru są normalne fraddony.

– Nie, nie, on się nazywa Fraddon Olbrzym – wytłumaczył Henwyn – ponieważ jest paskudnym i strasznie niegodziwym gigantem. Opowiada o nim nawet jedna pieśń, *Ballada o księżniczce Eluned*. Według niej Fraddon Olbrzym porwał księżniczkę Eluned z Lusuenn. Przywiódł ją do tej złowieszczej krainy i teraz więzi w starej fortecy strzegącej Zachodnich Wrót. Melodia całkiem wpada w ucho. Chcesz posłuchać? – I nie czekając na odpowiedź, zaczął śpiewać łamanym, pozbawionym melodii głosem:

*We wtorek wczesnym letnim rankiem
Księżniczka Eluned na okręt wsiadła wspaniały,
Skróń przystroiwszy kwiecistym wiankiem,
Na morza pienne wypłynęła szkwały...*

– Może innym razem – wtrącił szybko Skarper. Chociaż nie znał tej akurat pieśni, w komnacie podcierek było wiele ksiąg, w których spisano podobne ballady, a niektóre z nich zajmowały wiele dziesiątków stron.

Henwyn przestał śpiewać.

– W każdym razie – stwierdził – jeśli uratuję księżniczkę Eluned i zgładzę giganta, król Lusuenn z pewnością podaruje mi jej rękę i pół królestwa.

– Jej rękę? – skrzywił się Skarper (zwyczajnie ludzi wciąż były dla niego niezrozumiałe).

– Och, oczywiście resztę też. Przynajmniej tak to zazwyczaj działa. Lusuenn jest małe, ale to zawsze jakiś początek. A jeśli wierzyć pieśni, księżniczka Eluned to nieziemska piękność...

Urwał i zaniepokojony spojrzał na Skarpera, który nagle zaczął wydawać dziwnie skrzeczące, charczące i zgrzytliwe dźwięki.

– Ty? – wykrztusił goblin poprzez kolejne salwy śmiechu. – Ty pokonasz giganta? Niby czym? Przerośniętym nożem do masła? Ach, he, he, he!

– Nie widzę w tym nic śmiesznego – obruszył się Henwyn. – Jestem bohaterem. Takie właśnie bohaterskie rzeczy robią prawdziwi bohaterowie.

Skarper z niedowierzaniem potrząsnął głową. To już nawet nie było śmieszne, tylko żałośnie smutne. Czytał co nieco o gigantach w komnacie podcierek, a raz nawet razem z Bresławem widzieli jednego z dachu Czarnego Szpona, jak przedzierał się przez ruiny na północ. „Najróżniejsze poczwary przyłążą tu z Kościanych Gór i kłębokniei”, powiedział wtedy Bresław. „Nie masz już dla nich miejsc w krajach ludzi, ciągną więc do Clovenstone, żeby założyć siedliska. I dlatego mądre gobliny nigdy nie wychodzą poza Mury Wewnętrzne”. Gigant był dość daleko, a z bagien na północ od Murów Wewnętrznych sączyła się gęsta jak mleko mgła, trudno było więc oszacować jego wzrost, ale i tak dało się zobaczyć, że góruje nad okolicznymi budowlami, jakby były to skrzynie na skarby. „Potrzeba całej armii mięczaków, żeby pokonać takie monstrum”, pomyślał Skarper.

– Przyszedłem przez Południowe Wrota, bo trasa wydawała się prostsza niż kluczenie na zewnątrz murów przez te wszystkie mokradła, urwiska i inne zapadliska – rzekł po chwili Henwyn. – Miałem nadzieję znaleźć drogę do Zachodnich Wrót przez tę knieję. Widziałeś ją może, przyjacielu?

Skarper wzruszył ramionami. Cała masa niewielkich drózek i ścieżynek odchodziła od głównego traktu, ale któż mógł wiedzieć, dokąd one prowadzą.

– Będziesz musiał iść za własnym nosem – rzucił niegrzecznie i machnął od niechcienia na zachód, gdzie resztki złocistego światła dnia połyskiwały poprzez gałęzie.

Henwyn nie wyglądał na obrażonego.

– Bardzo dobrze. Wędrowka przez ten nawiedzony las będzie ciężka i pełna niebezpieczeństw, ale taki jest los bohatera. Czy zechcesz mi towarzyszyć, zacny panie... eee...?

– Skarper – odparował goblin. – Nazywam się Skarper. I nie, ja kieruję się na południe...

Nie miał pojęcia, dokąd zaprowadzi go los, ale jednego mógł być pewny – nie będzie tam żadnych gigantów. Ani niewydarzonych bohaterów. Machnął łapką na pożegnanie i ruszył gościńcem przed siebie. Dwa razy obejrzał się do tyłu. Za pierwszym Henwyn stał na drodze, gapiąc się w ślad za nim. Za drugim droga była pusta. Przystanął i zastrzygł uszami. Mógłby przysiąc, że z zachodniej części lasu dobiega go wesoła piosenka o przepięknej księżniczce.

„Co za idiota”, pomyślał Skarper i pokręcił głową.

SEROWAR Z ADHERAK

Przystąpimy jednak na chwilę, by bliżej przyjrzeć się Henwynowi, młodzieńcowi o sercu mężnym i skarpetkach mokrych, który z butów chlupotem maszeruje odważnie na spotkanie przygody. Wysoki, szczupły, złotoloki, bez wątpienia wygląda jak prawdziwy bohater. A przynajmniej wyglądałby, gdyby nie znoszona tunika o przestarzałym kroju i pełen dziur przemokły płaszcz. „Nie urodziłem się w bogatej rodzinie”, powtarzał każdemu napotkanemu w drodze wędrowcowi, „ale moja matka w dalekiej linii wywodzi się z rodu króla Kennacka...”. Tyle że to niezupełnie prawda: jego matka nie była spokrewniona z córami i synami wielkiego króla, lecz z jego nadworną mleczarką. Gwoli ścisłości, Henwyn, syn Henmora, pochodził z szacownej linii mleczarek i serowarów. Nie dorastał na dworze ani w zamku, lecz w serowni swojego ojca w Adherak.

Nie można powiedzieć, że była to zła serownia. Wręcz przeciwnie, była bardzo dobra, a właściwie w całym Adherak nie miała sobie równych. Wyroby jego ojca cieszyły się zasłużoną sławą, a znaleźć je można było niemal w każdej zacniejszej spiżarni: od pałacu najwyższego króla w Kolendrze

po zameczki pomniejszych królewiąt z Pogryzonego Wybrzeża. Pośród niskich, strzechami krytych dachów Adherak dom Henmora prężył się wyniośle i dumnie: wybudowany z kremowego kamienia, trójkątny i wysoki na dwa piętra, z okrągłymi drzwiami i oknami, już na pierwszy rzut oka przywodzącymi na myśl kręgi sera. Mosiężny wiatrowskaz w kształcie krowy kręcił się na jego szczycie, wprawiany w ruch powiewem wiatru, który na całą okolicę niósł przepyszne, serowe zapachy, przypominając mieszkańcom miasteczka, że mistrz Henmor robi najlepsze sery w Zachodnich Krainach.

Wielu młodych mężczyzn – rozsądnych i statecznych młodych mężczyzn – zrobiliby pewnie wszystko, by wielki serowar przyjął ich do terminu, dzięki czemu mieliby może szansę odziedziczyć kiedyś słynny warsztat. Pech chciał, że jego własny syn do nich nie należał. Henwyn nawet nie lubił sera, a już na pewno nie zamierzał spędzić życia jako serowar.

Od dziecka czuł, że los szykował mu coś znacznie ciekawszego.

Odkąd pamiętał, Adherak zdawało mu się zbyt małe i stanowczo zanadto zwyczajne. Lubił wychodzić na mury miejskie i patrzeć na północ. Jeśli tylko wyteńczyć wzrok, hen daleko, poza bezpiecznymi, łagodnymi wzgórzami, widać było zarys plamistych wrzosowisk i spiętrzonych wysoko niebieskich gór. Czasem, gdy dzień był przejrzysty, zdarzało mu się nawet dojrzeć czarną iglicę Clovenstone, która stąd przypominała tyczkę, podtrzymującą baldachim nieba. „Tam właśnie jest moje miejsce”, myślał sobie. „Nie w przyjaznych ziemiach, wśród przekupek i handlarzy; tam, na północy, gdzie magia wciąż jest silna, jak w dawnych opowieściach. Nie urodziłem się, by

warzyć sery! Urodziłem się, by zostać... bohaterem!”

Tęsknił do magii i przygód tak bardzo, że było to wręcz nie do zniesienia. Niestety w Adherak nie pozostała już ani kropla magii, nie było też ekscytujących przygód do przeżycia. Zdobywał je więc, jak mógł: używane, z drugiej ręki, z baśni i legend. Henwyn nigdy zbytnio nie przepadał za czytaniem, co właściwie było dość korzystne, jako że w serowni nie uświadczylibyście ani jednej książki. Adherak było jednak miastem kupieckim, nad wyraz zamożnym, umoszczonym jak tłusta kura w samym środku zielonej doliny, gdzie główny trakt z Kolendry przecinał serpentyny rzeki Sethyn. W górę drogi, z Kolendry i Pogryzonego Wybrzeża, ciągnęły najróżniejsze skarby, jak egzotyczne ryby i focze skóry, korzenne przyprawy i jedwabie, wszelkie kurioza i wyszukane towary z Morza Rozłąki i ziem leżących dalej. W dół rzeki, do przystani Adherak, płynęły barki wiozące zboża, drwa i inne dobra z przyjaznych ziem. A zarówno w dół, jak i w górę – i drogi, i rzeki – napływały niezliczone historie: opowiadacze opowieści, śpiewacy piosenek, całe trupy wędrowne przybywały do Adherak co kilka dni, a Henwyn, wysyłany na rynek przez ojca, zawsze znajdował jakąś wymówkę, by przystanąć i posłuchać.

– Chłopak ma głowę w chmurach – zawyrokował Henmor, kiedy jego syn po raz pierwszy spędził całe popołudnie zapatrzone na aktorów, odtwarzających sztukę o księciu Brewyonie i chmurzannach, całkowicie zapomniawszy o tym, by odebrać muślin i chusty serowarskie z pływającego targowiska.

– Jest jeszcze bardzo młody – powiedziała matka Henwyna. – Jeszcze z tego wyrośnie.

– Myśli tylko o cudach niewidach! – gorączkował się Henmor, gdy Henwyn zapomniał kupić szczypiorek, niezbędny dodatek do specjalnego sera szykowanego na ślub władcy Adherak. Nie dość, że wrócił bez szczypiorku, to jeszcze stracił wszystkie pieniądze. Kręcił się koło straganu z używaną bronią, gdzie podstarzali, wyświechtani wojownicy za grosze zastawiali znoszony rynsztunek i opowiadali niestworzone historie. Jeden z nich wcisnął mu zardzewiały miecz, który podobno należał do samego króla Kennacka. – Wszystkie te brednie, którymi napycha łepetynę! – psioczył dalej Henmor. – Bohaterowie i potwory! Podziemia i smoki! Bitwy i przygody! Czy godzi się, by młody mężczyzna bez ustanku myślał o tych bzdurach? Gdy ja byłem w jego wieku, marzyłem tylko o serze! Śniłem o nim każdziutkiej nocy! Świat świetnie by się obył bez nonsensownych przygód i bitew, ale czy poradziłby sobie bez sera, eh? Bohaterowie i potwory kiedyś może byli w modzie, ale dziś rozsądny młodzieniec potrzebuje rozsądnego fachu!

– A jednak to tylko chłopiec – powtarzała matka Henwyna, chociaż nawet ją zaczęły już męczyć wybryki syna. – Zaczekaj, aż skończy trzynaście lat. Zobaczysz, weźmie się w garść i zostanie pierwszorzędnym serowarem jak jego dziad i ojciec.

Ale Henwyn skończył trzynaście lat, potem czternaście i piętnaście, a mimo to wciąż bardziej interesowały go bohaterskie opowieści niż warzenie serów. Starał się, jak mógł, słuchać uważnie, gdy ojciec przyuczał go do rzemiosła: jak najlepiej przygotować podpuszczkę, jak oddzielić skrzep od serwatki, jaki jest okres dojrzewania poszczególnych serów. Czasami, gdy bardzo skoncentrował się na woskowaniu serów lub wciskaniu ich w wielkie, okrągłe formy, powtarzał sobie w

myślach: „Tak, to właśnie moja przyszłość...”. Nagle jednak na nieskalaną, słoneczną łąkę jego myśli galopem wpadał jeździec w pełnej zbroi, pędzący na ratunek księżniczce lub na pojedynek z okrutnym tyranem. Przeważnie sery, którymi chłopak się zajmował, były nieudane. Zbyt długo moczył je w solance, nieostrożnie upuszczał na schody piwniczki albo zupełnie zapominał o podpuszczce, przez co nigdy nie krzepły, jak należy.

Jeśli tylko mógł, wyręczał się w pracy swoimi siostrami, a miał ich trzy: Herdę, Gerdę i Lynt. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczynki znacznie lepiej radziły sobie w serowarstwie. Gdybyż tylko one mogły przejąć rodzinny interes! Niestety, pech chciał, że serownie dziedziczyli synowie, nie córki, Henwyn zaś był jedynym synem Henmora. Chłopcu zawsze było wstyd, gdy zostawiał Herdzie, Gerdzie i Lynt woskowanie, nasalanie i odciskanie serów, a sam umykał na rynek, aby posłuchać nowych opowieści – ale nie na tyle, żeby go to powstrzymało. Nocą, w pokoiku na poddaszu, gdy po całym domu, niczym niewidzialny, serowy dym niosły się zapachy dojrzewającego twarogu, Henwyn wyciągał spod łóżka miecz króla Kennacka i, odtwarzając starożytnie bitwy, ćwiczył wszystkie ruchy, jakie powinien znać każdy porządny szermierz: Pchnięcie, Dźgnięcie i Nieprzedziurawienie Sufitu.

Pewnego dnia – słonecznego, błękitnego dnia jego piętnastego lata, gdy zachodni wiatr gnał puszyste, śnieżnobiałe obłoczki nad zielonymi wzgórzami, gdzie pasły się tłuste krowy, z których mleka powstawały najprzedniejsze sery – Henmor wziął syna na stronę.

– Wyruszam w drogę do Nantivey – powiedział. – Tamtejszy

serowar wynalazł ponoć nadzwyczajną kadź i chciałbym rzucić na nią okiem. Na tydzień zostawiam serownię twojej pieczy. Dopóki nie wrócę, ty tu rządzisz. Potraktuj to jako praktykę, ponieważ kiedyś odejdę na emeryturę, a warsztat będzie twój na zawsze.

– Tak, ojciec – odparł Henwyn.

A mówiąc to wyglądał tak rozsądnie i poważnie, że Henmor pomyślał: „Mimo wszystko to dobry chłopiec. Powinienem być dać mu szansę wykazania się dużo wcześniej”. Może Henwyn rzeczywiście wyrósł z głupstw, jak przewidywała jego matka. Może dojrzał, jak szlachetny ser. Henmor ruszył do Nantivey, uśmiechając się pod nosem, ponieważ tamtejszy serowar miał nie tylko nową kadź, lecz również córkę na wydaniu. Liczył na to, że zostanie ona dobrą żoną dla Henwyna, a chłopak przestanie w końcu marzyć o księżniczkach. Nie mógł wiedzieć, że tak naprawdę Henwyn bujał w obłokach przez cały ten czas. Kiedy powiedział: „Zostawiam serownię twojej pieczy”, młodzieniec wyobraził sobie, że powierzono mu nie warsztat, lecz wspaniałą zamek, którego przez tydzień będzie bronił przed hordami okrutnych goblinów.

Pierwszego i drugiego dnia wszystko zdawało się iść jak po topionym serku. Henwyn usilnie koncentrował się na pracy, a gdy tylko zaczynał śnić na jawie, wołał „Ser!”, by odpędzić natrętne myśli o rycerzach, smokach i księżniczkach. Jednak trzeciego dnia nie było zbyt wiele do roboty; zostało już tylko sprzątnięcie serowni, zwyczajowo kobiece zajęcie, więc jego matka, Herda, Gerda i Lynt uwijały się jak w ukropie. Aby nie wchodzić w drogę miotłom, szczotkom i mopom, Henwyn wyszedł na miasto. Skierował się na pływające targowisko,

ciekawy, czy rzeczne barki przywiozły jakichś trubadurów lub bardów. Nie przywiozły – na pomoście stał zaledwie jeden starzec, śpiewając *Balladę o Ślepym Gigantobójcy*, którą Henwyn znalazł niemal na wyrywki. Posłuchał kilku wersów, historia nie pobudzała jednak jego wyobraźni i szybko począł się nudzić. Zawrócił więc do domu, rozważając w drodze, czy rzeczywiście spoważniał i wydorósł. Może od teraz naprawdę będzie rozsądnym, statecznym serowarem?

Nie zauważył trzech tajemniczych postaci, które szły jego śladem od targowiska. Nie usłyszał też ściszonej, ukradkowej wymiany zdań.

– To on!

– Kto?

– Henwyn; ten, o którym mówiłem. Zawsze z głową w chmurach! Wierzy w cuda niewidy; gobliny, trolle i wszelkie inne głupstwa, o jakich śpiewają bajarze.

– I co? Przecież my też...

– Nie w tym rzecz.

– To w czym?

– Rzecz w tym... – obruszył się pierwszy szeptacz, zirytowany bezsensownymi pytaniami, przez które zupełnie stracił wątek. – Rzecz w tym, że będziemy potrzebować pieniędzy na transport, jeśli chcemy dostać się Sami-Wiecie-Gdzie. I właśnie młody Henwyn nam ich dostarczy. – Tu wysforował się naprzód, przed swych kompanów, wołając: – Młody człowieku! Halo! Serowarze! Henwynie, synu Henmora!

Henwyn odwrócił się, z początku zaskoczony, a później zaintrygowany, że zaczepia go na ulicy trzech nieznanomych, którzy wyglądali – cóż, wyglądali ni mniej, ni więcej jak postacie

z opowieści. Ich przywódca, ten, co go nawoływał, odziany był w długi płaszcz z głębokim kapturem, spod którego, niczym górski wodogrzmot z ciemnej pieczary, wypływała skłębiona biała broda. Drugi, śniady mężczyzna z Musk lub Barragan, nosił jedwabne szaty, zdobione symbolami gwiazd, słońc i księżyców. Trzeci zaś, o siwej, kędzierzawej czuprynie i uszach sterczących na boki, jak dwa różowe pierożki, miał na haczykowatym nosie okulary w rogowych oprawkach, nowiutki wynalazek, rzadko spotykany w Adherak.

– Tak? – odpowiedział chłopak. – Jestem Henwyn, syn Henmora.

Założył, że nietypowe trio planuje zamówić partię serów.

– Twój ojciec pojechał do Nantivey. – Białobrody odrzucił kaptur, by ujawnić pulchną i rozczarowująco pospolitą twarz. – I na czas nieobecności zostawił serownię pod twoją opieką.

– Skąd o tym wiesz...?

Nieznajomy wykrzywił usta w zagadkowym uśmiechu.

– Jam jest Fentongoose. A to moi towarzysze, Carnglaze i Prawl. Jesteśmy czarodziejami Kruczej Kapituły, a czarodzieje wiedzą wszystko.

– Na świecie nie ma już czarodziejów!

– Widzisz? Wiedzieliśmy, że to powiesz!

Henwyn rozdziawił usta. Nie wątpił, że świat obfitował ongiś w najprawdziwszą, potężną magię. Wierzył też, że jej resztki wciąż drzemały w dzikich i niedostępnych miejscach. Jednakże nawet on nie spodziewał się, że kiedykolwiek spotka trzech czarodziejów, w biały dzień spacerujących po rynku i nagabujących niebu ducha winnych serowarów.

– Krucza Kapituła...? – powtórzył niepewnie.

– Bardzo tajne zgromadzenie! – uroczyście oświadczył Fentongoose.

– Cóż, w życiu o nim nie słyszałem.

– Widzisz? Bardzo tajne.

– Kruczy... czy to znaczy czarny? Nie jesteście chyba złymi czarodziejami?

– Dobro, zło... koncepcje w sam raz dla niedouczonej dzieci

– wtrącił Carnglaze. – W dialekcie magii nie mają one znaczenia.

– Racja, ważne jest jedno – przytaknął Fentongoose. – Wieści o twej nadzwyczajnej biegłości w serowarskim fachu dotarły do naszego bractwa. Przybyliśmy z daleka, by zaoferować ci nasze usługi. Serowi magnaci z Kolendry proponowali nam góry złota, lecz wolimy użyczyć swych magicznych zdolności ambitnemu młodzieńcowi o nadprzeciętnym talencie. A w tych stronach nie ma bardziej utalentowanego serowara nad ciebie; ani przystojniejszego, ani o mężniejszym sercu. I właśnie dlatego chcemy ci ofiarować to!

Henwyn popatrzył na wyciągniętą dłoń czarodzieja. Leżała na niej malutka, niepozorna buteleczka w kształcie łożki, wykonana z brązowego szkła.

– Za niewielką opłatą, oczywiście – uściślił Fentongoose. – Jedyne dziesięć złotych monet i fiolka jest twoja. Zawiera eliksir o ogromnej mocy, który uwarzyłem ja sam. Wystarczy, że dodasz trzy krople do kolejnego sera, a nabierze on tak wyszukanego aromatu, jakiego nie zasmakował jeszcze żaden śmiertelnik. Zyskasz sławę w całych Zachodnich Krainach; a imię Henbane...

– Henwyn.

– ...Henwyn zapisze się na kartach historii. Będą śpiewać o tobie pieśni i snuć legendy.

– Rany – westchnął Henwyn, biorąc buteleczkę do ręki, by lepiej się jej przyjrzeć. Na szklistej powierzchni ujrzał odbicie swojej twarzy, zniekształcone jak w wypukłej łyżce. Wewnątrz przelewał się jakiś gęsty płyn. Wiatr rozwiał złote loki na głowie młodzieńca i zdawało się, że rozwiał też jego wątpliwości. Mikstura rzeczywiście wyglądała magicznie. Prawda, magia zwykle sprowadzała kłopoty, co do tego zgadzały się wszystkie legendy. Ale trzymać w dłoni prawdziwą, rzeczywistą magię, na dodatek w prawdziwym, rzeczywistym życiu? Na samą myśl dostał gęsiej skórki. W tym momencie czuł się zupełnie, jakby wkroczył do własnej opowieści, jakby sam został bohaterem ballady. Chyłkiem rozejrzał się dookoła, aby mieć pewność, że nikt nie widzi, jak przyjmuje ofertę czarodziejów. Jego ojciec ani chybi będzie dumny, gdy po powrocie z Nantivey zobaczy, że pod jego nieobecność Henwyn uwarzył najsmaczniejszy ser, jaki świat widział!

– Dziesięć złotych monet? – spytał bez przekonania.

– Nie moglibyśmy prosić o mniej, to w końcu magia pierwszej próby – oznajmił z powagą Fentongoose. – No dobra; osiem.

Henwyn wahał się jeszcze przez mgnienie oka, po czym odpiął sakiewkę od pasa. W środku było osiem sztuk złota, kilka groszy i miedziaków, i zapasowy guzik. Wysypał całą zawartość Prawłowi na dłoń, po czym ponownie popatrzył na buteleczkę. Czy to tylko promyk słońca, czy eliksir pałał złotym blaskiem?

– Na jakim etapie powinienem dodać krople...? – zapytał, ale gdy podniósł głowę, członków Kruczej Kapituły już nie było.

Trzej czarodzieje, jeśli to w ogóle byli czarodzieje, zniknęli bez śladu. I chociaż Henwyn obszedł calutkie pływające targowisko, nie zdołał ich odnaleźć, niemal jakby zapadli się pod wodę. Zrezygnowawszy z poszukiwań, wracał zamyślony do domu z jedną ręką w kieszeni płaszcza, zaciskając palce na buteleczce wypełnionej magią.

W serowni panowała cisza. Jego matka i siostry wyszły na zakupy lub do przyjaciółek w odwiedziny. Słońce wpadało przez okno, rozlewając się złocistą plamą na świeżo wypastowanej podłodze. W takim świetle trudno było wierzyć w magię; a przynajmniej w niebezpieczną magię. Henwyn wyjął buteleczkę i uniósł ją do góry. Słoneczne promienie przenikały przez brązowe szkło, farbując mu palce na bursztynowy kolor.

W wielkich kadziach leniwie krzepło mleko, przygotowane poprzedniego dnia przez Henwyna i jego siostry. Chłopak zdjął drewnianą pokrywę jednej z kadzi i odkorkował butelkę. Kap, kap, kap: trzy krople, zgodnie z instrukcją czarodzieja. Z ciekawością patrzył, jak wpadają w formujący się twaróg. Patrzył i czekał, aż mleko zmieni kolor. A może zacznie wydzielać dziwny, lecz przyjemny zapach? Może nieoczekiwanie serownię wypełni nieziemska muzyka? W baśniach takie rzeczy się zdarzały.

Ale to nie była baśń i nie wydarzyło się nic nadzwyczajnego.

Hewnyn wzruszył ramionami. Przykrył kadź z powrotem, zakorkował butelkę i odwrócił się z głębokim westchnieniem. Zaczynał żałować tych ośmiu złotych monet, nie wspominając drobniaków i guzika. Może samozwańcza Krucza Kapituła nie była niczym innym jak bandą szarlatanów lub trójką niemiłych żartownisiów. Owszem, wiedzieli o podróży jego ojca do

Nantivey, ale to jeszcze nie dowodziło magicznych mocy. Chłopak zdał sobie nagle sprawę, że mogli usłyszeć o tym od nieomal każdego handlarza na targowisku. W końcu to Adherak. Magia nie ma tutaj miejsca.

Burrrr... zaburczała kadź za jego plecami. Trochę jakby wilgotne, wyjątkowo soczyste beknięcie. W nozdrza uderzyła specyficzna woń: serowa, ale jednak nie serowa. Henwyn wachał kiedyś skarpety, które pachniały podobnie.

Rozejrzył się. W spokojnej ciszy serowni słychać było terkotanie pokrywy kadzi, do której wlał tajemniczą miksturę. Brzmiało to jak kipiący garnek. Z wnętrza wypływały kłęby zielonkawej pary. Coś jednak zaczęło się dziać...

Zawrócił na pięcie, by unieść pokrywę i zajrzeć do środka, gdy nagle pokrywa uniosła się sama. Wystrzeliła jak z procy i z hukiem roztrzaskała się o sufit. Równocześnie kadź zbulgotała, zagulgotała i na zewnątrz wypełzła lśniąca, biała masa. Gęste serowe macki rozpełzły się we wszystkich kierunkach. Jedna z nich schwytała Henwyna za kostkę.

Właśnie wtedy chłopak zrozumiał, że ser ożył.

Mocne szarpnięcie zważyło go z nóg. Ser wciąż rósł i rósł; zrobiło się go więcej, niż kadź była w stanie pomieścić. Elixir musiał zwiększyć jego objętość. Serowa breja wezbrała i uformowała zwałisty, pękaty kształt niczym potworny śniegowy bałwan. Lepkie macki strzelały na wszystkie strony, jak wijące się serowe węże, a gdy tylko dotknęły czegoś, co nie było przybite gwoździami – krzesła, chochli, ulubionego fartucha Gerdy, wiszącego na drzwiach – wciągały to z mokrym ciamknięciem. Co chwila kolejne przedmioty ginęły, zasysane w chlupoczące serowe cielsko. Wyglądało na to, że Henwyna też

czeka ten los. Obślizgłe łapsko ciągnęło go za kostkę po kafelkowej podłodze, ale bardzo powoli, jakby chłopak był dla niego za ciężki. Nagle tuż obok zobaczył mackę owiniętą wokół krajacza do skrzepu – serowarskiego noża o długiej, szerokiej głowni. Chwyciwszy za rączkę szarpnął mocno, a serowa pacia niechętnie puściła, pozostawiając na ostrzu glutowate ślady. Henwyn ujął krajacz oburącz i z całych sił ciął mackę, owiniętą wokół kostki. Po kilku ciosach zdołał się oswobodzić i nie czekając, wypadł z pokoju, zatrzasnąwszy za sobą drzwi. Dysząc ciężko, oparł się o ścianę, by złapać oddech.

Za drzwiami słychać było trzaskające meble i brzęk garnków. Serowy potwór na pewno rozwali całutki warsztat, jeśli nikt go nie powstrzyma! Co pomyślą rodzice? Co pomyślą sąsiedzi? Pod żadnym pozorem nie może dopuścić, by wydostał się na zewnątrz!

Zabarykadował drzwi solidną, drewnianą ławą i przeskakując po dwa stopnie naraz, wbiegł po schodach do swojego pokoju. Używany miecz wciąż leżał pod łóżkiem, gdzie go zostawił. Trzęsącymi dłońmi wyciągnął broń i przyczepił ją do pasa. Dygotały mu kolana, szczękały zęby, ale powtarzał sobie, że przecież nie jest tchórzem. Czyż nie czekał całe życie na taką właśnie okazję? Wreszcie mógł dowieść swojego męstwa w prawdziwej bitwie! A zresztą to nie smok ani troll zaatakował serownię, tylko zepsuty ser...

Zszedł na dół akurat w chwili, gdy zabarykadowane drzwi z hukiem rozleciały się w drzazgi. Ser wlewał się już do następnego pomieszczenia, spęczniały, wypchany wszystkimi przedmiotami, które zdołał pochłonąć. Wyglądniałe, blade macki gmerały w poszukiwaniu kolejnych rzeczy do pożarcia.

Wnętrze warsztatu w całości pokrywały kleiste, serowe włókna. Henwyn machał mieczem na prawo i lewo, siekąc i tnąc ile siły w rękach, ale chociaż włókna przerywały się pod naporem ostrza, oblepiały je coraz bardziej. Wreszcie broń zrobiła się zbyt ciężka, a niezliczone macki wciąż wystrzeliwały w chłopaka, wczepiając się we włosy, przyklejając do piersi, chwytając za nogi i ramiona. Ostatnim wysiłkiem Henwyn wyrwał się z serowej pajęczyny i uciekł na ulicę, gdzie zdumieni przechodnie przystanęli, by popatrzeć na oklejonego serem miecznika. Ku ich zaskoczeniu cicha zazwyczaj serownia burczała, blekotała, a z wnętrza, wśród brzęków i trzasków, wypływały ohydne, śmierdzące brudnymi skarpetkami opary.

– Wszystko w porządku! – powiedział Henwyn tak beztrąsko, jak tylko mógł i spróbował schować miecz do pochwy, lecz pokryty mazią brzeszczot za żadne skarby nie chciał się zmieścić. Był pewien, że gdyby władze miejskie dowiedziały się, iż to on stworzył serową bestię, warsztat jego ojca zostałyby zamknięte, a on sam skazany na wygnanie. – Mamy małe problemy z... eee... z myszami – dorzucił bez większego przekonania.

Ludzie na ulicy stali jak wryci, jednakże to nie Henwyn przykuł ich uwagę. Za plecami młodzieńca serownia wydęła się i naprężyła. Dach ze szczękiem dźwignął się w górę.

– Właściwie to szczury – dodał z rezygnacją Henwyn.

Frontowa ściana budynku runęła z łoskotem, a przez dziurę wygramoliło się serowe monstrum: rozlazłe, miękkie, błyszczące i bezkształtne; na sekundę, gdy wyprężyło swoje brejowate cielsko, dało się w nim dostrzec karykaturalną twarz, z małymi dziurkami zamiast oczu i szeroką, ciemną, włóknistą

szparą ust.

Rozległy się krzyki, piski, przekleństwa. Gapie wzięli nogi za pas, potykając się o koty, które chmarami przybiegły, by spijać serwatkę w ruinach warsztatu. Deski i cegły posypały się z gruchotem na ulicę, gdy serostwór toczył się naprzód. Henwyn dziękował swym szczęśliwym gwiazdom, że Herdy, Gerdy, Lynt i jego matki nie było w domu. Po serowni nie zostało śladu. W jej miejscu kłębiła się poczwara, której nieprzeliczone macki, grube niczym olinowanie statku, chwytały kominy okolicznych kamienic. Chłopak stał bezradnie w serowym cieniu, jednocześnie zawstydzony i przerażony, zachodząc w głowę, co robić dalej. Gdyby tylko mógł wpaść na jakiś niezaprzeczalnie odważny i jednocześnie pewny pomysł, jak pozbyć się potwora, może nie wyda się, że to on go stworzył. Może jeszcze wszystko ujdzie mu na sucho. Wytarł miecz o ziemię, na ile się dało, i począł główkować, jak najlepiej go wykorzystać. Czy serostwór ma serce? Albo, dajmy na to, mózg? Wypatrywał głowy, którą można by odrąbać, ale serowa breja nie miała w sobie niczego choćby odrobinę głowopodobnego. Co prawda jej ruchy stawały się coraz wolniejsze, to zawsze jakiś plus. Ociężała od całego mnóstwa sprzętów domowych, kadzi, mebli, cegieł i krokwi, jakie pochłonęła, nie była w stanie odpełznąć zbyt daleko od szczątków serowni i kotów, które jako jedyne nie okazywały przed nią strachu, z łatwością unikając powolnych macek.

W przypiływie rozpaczy Henwyn spojrział w dół ulicy, w stronę centrum miasteczka, gdzie na warownym wzgórzu piętrzył się szarawy Zamek Adherak. Zza rogu obserwowały go trzy postacie.

– Fentongoose! – krzyknął. – Carnglaze! Prawł! Pomóżcie mi! Użyjcie magii! Odwróćcie zaklęcie swojej mikstury!

Rzucił się w ich stronę, ale czarodzieje wyglądali na równie zszokowanych rezultatem działania eliksiru jak on.

– Woda... – jęknął słabym głosem Fentongoose. – Zabarwiona woda. Tylko tyle... Jak to możliwe...?

Henwyn spróbował złapać go za brodę, by zażądać antidotum lub choćby słów wyjaśnienia, ale czarownik okazał się szybszy. Uskoczył zwinnie w bok, a kilka białych pasemek prześlizgnęło się przez palce chłopaka. Trzej czarodzieje obrócili się na pięcie i dali drapak.

– O nie! – zapłakał Henwyn, patrząc na szczątki serowni. – Och, cóż ja najlepszego zrobiłem? Powinienem był wiedzieć lepiej, po tych wszystkich opowieściach, które słyszałem! Przywołałem potwora z otchłani i obrócił się przeciwko mnie, jak to one mają w zwyczaju! Teraz zginę, pokonany przez mordercze fondue...

Jednak mówiąc to, zauważył, że serowa poczwara zaczęła się zmieniać. Trzęsła się, malała, kurczyła. Z nieprzyjemnym, zasysającym i bulgocącym odgłosem zwarła się w rozdygotaną, wzdętą bryłę i osiadła na gruzach warsztatu jak olbrzymia, niespokojna perła. Raptem jakaś nieznana siła zmiotła Henwyna z nóg i cisnęła nim o ścianę sąsiedniej kamienicy; w chwili, gdy wyrznął o chodnik, usłyszał przeraźliwie wysoki pisk, ohydne burknięcie i potężne buuum! Kiedy z nieba sypnął się deszcz ciepłego, paskudnego sera, chłopak zrozumiał, że serostwór eksplodował.

Henwyn z wysiłkiem dźwignął się na nogi, wciąż kurczowo ściskając miecz. Twarz miał poczerniałą od wybuchu, a całe

ubranie w osmalonych strzępach. Po potworze pozostał tylko gruby dywan gumowatego, żółtego szlamu, przykrywający ruiny jego domu. Przypominało to trochę spalony tost z solidnym plastrem sera, który za późno wyciągnięto z piecyka.

I w ten to właśnie sposób Henwyn został wypędzony z Adherak. Próbował wyjaśnić, że wszystkiemu winna Krucza Kapituła, ale czarodzieje zniknęli, nie pozostawiawszy po sobie śladu, więc nikt mu nie uwierzył. Niewielu ludzi widziało serostwora na własne oczy, a sam pomyślał, że do ich miasteczka zawitała magia, był tak niepokojący i nieprawdopodobny, że większość adherańczyków wolała przypisać katastrofę zwykłej pomyłce przy pracy.

– Za dużo podpuszczki – mówili. – A może jakiś nowy, szczególnie złośliwy rodzaj pleśni. Jakkolwiek by było, wina leży po stronie nierozważnego serowara.

Mimo wszystko rajcy miejscy okazali się dość pobłażliwi. Początkowo rozważano, czy nie wysłać Henwyna przed dwór wysokiego króla w Kolendrze, ostatecznie zdecydowano jednak, że byłoby wielce upokarzające, gdyby cały świat usłyszał, jak Adherak zaatakował potworny, no cóż, ser. Przegnano zatem nieszczęsnego młodzieńca precz, zaznaczywszy uprzednio, że jeśli choćby cień jego padnie na bramy Adherak, skończy jak bandyci i złoczyńcy, których odcięte głowy, korpusy i rozczłonkowane kończyny zdobiły mury miejskie, niczym wbite na pale elementy Zestawu do Składania Własnych Rzezimieszków i Opryszków.

Wielkodusznie pozwolili mu zatrzymać stary, bezwartościowy miecz, a matka przy pożegnaniu ukradkiem wsunęła parę monet do kieszeni (ojciec nie chciał mieć z nim

nic do czynienia). Pieniądze od razu wydał na parę butów podróżnych i nabijaną ćwiekami skórzaną brygantynę, najbliższą zbroi rzecz, na jaką mógł sobie pozwolić. Postanowił szukać przygód w dzikich krainach.

Opuszczając Adherak, zwrócił się na północ. Po paru dniach pieszej wędrówki zaszedł na trawiaste wzgórze, gdzie ludzi było niewiele, a legendy tchnęły życiem. „Clovenstone!”, szepnął do siebie, a dźwięk tego słowa przebudził drzemiące w nim tęskne, nienazwane uczucia. Przypomnił sobie tę dziwną, niepodważalną pewność, która towarzyszyła mu od dawna, że przeznaczony jest do czegoś więcej niż praca z nabiałem. W Clovenstone czekają go przygody. W Clovenstone znajdzie potwory do pokonania, prawdziwe, nie zrobione z sera. W Clovenstone, królestwie tajemniczego Króla Licza, odnajdzie przeznaczenie... lub śmierć.

„Przeznaczenie, przy odrobinie szczęścia”, pomyślał po rozstaniu ze Skarperem, kierując chlupoczące kroki przez zarośnięte ruiny do Zachodnich Wrót. „Chyba że pisana jest mi śmierć... ale lepiej samo przeznaczenie, bez śmierci...”

Był pewny, że jego ojciec i władca Adherak zmieniliby o nim zdanie, gdyby tylko dokonał czegoś wystarczająco odważnego. W końcu do tej pory Adherak nie mogło poszczycić się ani jednym bohaterem.

POŁUDNIOWE WROTA

Tymczasem Skarper śpieszył na południe. Droga przed nim wznosiła się długimi, łagodnymi stopniami, wychodząc z doliny rzeki. Im było wyżej, tym drzewa stawały się rzadsze i niebawem mógł dostrzec w oddali wysokie obwarowania, zwieńczone krenelażem, a także strażnice po obu stronach masywnej bramy. Wieże były pozbawione górnych partii, mocno podniszczone, a mury w paru miejscach leżały w gruzach. To właśnie tędy armie ludzi wtargnęły do Clovenstone pewnego pamiętnego dnia, który okazał się tak straszny, że gobliny do tej pory wspominają go z trwogą: Pechowa Środa, dzień, kiedy pokonano Króla Licza. W miarę jak zbliżał się do Wrót, Skarper mijał sterty kości, rozrzuconych na gościńcu lub bielejących w przydrożnych chwastach. Zwykle nie poświęciłby im najmniejszej uwagi, w końcu zwietrzałe szkielety wały się po całym Clovenstone, jednak te tutaj wciąż były zakute w rdzewiejące pancerze, a pomiędzy nimi sterczały poszczerbione miecze albo skruszałe główce toporów, spis i włóczni. Od upadku Króla Licza żaden goblin nie zawędrował tak daleko od Murów Wewnętrznych, by grabić martwych.

Brama była olbrzymia, wystarczająco szeroka, by trzech

gigantów przeszło przez nią ramię w ramię. Resztki roztrzaskanych wierzei nadal zwisały z przeżartych korozją zawiasów. W cieniu łukowatego sklepienia rosło bujne zielsko, przez które wydeptano ścieżkę; wydeptano całkiem niedawno, wnosząc po drażniącej nozdrza woni zgniecionych liści i łodyżek trawy. Skarper niuchał podejrzliwie, a wyczuwszy lekki zapach człowieka, doszedł do wniosku, że deptaczem był nie kto inny, jak ten tuman, Henwyn. Przez chwilę zastanawiał się, jak młody bohater radzi sobie w lasach przed Zachodnimi Wrotami, czy nie skończył jako kolacja jakiegoś potwora. Nagle opanowało go najdziwniejsze uczucie, jakiego kiedykolwiek doświadczył: wyrzuty sumienia, że nie porozmawiał z chłopakiem troszkę dłużej i troszkę grzeczniej, albo że nie odprowadził go chociaż kawaleczek dalej. Miał nadzieję, że mienczak jednak nie został zjedzony. Na samą myśl wzdrygnął się niespokojnie, jako że nigdy dotąd nie troszczył się o nikogo poza sobą samym. Nie bardzo wiedział, jak nazwać te nowe, nieprzyjemne emocje. Może któreś ze słów poznanych w Słowniku pomogłoby je opisać? „Dobroć”? „Współczucie”? „Altanka”?

Żadne z nich nie brzmiało właściwie. Potrząsnąwszy głową tak, że aż załopotały uszy, przegnał nachalne uczucia i ruszył wydeptaną ścieżynką, by stanąć na progu Clovenstone, pod wielkim sklepieniem bramy. Popatrzył na południe, poprzez rozległą płaszczynę równin Dor Koth, aż po pagórkowate Wrzosowiska Oeth, skryte w cieniu chmur. Naraz ogarnęło go osobliwe podniecenie, gdy zdał sobie sprawę, że jest wolny, naprawdę wolny; nic nie powstrzymywało go od przejścia na drugą stronę i, jeśli tylko chciał, wyruszenia po własną

przygodę, zupełnie jak Henwyn. Szybko jednak potrząsnął uszami ponownie. Nie powinien dopuszczać do siebie tak głupich myśli. Dalej na południe, za wzgórzami, leżały ziemie zamieszkane przez ludzi, a zresztą kolejne przygody to ostatnia rzecz, jakiej pragnął.

Odwrócił się od wolności plecami, postąpił krok z powrotem do Clovenstone... i dokładnie w tej samej sekundzie spadła na niego sieć. Brzegi miała obciążone kamieniami, padł więc na kolana, uwięziony przy samej ziemi. Tupot ciężkich butów zadudnił na schodach, prowadzących z murów obronnych w dół. Wkrótce usłyszał głosy:

- Trafiłem go!
- To goblin, jestem pewny!
- Przyjrzyjmy się mu dokładniej!

Skarper szarpał się i wił na popękanych płytach gościńca, ale zdołał tylko bardziej zamotać się w sieci. Poprzez splątane liny zobaczył trzech mienczaków, obserwujących go z uwagą. Najpierw Henwyn, teraz te typki: nigdy by nie pomyślał, że na traktach Clovenstone panuje taki ruch.

– Tak! – Jeden z mienczaków energicznie pokiwał głową, machając przy tym długą, białą brodą. – To bez wątpienia goblin!

– Nie spodziewałem się, że znajdziemy jakiegoś tak szybko i tak daleko od Murów Wewnętrznych! – dodał drugi, blady i wysoki mężczyzna, z uszami jak dwa odstające pierożki. Na zakrzywionym nosie tkwiły małe okrągłe szkiełka w rogowej oprawie, przez co jego nerwowe oczy zdawały się jeszcze większe i jeszcze bardziej niespokojne.

- Miejmy się na baczności! – dorzucił trzeci. Był niższy od

pozostałych, o torfiastej cerze. Nosił ciemnobrązowe szaty, wyszywane w słońca i księżyce, a w ręku trzymał miecz. – Gdzie jest jeden, tam cała zgraja. Upewnij się, że nie da rady uciec, Fentongoose! Może wysłali go z jednej z wież, by sprawdził, kim jesteście i ilu nas jest. Jeśli nam czmychnie, przed zmierzchem będziemy mieć na głowie całe plemię.

– A więc nie pozwolimy mu czmychnąć – skonstatował białobrody. – Nie wypuścimy go, dopóki nas nie wysłucha. – Pochylił się nad Skarperem, lustrując go czujnym spojrzeniem. – Aby nasza misja miała choć cień szansy powodzenia, muszę zaskarbić sobie przyjaźń goblinów. Jak cię zwą?

Nastąpiła krótka pauza, w czasie której Skarper zmiarkował, że mówią do niego.

– Skarper – wyznał niechętnie.

– A twoje plemię?

– Ferajna z Czarnej Szpona króla Knobblera, ale...

– Świetnie! – Białobrody zatarł z uśmiechem ręce. – Jam jest Fentongoose, a to moi kompani, Carnglaze i Prawl. Jesteśmy członkami Kruczej Kapituły. Spośród ludzi tylko my kultywujemy pamięć o Królu Liczu i jego wszechpotężnej mocy! Dziś Magia ponownie budzi się do życia. Widzieliśmy znaki i przybyliśmy tu, do jej kolebki, do samego jej źródła. Do Clovenstone! – Zamaszystym ruchem ręki wskazał Wielką Twierdzę. Chmury przerzedziły się już trochę i ponad szczytem Meneth Eskern widać było jej ściany, skąpane w blasku popołudniowego słońca.

– Fascynująca budowla, nieprawdaż? – spytał Fentongoose i nie czekając na odpowiedź, ciągnął dalej: – Armie króla Kennacka nigdy nie dostały się do środka. Zanim stanęły u stóp

Twierdzy, wszelkie wejścia zapieczętował liczy kryształ. Jednakże tajemne przejście ujawni się tym, co pozostali wierni Królowi Liczowi przez te wszystkie lata. Patrz! Oto znak, który dowiedzie, że jestem dziedzicem Clovenstone!

Zza kołnierza tuniki wyciągnął niewielki kamienny amulet, zawieszony na rzemyku wokół chudej szyi. Był to bardzo stary, wytarty talizman, przedstawiający ponurą, przystojną twarz, ze skrzydłami wyrastającymi ze skroni.

– Patrz, goblinie! – rozkazał czarodziej. – Ukorz się przed obliczem swego pana, Króla Licza!

– Tak naprawdę nie miał skrzydeł na głowie – sprostował Prawł, zdjęwszy okulary z nosa, by przetrzeć szkiełka rogiem płaszcza. – To metafora.

– Czyli symbol – dodał Carnglaze. – Oczywiście, że masz rację. Z takimi skrzydłami nie mógłby nawet założyć kapelusza.

– Symbolizują lotność jego umysłu, głęboką wiedzę i stalową wolę, która mogła dolecieć aż do krajów ludzi i osiągnąć najodleglejsze stworzenia – dokończył Prawł.

– W rzeczy samej – przytaknął Fentongoose i schował amulet z powrotem pod ubranie. – Rozumiesz więc sam, goblinie, że członkowie Kruczej Kapituły są twoimi nowymi władcami. Chciałbym wyjaśnić to także królowi Knoblerowi, gdy już nas przedstawiś.

– Przedstawię?

– Tak. Zaprowadzisz nas do Czarnego Szpona. Tam oznajmisz nasze przybycie królowi Knoblerowi i przekonasz go, by zagwarantował nam bezpieczne przejście do Twierdzy. W zamian za okazaną pomoc mianujemy go wodzem naczelnym naszej armii, gdy już zostaniemy panami na Clovenstone.

– Ale... – zaczął Skarper, lecz natychmiast zakrył łapką usta, żeby powstrzymać się od wypapłania tego, co właśnie miał zamiar wypapłać: że własne plemię wyrzuciło go z Czarnej Szpony – a dokładniej wykarapultowało za karę – i jeśli wróci teraz w towarzystwie trzech mienczaków, Knobbler rozerwie go na strzępy, jak tylko skończy rozrywać mienczaków na strzępy.

– Ale co? – Fentongoose z irytacją zmarszczył brwi.

– Nic a nic! – odparował Skarper z uśmiechem. – Jestem największym ulubieńcem króla Knobblera i z największą przyjemnością zaprowadzę was do Czarnej Szpony, przedstawię i co tylko chcecie. – Wiedział, że jeśli powie prawdę, nie będą mieli z niego pożytku, a wtedy mogliby go nawet zabić. Na razie musi grać na zwłokę. Po drodze na pewno znajdzie jakiś sposób, żeby uciec.

księżniczka

Przez cały ten czas Henwyn z Adherak maszerował rażno na zachód, o tyle prosto, o ile pozwalał nieprzyjazny teren. Powoli przedzierał się przez gąszcz kniei, siekąc mieczem krzewiaste zarośla, z trudem podążając tropem starych chodników i alejek, grubo zarosłych zielskiem. A im dłużej szedł, tym bardziej żałował, że nie ma już Skarpera do towarzystwa, bo ruiny stopniowo robiły się coraz dziwniejsze, groźniejsze, nieprzyjazne, pełne tajemniczych dźwięków i ukradkowych ruchów.

Żeby choć trochę podnieść się na duchu, zaczął śpiewać piosenkę, której jako dziecko nauczył się w domu. Była to *Ballada serowarów z Adherak* i brzmiała mniej więcej tak:

*Serowar, serowar, serowar to właśnie ja,
Przepyszne sery warzę co dnia!
Na wędzonych, pleśniowych jak nikt się znam,
Smaczniutkich serów deseczkę tu mam!
Więc chwycicie widelce i chodźcie na źer,
I krzyknijcie wraz ze mną trzy razy: za ser!*

„Hurra! Hurra! Hurra”, zawołał i stanął w miejscu, bo gdy

echo przyniosło te wesołe okrzyki z powrotem, zwielokrotnione w opustoszałych, pępnych domach, nie brzmiały już one równie wesoło. Wręcz przeciwnie, zdawały się widmowe, przeszywające i upiorne, przyprawiające o ciarki na plecach. A do tego ponad echem rozbrzmiewało coś jeszcze. Mógłby przysiąc, że usłyszał inne głosy, ciche i trzeszczące, dobiegające z góry, z dołu, zewsząd dokoła, nucące szyderczo melodię: „Serowar, serowar, serowar to właśnie on”, by wnet rozpląnąć się w skrzypiące szepty i przytłumione chichoty. Niemalże jakby same drzewa podjęły jego piosenkę.

– Halo? – Wyciągnąwszy ostrzegawczo miecz, odwrócił się ostrożnie, badając wzrokiem drzewa i zielone cienie pod nimi. – Jest tam kto? Pokaż się!

Ciemne kształty przemykały po grubych, omszałych konarach. Henwyn machnął ostrzegawczo ostrzem.

– Nie boję się! – wykrzyknął, po czym dodał: – Aaach!

Jeden z kształtów zeskoczył przed nim na ziemię. Henwyn zobaczył go wyraźnie w smużce słońca, prześwitującej przez korony drzew. Sięgał mu mniej więcej do pasa, a składał się z chrustu i gałęzi. Wyglądał jak końcówka miotły czarownicy, tyle że pośrodku przewiązany był paskiem czy powrozem, również z kory i gałązek. Nad tym skrzyła się para czarnych jak węgielki oczek. Zamiast na tyczce, stwór balansował na dwóch wrzecionowatych badyłach, a po obu stronach wystawały patykowate ręce, zakończone pająkowatymi dłońmi. W jednej z nich trzymał wierzbową witkę, zaostrzoną na końcu, niczym cienka zielona włócznia.

Goblin? – zawahał się Henwyn. Stworzenie w niczym nie przypominało goblinów z opowieści.

Dookoła coraz więcej chruścianych pokrak spadało z góry, zupełnie jak dojrzałe owoce jesienią. Inne, jak dziwne patykowate chochoły, obsiadły pnie i gałęzie drzew. Jeden balansował na kamiennym ananasie, który zdobił pobliską fontannę. Suchym, szwargoczącym głosikiem, przypominającym szelest liści, wołał:

– Ludź precz! Ludź zły! Pali i tnie! Sieka i rąbie! Teraz drzewa tu rządzą!

– Cóż, ja tylko przechodzę – próbował wytłumaczyć Henwyn.

– Widzicie? Nie mam topora. Idę do Zachodnich Wrót, może moglibyście...

Ale badylaki (jak postanowił je nazywać) wcale nie słuchały. Pchały się ze wszystkich stron, szeleszcząc gałązkowatymi czuprynymi, mrugając ciemnymi, oleistymi ślepkami, a nawet eksperymentalnie dźgając go wierzbowymi włóczniami w nogi i tyłek.

– Au! – krzyknął chłopak. – Ostrzegam was! Ani kroku dalej, albo rażę was swym potężnym mieczem! Następny, który mnie dźgnie, zostanie rażnięty! Znaczy, zrażony! Porażony? Grzmocić! Wygrzmocę was mieczem!

Ciął szeroko i na oślep. Badylaki cofnęły się, mamrocząc z niezadowoleniem, lecz zaraz natarły ponownie, jeszcze mocniej zacieśniając krąg. Henwyn wkrótce odkrył, że nie są wystarczająco solidne, by móc je razić lub grzmocić. Ostrze prześlizgiwało się pomiędzy patykami, a nawet gdy zdołał odrąbać któremuś ramię, z wiązki tułowia wysuwało się następne, by znów chwycić włócznię i dźgać go po łydkach.

– Au! – wołał chłopak raz po raz. Zaczynał się bać. Gdziekolwiek spojrzeł, z lasu wychodziły nowe chruściane

stworki. Było ich całe mrowie, a skoro użył już broni, raczej nie zdoła im wytłumaczyć, że ma pokojowe zamiary. Włócznia świsnęła w powietrzu o włos od jego twarzy. Następna zaplątała się w płaszczu. Nie widząc innego wyjścia, rzucił się do ucieczki. Liczył, że z przewagą wzrostu i wagi zdoła przebić się przez gąszcz patykowatych napastników.

– Ludź precz! Ludź precz! – chrzęściły i chrobotwały badyłaki. Jednak wyglądało na to, że wcale nie chcą tego ludzka wypuścić. Z pęknięcia w chodniku pod stopami Henwyna wystrzelił zielony pęd i urósł tak szybko, że teraz przewyższał go o dobrych kilka stóp. Jakby pod wpływem jakiegoś zaklęcia, wił się i smagał niczym bicz. Chłopak spróbował go wyminąć, ale przed nim wyrósł kolejny. Ciął mieczem, ale już po chwili nie był w stanie się zamachnąć, jako że mnóstwo innych łodyg, giętkich i mocnych, wyrosło ze wszystkich stron, przeplatając się nawzajem i formując klatkę z żywych gałęzi.

Badyłaki obstąpiły klatkę, szeleszcząc i szemrząc. Niektóre podniosły kamienne odłamki i potłuczone dachówki, by jeszcze bardziej naostrzyć swoje włócznie. Gdzieś w głębi puszczy rozległo się miarowe dudnienie bębnow.

Henwyn przełknął głośno ślinę. Nieprzyjemna myśl dopchała się do niego przez ciasne szpary badylastego więzienia. A co, jeśli wcale nie było mu pisane zostać bohaterem? W niemal każdej historii bohater dzielnie wkraczał do legowiska smoka lub giganta, po drodze mijając sterty kości i zardzewiałe zbroje innych, mniej szczęśliwych wojowników, którzy tragicznie polegli przed nim. Może Henwyn miał być właśnie takim pechowym nieszczęśnikiem? Za parę miesięcy prawdziwy bohater z krwi i kości – książę, król czy ktoś taki – będzie szedł

tędy na ratunek Eluned i nawet nie zauważy szkieletu Henwyna, oplątanego gąszczem młodych drzewek...

Dźwięk bębnow narastał. Ziemia drżała w rytm powolnych, głuchych uderzeń. Bum-bum! Dachówki posypały się z przegniłych stropów. Z przeraźliwym skrzekiem zerwała się do lotu ciżba spłoszonych wron i słońek, a nawet jedna zaspana sowa. Co ciekawe, badylaki również sprawiały wrażenie zaniepokojonych. Trajkocząc z przestachem, odstąpiły od klatki. Jednocześnie, łyskając czarnymi koralikami oczu, wypatrywały czegoś ponad koronami drzew.

„Och”, westchnął w duchu chłopak, „co teraz?”.

Jak na komendę olbrzymia noga przesadziła klatkę i z donośnym tąpnięciem postawiła tuż przy niej wielgachną niczym kajak stopę. Naraz pojawił się drugi kajak, roztrącając badylaki na boki. Grube, stare kości skrzypnęły, gdy masywna postać nachyliła się, by zajrzeć pomiędzy splątane drzewka. Pojawiła się szara twarz, upstrzona liszajami mchu, okolona zmierzwionymi kołtunami włosów i strąkami brody, zwieńczona bezkształtną, filcową czapą w rozmiarze małej chatki. Podmuch nieświeżego oddechu owionął Henwyna, podczas gdy przekrwione brązowe oko wielkości talerza taksowało go przez gałęzie.

„To F... F... Fraddon!” – Ze strachu chłopak aż zająknął się w myślach. Nie przypuszczał, że gigant będzie taki... no cóż, gigantyczny.

– Przyszedł ludź! – gderały badylaki, szemrząc jak liście na wietrze. – Nie jego miejsce! Miejsce drzew! Ludź rąbie i pali! Precz!

– Już, już, cicho – przemówił gigant głosem tak głębokim i

grzmiącym, że miało się uczucie, jakby rozbrzmiewał w klatce piersiowej, a nie w uszach. – To nie drwał. A to jest miecz, nie siekiera. Zostawcie go w spokoju, dobrze? – Z tymi słowy chwycił więżący Henwyna chruśniak, wyrwał go jednym solidnym szarpnięciem i odrzucił w ruiny, jak ogrodnik pielący chwasty.

Badyłaki zasyczały, zaklekotały i niechętnie czmychnęły w las, niczym chrobocząca chruściana fala.

Henwyn i gigant przyglądali się sobie nawzajem.

– Kim jesteś, chłopcze? – Olbrzym odezwał się pierwszy.

– Jestem Henwyn z Adherak – wykrztusił Henwyn.

– Ja jestem Fraddon – przedstawił się gigant, grzecznie zdejmując czapkę z głowy. – Co sprowadza cię do Clovenstone, Henwynie z Adherak?

– Przybyłem, żeby cię pokonać i uratować księżniczkę Eluned!

Obaj spojrzeli na mieczyk, który Henwyn ścisnął w dłoni. Chłopak bał się, że Fraddon go wyśmieje albo, co gorsza, chwyci wielkim łapskiem i rozgniecie jak muchę. Zamiast tego gigant pokiwał spokojnie głową, bawiąc się naszyjnikiem z kamieni młyńskich nawleczonych na konopną linę. Całkiem elegancki, jak na olbrzyma, zauważył Henwyn. Koszulę miał starannie uszytą z żagli okrętów, a skórzane spodnie na każdym kolanie łatane barwnymi, pasiastymi kotarami. Paznokcie u rąk i stóp były ewidentnie zadbane, czyste, krótko przycięte. A gdy już przywykło się do jego dudniącego głosu i kłów wystających z kącików ust, należało przyznać, że był raczej łagodny i dobrze wychowany. Absolutne przeciwieństwo dzikiej bestii, jakiej spodziewał się Henwyn. Młodemu bohaterowi zrobiło się trochę

głupio i zaczął myśleć, co począć dalej.

– Herbatki? – zapytał gigant.

Henwyn opuścił miecz. Zupełnie inaczej wyobrażał sobie heroiczne starcie z krwiożerczym potworem.

– Mam też ciasto – dorzucił krwiożerczy potwór.

– Ooooch – westchnął Henwyn i zaburczało mu w brzuchu. Prawie zapomniał, że nie jadł nic od tego ranka, gdy przybył do Clovenstone. Na dodatek wszystkie zapasy stracił w potyczce z trollem.

Fraddon najwidoczniej wziął to za twierdzącą odpowiedź. Założył ogromniastą czapę z powrotem, po czym dwoma palcami uniósł Henwyna z ziemi, posadził go sobie na szerokim ramieniu i sążnistymi krokami ruszył przez las, delikatnie rozsuwając na boki pnie, i przeskakując przez porośnięte bluszczem ruiny. Po jakimś czasie, ponad czubkami drzew w oddali, wyjrzały obwarowania Zachodnich Wrót. Wysoko nad bramą, nasadzony na szczycie strzelistej strażnicy, tkwił wrak okrętu, a pomiędzy jego masztami suszyło się rozpięte pranie.

Księżniczka Eluned pracowała w skromnym ogródku, który założyła na południowym zboczu, osłoniętym zachodnim odcinkiem murów Clovenstone. Boso, z podciągniętą i wciśniętą za pasek sukienką, brodziła po kolana w stawie rybnym, grabiami wybierając rzęsę wodną. Silne popołudniowe słońce raziło ją pomimo szerokiego słomkowego kapelusza, ale nie miała mu tego za złe. Przyjemnie było grzać się w ciepélku słoneczka, zwiastującego rychłe nadejście wiosny. Lubiała ogród u schyłku zimy: pierwsze delikatne pędy, przebiśniegi i krokusy wystawiające z trawy wesołe główki, zapach wilgotnej gleby, tętniącej zielonym, ziemistym życiem, szykującej się, by już

wkrótce wybuchnąć eksplozją listków, pąków i kwiatów.

W starej balladzie o porwanej księżniczce, którą nucił niedawno Henwyn, tkwiło ziarnko prawdy. Pewnego dnia płynęła okrętem króla Lusuenn, by poślubić Colvennora, władcę Choon. Nim jednak dotarła do celu, Fraddon Olbrzym nadszedł poprzez fale, chwycił stateczek i, wciąż z księżniczką na pokładzie, zaniósł go do swojej kryjówki na skraju Clovenstone.

Bywa wszakże, że nawet najbardziej wzruszające historie pomijają czasem mniej wzruszające detale. Nie inaczej jest w przypadku *Ballady o księżniczce Eluned*. Harfiarz, który skomponował pieśń, nie uznał za stosowne wspomnieć, iż księżniczka była inteligentną, charakterną dziewczyną i nie miała najmniejszej chęci zostać żoną króla Colvennora (który, nawiasem mówiąc, nie był ani inteligentny, ani charakterny). Colvennor był w rzeczywistości głośnym, leniwym i tępym gburem. Nie miał w swoim zamku ani jednej książki i święcie wierzył, że przeznaczeniem każdej księżniczki jest siedzieć smętnie przez cały dzień w gromadce rozszczebiotanych dam dworu.

Niestety, Eluned nie miała żadnego wyboru.

Tak naprawdę nie była córką króla Lusuenn, lecz jego bratanicą. Jedyńm powodem, dla którego dostała pokoił na jego dworze, był zaaranżowany uprzednio mariaż z Colvennoreml z Choon, dzięki czemu jej wuj otrzymałby kilka wysepek, na jakie od dawna ostrzył sobie zęby. Rodzice Eluned zginęli, kiedy była jeszcze małą dziewczynką. Zdarzyło się to pewnej straszliwej nocy, którą pamięta (jakkolwiek słabo) aż do teraz, a czasem nawet widuje w najgorszych koszmarach.

Ojciec i matka Eluned byli królem i królową Smarkortu,

maluteńkiego państewka, leżącego na najbardziej wysuniętym na północ, kamienistym skrawku Pogryzionego Wybrzeża. Chociaż znajdowało się ono dość blisko Północnych Wrót Clovenstone i po dziś dzień nawiedzają je upiorne syreny, węże morskie i inne popłuczyny po okrutnych rządach Króla Licza, generalnie rzecz ujmując, było to względnie przyjemne miejsce. Upiorne syreny i węże morskie rzadko dawały się mieszkańcom we znaki. Pomalowane jaskrawymi kolorami domy upchnięto po obu stronach stromej zatoczki, obejmującej grube mury niewielkiej przystani, w której na spokojnych wodach cumowały łodzie rybackie.

Zamek króla Smarkortu stał na strzelistym cyplu, górującym nad resztą miasta. Przez okno swojej komnaty dziecinnej Eluned często obserwowała urwiste skały i bazaltowe kolumny Pogryzionego Wybrzeża, wgryzające się w błękitne niebo. Zaiste, samo wybrzeże z daleka naprawdę wyglądało na pogryzione, jak rozległy kamienny biskopt, stopniowo nadgryzany przez morze od zarania świata. Księżniczka nigdy nie zapomniała grzmotu fal, które bez ustanku pieniały się i kipiały w morskich jaskiniach, ciągnących się pod zamkiem; potem burzyły się na niedostępnych żwirowych plażach u stóp klifów. Pamiętała wciąż, jak podczas przypływów pienne bałwany strzelały z tuneli wylotowych w skalistym fiordzie. A-psssiik! – huczała wzburzona woda, a mgiełka delikatnych kropelek i strzępki piany, zabarwione tęczowym blaskiem, niosły się aż do zatoki. Stąd właśnie wzięła się jej nazwa: Smarkort, czyli zasmarkany port w starszej mowie.

Kiedy Eluned miała zaledwie osiem lat, wydarzyło się tragiczne nieszczęście. Z Clovenstone hurmem wytoczyli się

goblińscy szabrownicy, rabując, grabiąc i paląc gospodarstwa i sadyby w głębi lądu, jednocześnie niestrudzenie maszerując na sam port. Mieszkańcy Smarkortu schronili się na zamku, a ojciec Eluned zebrał najlepszych ludzi i wyjechał nieprzyjacielowi na spotkanie. Na szczytach klifów rozgorzała zacięła bitwa, ale wataha goblinów nie była tak liczna, jak się spodziewano i wkrótce zakrwawione trupy bandytów zdołały poskręcane chaszczce ciernistych ostrężyn. Zwycięstwo było przytłaczające i żaden z najeźdźców nie przeżył. Żaden, poza jednym. Jeden rozdygotany, zachlipany goblin ubłagał rycerzy, by darowali mu życie. Wyglądał tak żałośnie, cały pokiereszowany i poraniony, że ojciec Eluned, który był wielce dobrodusznym człowiekiem, nie miał serca go zabić. (Czasami, w nocnych koszmarach, Eluned słyszała płaczliwe kwilenie: „Litości! Litości!”). I tak dobrotliwy król zabrał goblina do swojego zamku. „Opatrzymy biedaka i wyślemy z powrotem do Clovenstone”, powiedział. „Niech opowie rodakom, jakie przyjęcie mężni wojacy Smarkortu zgotowali jego kamratom”.

Ale w Clovenstone kamratów goblina nie było. Właśnie dlatego wataha wydawała się tak mała. Większa część członków wyprawy łupieżczej ukryła się wśród skał i głazów na górze urwiska, czekając na właściwy moment. Jak tylko skamlący goblin znalazł się na zamku i upewnił, że nikogo nie ma w pobliżu, przestał skamleć, po czym bezzwłocznie podniósł broń, otworzył bramę i wpuścił koleżków do środka.

Wywiązała się krwawa bitka, w której poległ zarówno ojciec Eluned, jak i jej matka. Pozbawiona obojga rodziców księżniczka trafiła na dwór swojego wuja w Lusuenn, gdzie ludzie byli zbyt cywilizowani i wykształceni, aby wierzyć

choćby w gobliny, nie mówiąc o węzach morskich i upiornych syrenach. Kiedy opowiadała im, jak zginęli jej rodzice, kręcili smutno głowami i wzdychali: „Biedne dziecko! Postradała zmysły! To przecież lądowi piraci, nie gobliny, napadli na Smarkort!”. Dwórki śmiały się z jej północnego, wiejskiego akcentu i przezywały „Smarkatą Księżniczką z Zasmarkanego Portu”. A gdy skończyła szesnaście lat, wuj oznajmił, że wyda ją za mąż za króla Choon.

Nic więc dziwnego, że była w paskudnym humorze, kiedy zaciągnął ją na statek i razem ruszyli w rejs do Colvennora. Dlatego też, gdy osuszyła zapłakane oczy i przez okienko rufowej kajuty ujrzała olbrzymią szarą postać, schodzącą ze skarpy Łba Choon, a następnie brnącą w jej kierunku poprzez fale, nie pomyślała wcale: „Och, nie! Olbrzym”, lecz raczej: „Cudownie. To na pewno pokrzyżuje plany weselne...”.

Ach, jak marynarze, słudzy i dwórki krzyczeli wniebogłosy, gdy Fraddon uniósł okręt z wody silnymi, muskularnymi rękami. Niektórzy wołali ratunku, inni skakali do morza, a paru najdzielniejszych wystrzeliło kusze i balisty, lecz ich pociski, nawet jeśli trafiały w olbrzyma, nie były dla niego bardziej irytujące niż ukąszenia komarów.

Tchórzliwy król zaskrzeczał piskliwie i spróbował wgramolić się pod stół, ale ten wciąż odsuwał się od niego, podczas gdy gigant przekręcał statek raz w tę, raz w tamtą stronę, podziwiając misterne malunki na kadłubie. „Bestia pożre nas żywcem!”, szlochał wuj, trzęsąc ze strachu pokaznym brzuszkiem i brzęczącymi ostrogami. Jednakże Eluned, spojrzawszy przez okienko na wielką twarz, spojierającą z kolei na nią, natychmiast zrozumiała, iż wzmiankowana bestia nie

pożre nikogo. Czytała kiedyś o gigantach i wiedziała, że są to pokojowi mieszkańcy lasów i wzgórz i chociaż potrafią wypić hektolitry wody, jedzą tyle, co kot napłakał, a już na pewno nie ludzi.

Eluned otworzyła więc świetlik i pomachała olbrzymowi. „Cześć! Jestem księżniczką!”, zawołała. „Ładownia tej łajby pełna jest skarbów. Odstaw załogę bezpiecznie na brzeg, a wszystkie te bibeloty są twoje. Jest tylko jeden warunek, drogi gigancie. Musisz zabrać mnie z sobą. Porządny gigant potrzebuje królewskiej zakładniczki, co nie?”.

I tak właśnie zrobił. Najpierw na czubku Łba Choon zostawił roztrzęsioną gromadkę wraz z wujem Eluned, a potem (ładnie poproszony przez księżniczkę) wyłowił wszystkich głuptasów, którzy wcześniej rzucili się w fale. Na koniec wziął okręt pod pachę i milowymi krokami zawrócił do Clovenstone. Od tamtej pory Eluned i Fraddon mieszkali razem. Jak się wkrótce okazało, jej nowy towarzysz był bardzo spokojnym gigantem. Lubił spędzać czas na marzeniach, całymi dniami stojąc bez ruchu jak drzewo w lesie lub stary dolmen na Wrzosowiskach Oeth. Eluned uszyła mu nowiutkie, modne ubranie, którym zastąpił szmaty i surowe skóry, jakie dotąd nosił. W zamian za to Fraddon podarował jej ogródek i posadził w nim owocowe drzewa, wyrwane z korzeniami w sadach południa. Przyniósł także całe regały książek, wykradzione z pałaców leniwych królów i książąt, którzy i tak uważali, że czytanie to strata czasu (woleli oglądać teatrzyki kukiełkowe). Wrak okrętu z Lusuenn, osadzony na szczycie najwyższej strażnicy Zachodnich Wrót, był idealnym wprost miejscem do rozmyślań i lektury. Z początku Eluned obawiała się trochę napadu goblinów, które

żyły przecież tuż za miedzą (czasem w nocy dało się słyszeć ich dzikie wycie i ujadanie poza Murami Wewnętrznyimi), szybko jednak zrozumiała, że te paskudne kreatury jeszcze bardziej bały się Fraddona Olbrzyma i nigdy nie podchodziły zbyt blisko jego kryjówki.

Przez pierwszych kilka tygodni księżniczka tęskniła za towarzystwem ludzi, lecz koniec końców nauczyła się obywać bez niego; jeżeli już naprawdę chciała z kimś porozmawiać, wystarczyło, że poszukała którejs z dziwacznych istot, zamieszkujących Clovenstone. Ani chybi było to bardziej zajmujące niż życie królowej Choon.

Początkowo zdarzało się, że jakiś irytujący bohater przybywał jej na ratunek. Całkiem sporo przyjechało konno zapuszczonym gościńcem, wiodącym do Zachodnich Wrót. Trąbili w rogi, wymachiwali orężem, powiewali sztandarami. Większość na sam widok Fraddona uciekała, gdzie pieprz rośnie. Paru nalegało jednak na pojedynek, więc łagodny gigant zmuszony był na nich usiąść, aż ochłonęli. Eluned wieszała porzucone tarcze i miecze na okolicznych drzewach jako ostrzeżenie dla innych. Dziś tarcze zmurszały, miecze zardzewiały i od wieków nikt nie próbował jej ratować.

A to kolejny fakt, którego Henwyn nie wziął pod rozwagę. Ballada była stara. Znacznie starsza, niż myślał. Słoneczny dzień, kiedy to Fraddon podźwignął okręt księżniczki Eluned i zabrał ją ze sobą do Clovenstone, wydarzył się ni mniej, ni więcej, tylko trzydzieści lat temu.

Możecie sobie wyobrazić zaskoczenie młodego bohatera, gdy olbrzym postawił go na trawie przy jezioru. Biedaczysko spodziewał się pięknej młodej księżniczki, a zastał kobietę po

czterdziestce, z kurzymi łapkami wokół oczu i posiwiałymi włosami. Bynajmniej nie chciałby zdobyć jej ręki! Oddajmy mu jednak sprawiedliwość, że starał się to ukryć za wszelką cenę.

– Księżniczko Eluned! – oznajmił z głębokim ukłonem. – Jestem Henwyn z Adherak i przybyłem cię uratować.

Słyszając te słowa, Eluned uśmiechnęła się ciepło.

– Ależ ja nie potrzebuję ratunku! – powiedziała wesoło, lecz widząc jego zawiedzioną minę, dodała szybko: – Ale i tak bardzo dziękuję! Możesz mi mówić Ned.

KŁOPOTY Z GOBLINAMI

Ledwo Krucza Kapituła wyruszyła z Południowych Wrót do Murów Wewnętrznych, Skarper począł wypatrywać sposobności ucieczki. Był przekonany, że gdzieś po drodze znajdzie jakąś szparę w ruinach, przez którą zdoła się cichcem przecisnąć, i sporo ciemnych dziur, gdzie można by się schować. Niestety, nie zdążyli ująć dziesięciu kroków, gdy Carnglaze zarządził postój. Wyciągnął z tobołków postronek i założył goblinowi na szyję.

– Hej! – zaprotestował Skarper, gdy czarodziej mocno zacisnął pętlę.

– Ależ, bracie Carnglaze! – wymamrotał Fentongoose. – Nie sądzisz, że to niezbyt przyjazne?

– Ty możesz mu ufać, Fentongoose, ale ja nie zamierzam – odburknął Carnglaze. – Dużo czytałem o goblinim rodzie i nie było tam nic miłego. Ten wygląda szczególnie podejrzanie. Nie chcemy przecież, żeby porzucił nas w tym zarośniętym labiryncie, prawda? Wypuścimy go, jak dojdziemy do Murów Wewnętrznych.

– Niech i tak będzie. – Fentongoose, niezbyt przekonany, przystał na propozycję i trzech czarowników podjęło przerwany

marsz, prowadząc Skarpera jak na smyczy.

– Takie zabezpieczenie, rozumiesz? – Carnglaze szarpnął powrozem. – Jeśli twoi kumple szykują na nas zasadzkę, ty pierwszy posmakujesz żelaza.

Najwidoczniej nie wiedział, że Skarper już dawno o tym pomyślał.

Mijali resztki zabudowań pełne nęcących cieni, ale z liną na karku nie miał jak się wymknąć. W przypiływie desperacji wypatrywał obłoków na niebie, jako że nawet atak chmurzann wydawał się pożądaną dywersją. Niestety, jak na złość horyzont był błękitny i przejrzysty; jedyne chmurki zebrały się wśród oddalonych szczytów Gór Kościanych. Niebawem drzewa zamknęły się nad gościńcem, który łagodnym zboczem opadał w dolinę rzeki Oeth.

Samozwańczy czarodzieje rozglądali się niespokojnie. Marzyć o zdobyciu zapomnianej domeny Króla Licza, czytać o niej w tajemnych wolumenach i pożółkłych pergaminach – to jedno. Jednak być tutaj we własnej osobie, odczuwać tę ponurą atmosferę na własnej skórze – to zupełnie inna bajka.

Na przestrzeni wieków Krucza Kapituła w sekrecie pielęgnowała pamięć o imperium Clovenstone. „Nadejdzie czas, gdy do świata powróci magia”, pouczała starszyzna Kapituły kolejne pokolenia. „Nadejdzie czas, gdy powrócimy do Clovenstone, a jeden z nas zasiądzie na Kamiennym Tronie i straszliwa moc Króla Licza będzie na nasze rozkazy!”

Nie mogli jednak żyć tylko obietnicą tego odległego dnia. W międzyczasie chodzili do pracy, zakładali rodziny, mieszkali w domach. Słowem, wiedli normalną, spokojną egzystencję. Chociaż więc uważali się za czarnoksiężników i następców

Króla Licza, dla większości z nich czarnoksiężstwo było zaledwie hobby. Wieczorami wykradali się ukradkiem na tajne spotkania, by praktykować zaklęcia (które nigdy nie działały) i ślęczyć nad opasłymi księgami czarów (udając, że wszystko rozumieją), podczas gdy zrezygnowane żony przypominały im z westchnieniem, że obiecali wstawić nowe półki w spiżarni, a „jutro z rana trzeba iść na targ, więc proszę, kochanie, nie wracaj zbyt późno”. W miarę jak mijały stulecia, ciemność wywietrzała z dusz bractwa. Niewielu ludzi w przyjaznych ziemiach nadal wierzyło w magię. Ostatnio, w serii popularnych wykładów pod zbiorczym tytułem „Czemu magia nie exystuje”, pewien filozof imieniem Quesney Theza dowiódł, że nie ma czegoś takiego jak czary. Wielu byłych członków Kapituły uznało, że nie można spierać się z tak inteligentną Thezą. Porzucili więc mistyczne igraszki na rzecz innych, bardziej przyziemnych zamiłowań, jak wikliniarstwo czy odtwarzanie Bitwy pod Dor Koth z udziałem malutkich ołowianych rycerzyków. Ostatecznie wiernych prastarej tradycji pozostało tylko trzech.

W swoich przytulnych, małych domkach w Kolendrze Fentongoose, Carnglaze i Prawl czuli się bardzo odważni i niebezpieczni, gdy pozdrawiali się w imię Króla Licza i zapalali czarne świece przed ołtarzem z wizerunkiem posepnej, skrzydlatej głowy. Teraz, w zgliszczach jego zrujnowanego królestwa, trzęśli portkami.

– Zaprawdę podniosła to myśl, iż po tylu latach oczekiwania to właśnie nam przypadło w udziale przybyć do włości Mistrza – powiedział z uniesieniem Fentongoose, w miarę jak zagłębiali się między drzewa. Choć próbował brzmieć dzielnie, nie mógł

powstrzymać drżenia głosu.

– Kiedy już posiadziemy moc Króla Licza i rzesze goblinów będą na każde nasze skinienie – marudził Prawl – najspierw rozkażę im przetrzepać skórę temu partaczowi, co uszył te buty. Obcierają mnie jak diabli.

Carnglaze milczał. W młodości przez kilka miesięcy służył w armii króla Zandegararu i z tego względu czuł się odpowiedzialny za bezpieczeństwo wyprawy. Zdecydowanie nie można było oczekiwać, że Fentongoose i Prawl sami zatroszczą się o siebie. Obaj mieli ogromną wiedzę, niewątpliwie wielce uczeni mężowie, lecz jego skromnym zdaniem nie zdołaliby się sami wysmarkać. Nie wypuszczał więc z ręki starego miecza, a gdy dotarli do mostu na rzece Oeth, przystanął gwałtownie, mocno ściągając powróż, aż Skarper przysiadł na ziemi.

– Coś nie tak? – spytał Fentongoose.

Carnglaze skinął głową w kierunku ukruszonego gzymsu.

– To niedawne uszkodzenie. Widzisz, tylko tam nie ma bluszczu. – Ponownie targnął liną. – Co tu się stało, goblinie?

– A skąd mam wiedzieć? – zaprotestował Skarper. – Pewnie nic. Mosty z czasem się psują, nie? Szczególnie w Clovenstone.

– Brzmi rozsądnie – przyznał Fentongoose. – Wszędzie, jak okiem sięgnąć, nic tylko ruiny. Czemu z mostem miałoby być inaczej?

– Dobrze – Carnglaze zgodził się niechętnie. – Ale goblin idzie przodem.

Skarper tylko na to czekał. Odkąd zaczęli schodzić w dół doliny, w jego bystrej główce zaświtał plan. Może nie najlepszy pod słońcem, ale jedyny, na jaki zdołał wpaść w obecnej sytuacji. Mianowicie planował zaprowadzić mienczaków na ten

właśnie most i zmyć się, gdy tylko spod spodu wyskoczy troll, żeby ich pożreć. Oczywiście wiele rzeczy mogło pójść nie tak. Dajmy na to, troll tak mocno oberwał w głowę, że naprawdę padł trupem albo ledwo przeżył i teraz liże rany w jakiejś nadrzecznej norze. Jakkolwiek by było, lepszy taki plan, niż żaden. Zacisnąwszy zęby, Skarper wyszedł na most i stanął pośrodku.

– Co znowu? – ponownie zapytał Fentongoose, szybkoitko zajmując strategiczną pozycję za plecami Carnglaze’a i Prawła na wypadek niebezpieczeństwa.

– Jestem po prostu ostrożny – odparował Skarper. – Na mostach trzeba uważać, bo mają w zwyczaju trollować wędrowców. W takich miejscach nietrudno o trolle – dodał dla pewności głośniej, a ostatnie słowo odbijało się od obydwu brzegów rzeki jak piłeczka pingpongowa, ale poza tym nic się nie stało: nic nie wyskoczyło z mrocznej toni pod mostem, by z rykiem rzucić się na jego ciemiężców. Goblin westchnął i ze spuszczoną głową podreptał do przodu. Czarodzieje ruszyli jego śladem i po chwili cała czwórka znalazła się przy stopniach wiodących na północ. A zatem biedny troll nie żyje, pomyślał Skarper i zrobiło mu się niemal tak samo żal tej dzikiej bestii jak samego siebie.

Maszerowali w milczeniu, a gościniec piął się coraz wyżej. Ruiny i las milczały wraz z nimi; nie było słychać żadnych podejrzanych trzasków ani ukradkowych szelestów, jakimi rozbrzmiewała knieja, gdy Skarper szedł na południe. Może leśni mieszkańcy pochowali się ze strachu przed tymi wielkimi, hałaśliwymi ludźmi – zgadywał. Wiedział jednak, że gobliny z wież nie są tak strachliwe. W oddali masywna ściana Murów

Wewnętrznych wznosiła się nad drzewami i resztkami budynków jak wysoka, skamieniała fala. Wieczne słońce pokrywało ją siecią cieni, rzuconych przez setki powykęcanych, ciernistych krzewów, porastających pęknięcia i szczeliny pomiędzy kamieniami. Skarper podejrzewał, że wartownicy z najbliższych wież – Czarnego Szpona i Krzywostropu – już dawno zauważyli ich wesołą gromadkę, powoli przedzierającą się przez ruiny. Jeszcze dalej, poza basztami, gargantuiczna, ponura Twierdza rozcinała bezkres nieba.

Wchodzili wyżej i wyżej, z trudem brnąc w hałdach potłuczonych dachówek, które jak lawina zasypały drogę. W końcu zobaczyli przed sobą okazałą bramę – czarne, łukowate sklepienie ziejące w warownym murze niczym rozwarta paszcza potwora. Zardzewiałe kły żeliwnej brony szczyrzyły się upiornie z cieni.

– Tędy nie przejdziemy – szepnął Skarper z obawy przed baczynymi goblinскими uszami. – Łańcuchy dawno przeżarła rdza i bramy nie lza podnieść, a za nią rumowiska tarasują drogę.

– Ale jakoś musicie wchodzić i wychodzić... – zastanawiał się Fentongoose.

– Gobliny mają ukryte przejścia, sekretne tunele i korytarze – wyjaśnił Skarper. – Tyle że ja ich nie znam. Pierwszy raz jestem na zewnątrz i wydostałem się górą, nie dołem.

Prawł spojrzął na szczerbate blanki i zagwizdał.

– Wspinałeś się z tak wysoka?

– Wspinałem... no, niezupełnie...

Carnglaze uważnie rozejrzał się na prawo i lewo.

– Jeśli brama naprawdę jest zablokowana, musimy poszukać jednej z tych tajnych goblinich ścieżek...

Fentongoose się zniecierpliwił.

– A czemuż to mamy zakradać się do własnych włości jak jakaś banda złodziei? – Przytupnął nogą. – Jesteśmy Kruczą Kapitułą! A gobliny to nieudolne, bezmózgie kreatury! Nikt im nie przewodził od upadku Mistrza! Powinny być wdzięczne, że zjawili się ich prawdziwi władcy! Zaraz oznajmię nasze nadejście!

– Nie, nie! Nie rób tego! – Skarper próbował go zatrzymać, lecz czarodziej odszedł parę kroków do tyłu i zaczął gramolić się na cokół przewróconej rzeźby, aby lepiej go widziano z okolicznych czatowni i wież.

– Gobliny z Clovenstone! – zakrzyknął, a jego piskliwy głosik odbił się echem od kamiennej ściany. – Końca dobiegł czas oczekiwania! Starożytność znów budzą się w trzewiach ziemi na wezwanie wszechpotężnych czarodziejów Kruczej Kapituły! Spójrzcie! Jest z nami jeden z was, dzielny Skarper, który zaświadczy, że przychodzimy jako przyjaciele...

Żadna odpowiedź nie nadeszła z czujnych strzelnic Czarnej Szpona ani z krenelaży Murów Wewnętrznych. Czarodziej sięgnął za pazuchę i wyciągnął amulet, który wcześniej pokazał Skarperowi.

– Przyjrzyjcie się! Oto talizman Mistrza! Znak Króla Licza! Niezaprzeczalny dowód, że jesteśmy jego prawowitymi spadkobiercami! Ukorzcie się, bo nasza moc jest straszna! Zaledwie parę dni temu przywołany przez nas demon pod postacią morderczego sera zniszczył połowę miasta!

Nagle głos mu się załamał. Jakoś nie brzmiało to tak

imponująco, jakby sobie życzył. Nie powinien był wspominać o tym serze.

– Wyobraźcie sobie, ile zdziałyśmy razem, gdy zasiądę na Kamiennym Tronie! Te wszystkie cuda i dziwy, gdy Twierdza ponownie stanie otworem! – ciągnął odzyskawszy rezon. – Otwórzcie więc bramy, drodzy przyjaciele! Zjawili się nowi panowie na Clovenstone!

W pierwszej chwili zdawało się, że nikt nie zwrócił uwagi na jego tyradę. Echo przebrzmiało i nastąpiła grobowa cisza. Tylko wiatr zawodził smętnie, niosąc wzdłuż murów martwe liście. Wtem ze szczytu Czarnego Szpona rozległ się przenikliwy, metaliczny dźwięk trąbki, a wkrótce potem z Krzywostropu nadeszła jazgotliwa odpowiedź.

– Co to za hałas? – jęknął Prawł, zasłaniając rękami uszy.

– Rogi goblinów – domyślił się Carnglaze.

– Witają nas! – Fentongoose aż podskoczył z radości.

Skarper pokręcił w rozpaczy łebkiem, ale ledwo to było widać, ponieważ trzął się calutki od stóp do głów.

– To trąby wojenne! – wykrztusił przez szczękające zęby i najchętniej dałby drapaka, gdyby Carnglaze nie trzymał go na smyczy; smagły czarownik stał jak sparaliżowany nagłym obrotem sytuacji. – Trąby wojenne, tylko takie mają gobliny!

Skarper aż za dobrze wiedział, co dzieje się właśnie na górze. Setki stóp wyżej, w Czarnym Szponie, goblinscy czatownicy pobiegli ostrzec króla Knobblera o przybyciu mienczaków. W sąsiednim Krzywostropie Szalony Manaccan słuchał już raportu własnych wartowników. Dźwięki trąb zaalarmują także klany z pozostałych wież, ale nimi Skarper się nie przejmował. Zanim dotrą na miejsce, będzie już dawno po masakrze.

W Czarnym Szponie i Krzywostropie szumi zapewne jak w ulu, podczas gdy Knobbler i jego wojacy chwytają każdą broń, jaka wpadnie im w łapska i na łeb, na szyję rzucają się w dół krętych schodów, tratując po drodze mniejsze i słabsze gobliny, byle tylko jak najszybciej dostać się do intruzów.

– Musimy uciekać! – wyjąkał Prawł, a Skarper pomyślał, że to pierwsza rozsądna rzecz, jaką powiedział, odkąd się poznali.

– Nie, nie! – zaproponował Fentongoose. – To tylko zwykłe nieporozumienie; na pewno da się to jakoś wyjaśnić...

Raptem dobiegł ich inny dźwięk: głębokie, wibrujące brzdąknięcie, które Skarper natychmiast rozpoznał. Jakiś nadgorliwy goblin wypełnił karapultę gruzem i wystrzelił w nieproszonych gości. Na niebie pojawiła się czarna kropka; kropka, która z sekundy na sekundę robiła się coraz większa, aż urosła do rozmiarów wielkiego kamulca.

– Uwaga! – krzyknął Skarper i odepchnął Carnglaze'a na bok. Człowiek, przekonany, że mały goblin go atakuje, zaklął brzydko i obnażył miecz. Zatrzymał się jednak, gdy tuż obok łupnął ogromny głaz, wzniecając tumany kurzu i rozrzucając kłujące drzazgi i odłamki. Zanim oszołomieni wędrowcy doszli do siebie, płyta chodnikowa gościńca odskoczyła do góry i jak spod ziemi wypadła czereda goblinów.

GONITWA W RUINACH

Z początku Skarper nie wiedział, czy napadła ich ferajna Knobblera, czy szajka Szalonego Manaccana. Zaraz jednak zrozumiał, że obie naraz. Gobliny z rywalizujących wież spotkały się w poternach biegnących pomiędzy fortyfikacjami a Murami Wewnętrznymi, jednak zamiast walczyć ze sobą, jak to zwykle czyniły, zwały zgodnie szyki, połączone wspólną nienawiścią do mienczaków. Manaccan pierwszy wyskoczył na powierzchnię, kręcąc nad głową młyńca kiścieniem o trzech kolczastych bijakach i wyjąc ile sił w płucach. Knobbler był tuż za nim; wymachiwał groźnie Panem Rach-Ciach, stojąc wysoko na dużej pawęży, którą z wysiłkiem dźwigało czterech innych goblinów. Podążając za swoimi wodzami, z tunelu wylała się rozwrzeszczana chmara goblinów. Zupełnie jakby cały krąg Murów Wewnętrznych był wiaderkiem po brzegi wypełnionym dzikimi goblinami, a przemowa Fentongoosa zrobiła w nim otwór.

– Czekajcie! Patrzcie! – wołał białobrody czarodziej, potrząsając skrzydlastą głową zawieszoną na rzemyku. – Jesteśmy Kruczą Kapitułą! Starożytne moce ziemi płyną w naszych żyłach!

Niektóre gobliny były pod wrażeniem, ale Knobbler zaszarżował, wciąż wywijając Panem Rach-Ciach, a Szalony Manaccan, który nie lubił, jak ktoś był szaleńszy od niego, pieniać się i prychnąć, z dzikim rykiem skoczył w ślad za nim. Na widok takiej furii Fentongoose zakwilił, zapiszczał i wziął nogi za pas.

Prawła już dawno nie było. Carnglaze puścił postronek Skarpera i pognał za nimi. Uwolniony nagle goblin zawahał się, czy również zmykać, czy spróbować się wytłumaczyć – „Spójrzcie! Schwytałem trzy mięczaki!” – lecz ostatecznie wybrał to pierwsze. Knobbler i reszta jego hałustry nie wyglądali, jakby byli w nastroju na wyjaśnienia.

Trzej czarodzieje mieli przewagę na starcie, ale Skarper zobaczył skrawek szat Prawła znikający za rogiem, pobiegł więc w tamtą stronę. Czarownicy pędzili na złamanie karku, potykając się na stromych uliczkach, susami przeskakując przez zwalone filary. Jak na uczonych starców potrafili niezłe wyciągać nogi. Zasuwali jak w obłąkańczym biegu przez płotki. Prawł odrzucił plecak, żeby ciężar bagażu go nie spowalniał. Skarper już chciał przystanąć, by zajrzeć do środka (kto wie, czy nie było tam jakichś kosztowności), lecz wrzaski i tupot pogoni, rozbrzmiewające w ruinach kolumnady, odwiodły go od tego pomysłu. „Nie ma sensu szukać kryjówki”, pomyślał, mijając gęste komysze, splątane po obu stronach doliny. „Nie ma sensu zawracać i próbować wtopić się w nagonkę. Pewnie tak prześmiardłem ludźmi, że wyczują mnie od razu...”

Biegł więc i biegł, a strach dodawał mu skrzydeł. Wkrótce usłyszał rzekę Oeth, radośnie szemrzącą w swoim korycie. Dysząc ciężko, z obolałymi stopami, dogonił czarodziejów,

którzy zbiegali po schodach do zalesionego wąwozu, gdzie zmrok pogłębił już cienie drzew. Cała czwórka padała ze zmęczenia po karkołomnym sprincie od Murów Wewnętrznych, a pościg niemiłosiernie deptał im po piętach. Mniejsze i zwinniejsze gobliny zrównały się z nimi, jeszcze zanim zdążyli dotrzeć do mostu. Skakały po drzewach i zrujnowanych budowlach, ciskając w uciekinierów kamieniami i kawałkami dachówek. Całe szczęście, że nie miały łuków albo czegoś groźniejszego niż dachówki i kamienie. Całe szczęście, że były marnymi strzelcami. Ale trzeba będzie jeszcze więcej szczęścia, myślał Skarper, żeby on i trzej durni czarownicy zdołali ująć z życiem.

Wreszcie pokazał się most. Skarper słyszał przepływającą wąwozem rzekę i wilgotne pop, plop, pop bąbelków powietrza, pękających na powierzchni nurtu tuż przy przeprawie.

„Bąbelków?”, zdziwił się.

Nagle spod wody z ogłuszającym rykiem wynurzył się rozeźlony troll. Głowę miał owiniętą zieloną rdestnicą rzeczną; wyglądał na głodnego, obolałego i nie w nastroju na żadne głupoty. Jednym susem wskoczył na most, całkowicie zagradzając przejście.

Czarodzieje już mieli skoczyć na drugi brzeg, lecz na widok potwora z krzykiem zawrócili do stóp schodów. Carnglaze odważnie cisnął kamieniem, który jednak odbił się od łuskowatego czoła maskary, nie zostawiwszy choćby śladu. Żaden z ludzi nie zwracał uwagi na Skarpera ani nawet nie dziwił się, że wciąż jest z razem nimi. Cała czwórka stała bezradnie, wciśnięta między trolla a watahę goblinów, jak apetyczny plasterek szynki w wyjątkowo paskudnej kanapce.

– Rozkazuję ci w imieniu Kruczej Kapituły...! – Fentongoose zawołał do trolla, lecz bestia niezbyt się tym przejęła. Głos uwiązał mu w gardle, gdy zwróciła na niego czarne ślepia i z cichym warkotem obnażyła ostre kły.

Skarper zerknął w górę, rozważając, czy nie czmychnąć na drzewo albo porośnięte bluszczem ściany, pozostawiając mienczaków samym sobie, ale wszystkie dogodne miejsca na wysokości obsiadły już gobliny z pogoni.

– Ej, to czasem nie Skarper? – zaskrzeczał jeden.

– Niemożliwe! Żeśmy go przecie wykarapultowali! – prychnął drugi.

– To on! – wykrzyknął trzeci.

– Ale co robi z tymi tam mienczakami?

– Zdrajcuje, obrzydliwiec jeden, ot co! – warknął Knobbler, zlążąc po schodach w otoczeniu głównego trzonu swoich sił. Za nim coraz więcej podekscytowanych, rozwrzeszczanych szkaradników wyskakiwało z lasu. Na widok Skarpera żółte oczy króla goblinów błysnęły jak rozżarzone węgle. Knobbler natychmiast rozpoznał tego przerażonego, mizernego szczawika, którego rano za karę wykarapultował z karapulty. Sam nie wiedział, co wkurza go bardziej: to, że Skarper zbratał się z mienczakami, czy że nie rozplaskał się na skałach pod wieżą.

– Obedrę go ze skóry i zrobię sobie szaliczek! – ryknął ze złością.

Ruszył do przodu z Panem Rach-Ciach wzniesionym nad głową, ale Szalony Manaccan, ogarnięty żądzą skarbów i krwi, odepchnął go na bok. Skowycząc i młynkując kiścieniem, wódz Krzywostropu rzucił się na Skarpera, truchlejącego na dole z

czarodziejami.

Nim jednak zdążył ich dosięgnąć, las zadudnił miarowymi, donośnymi krokami. Ogromna postać, rośniejsza niż niejedno drzewo, przedzierała się przez buki i sosny. Umięśnione ramię machnęło wyrwanym dębowym pniem jak zwykłym kijkiem i grzmotnęło narwanego herszta, posyłając go nad głowami goblinów prosto w głązy stojące nieopodal schodów: szczęk zbroi, brzęk upuszczonej broni, przeszywający zgrzyt stali o kamień, a potem cisza.

Spłoszone gobliny odsunęły się do tyłu. Niektóre piszczały: „Gigant! Gigant!”. A gdy tak pierzchały przed olbrzymim przybyszem, kiedy Knobbler szykował się, by wrazić Pana Rach-Ciach w kolana olbrzyma, z kniei wyłoniło się nowe zagrożenie. Wszędzie dookoła rozległy się niespodziane świsty, a wraz nimi jęki i kwilenie gobliniej ferajny – z gałęzi drzew posypał się deszcz ostrych, cieniutkich patyczków.

Gobliny były mistrzami wszelkiej broni, którą dało się ciąć, dźgać lub łupać, ale jakoś nie miały smykałki do łucznictwa. Ich pazurzaste łapki były zbyt niezdarne, żeby poradzić sobie z cięciwą łuku. A zresztą gobliny uważały, że łucznictwo jest nie fair i tylko tchórze i oszuści atakują z dystansu. Każdy z nich pamiętał, że właśnie dzięki salwom podstępnych strzał mienczaki nieuczciwie pokonały armie Króla Licza w Pechową Środę. Nic więc dziwnego, że teraz kulili się ze strachu, wołając: „Szcząły! Szcząły!”.

Knobbler złapał jeden z pocisków, który odbił się od jego pancerza.

– To nie szcząły! – warknął, próbując uspokoić swoją ferajnę.
– To tylko ostre patyki!

– Ostre patyki! Ostre patyki! – biadoliły gobliny, wcale nie spokojniejsze.

Spojrząwszy w górę, Knobbler zobaczył chmurę badyłowatych stworków, miotających pociski spośród nagich, poskręcanych konarów. „Niech je dunder świśnie”, zaklął w myślach. Słyszał, że lasy Clovenstone roją się od tych paskudnych drzewców, zrodzonych przez jeszcze paskudniejsze drzewa. Jednak nigdy wcześniej nie zdarzyło się, by otwarcie atakowały gobliny. Szczęściem to chucherkowate stworzonka, zaledwie kilka patyczków związanych razem, cóż więc zamierzały wskórać przeciw bandzie zaprawionych goblinskich wojaków? Niektórzy członkowie ferajny ślaniali się na nogach, jęcząc i klnąc, po tym jak oberwali w oczy, gdy spróbowali zobaczyć, kto ich ostrzeliwuje. Włócznie z wierzbowych witek były jednak zbyt cienkie, żeby wyrządzić poważniejsze szkody. Nie były w stanie przebić twardej goblinskiej skóry, o zbrojach nie wspominając.

– Zostawcie ich, chłopaki! – krzyknął Knobbler. – Bierzcie mienczaków...!

Ale gdy odwrócił się z powrotem do mostu, nad rzeką stało więcej mienczaków niż poprzednio. Młody wojownik z długim, zardzewiałym mieczem szarżował na niego, krzycząc coś w rodzaju „Apterek!”.

Nim Knobbler zdążył pomyśleć, skąd wziął się młodzieniec i jak ładnie jego złote loki wyglądałyby jako ozdoba hełmu, wyszczerbione ostrze ze szczękiem zdzieliło go w głowę. Posypały się iskry, klinga odskoczyła od przyłbicy, a Henwyn zawołał „Jać!”. Oszołomiony Knobbler zatoczył się do tyłu i wpadł w spanikowaną cizbę goblinów, przekonanych, że

zaatakowała ich cała armia mienczaków.

Tymczasem Fraddon Olbrzym wywijał wielką maczugą z dębowego pnia i rykiem przynaglał gobliny do ucieczki. Po chwili obrócił się, dwoma krokami podszedł do mostu i zamaszystym ciosem zmiotł nieszczęsnego trolla nazad do rzeki.

– Wracaj do swojego bajora, stara ropucho! – warknął.

Skarper i czarodzieje obserwowali bijatykę z otwartymi ustami. Z początku nieoczekiwani przybysze napędzili im takiego samego stracha jak troll i gobliny. Czyżby nie było końca okropnościom, które w Clovenstone czyhały na ich życie? Jakkolwiek gdy tylko troll wpadł z chlupotem do wody, natychmiast zrozumieli, że tym razem dopisało im szczęście.

Gigant popatrzył w ślad za uciekającą na północ goblinią hałastrą, która w popłochu rzucała tarcze, topory i nadzieiaki. Potem zwrócił się do czwórki wędrowców przy moście i na widok Skarpera ryknął, biorąc zamach, by rozpląszczyć ostatniego goblina na ziemi. Powstrzymał go jednak młody wojownik, który wybiegł z lasu, wołając:

– Nie, Fraddonie! To nie goblin! To mistrz Skarper!

Fraddon opuścił maczugę i pochylił wielką głowę, by lepiej przyjrzeć się Skarperowi.

– Wygląda jak goblin... – mruknął. – Pachnie jak goblin...

– Bo to jest goblin. – Carnglaze położył dłoń na ramieniu swojego małego towarzysza. – Ale ten goblin ocalił mi życie – dodał dobitnie. – Nie wiem, co nim wtedy kierowało, ale nie pozwolę go skrzywdzić.

Gigant ściągnął czapkę i podrapał się po kołtuniastej grzywie.

– Ludzie trzymający z goblinem? Pierwsze słyszę.

– A gigant walczący ramię w ramię z człowiekiem? – wtrącił Fentongoose. – Jak dla mnie równie niesłychane.

Młodzieniec skłonił się nisko.

– Jestem Henwyn z Adherak.

W ogólnym zamieszaniu i gasnącym świetle wieczoru nie rozpoznał trzech przerażonych czarodziejów. Wszelako czarodzieje zdołali rozpoznać jego i teraz wymieniali ukradkowe, zaniepokojone spojrzenia, podczas gdy on kontynuował:

– Pozwólcie, że wam przestawię. To jest Fraddon Olbrzym. Przybyłem do Clovenstone specjalnie, by go zgładzić, ale okazał się na tyle uładzony, że wcale nie wymaga zgładzenia. Kiedy usłyszeliśmy rżenie goblinskich trąbek, od razu zrozumieliśmy, że ktoś potrzebuje pomocy. Nie zwlekając ani chwili, przybiegliśmy ile sił w naszych, a właściwie Fraddona nogach. Pomyślałem, że skoro przeszedłem taki szmat drogi, mogę równie dobrze zgładzić cokolwiek...

Ze smutkiem obejrzał powyginany miecz. W gruncie rzeczy był dumny, że tak brawurowo natarł na tamtego rosłego goblina. Kto mógł się spodziewać, że będzie miał tak twarde pancerz?

– Gobliny – mruknął złowieszczo Fraddon, patrząc w północnym kierunku. Zupełnie jakby żałował, że nie zmiażdżył króla Knobblera i paru jego kumpli, gdy miał po temu okazję.

– Mówisz, że jest nieszkodliwy? – spytał Fentongoose, niepewnie zerkając na giganta.

– A co z tymi patyczakami? – Niepokoił się Prawl.

Drzewa nad rzeką aż roiły się od badyłaków. Setki czarnych oczek gapiły się na nich w półmroku.

– Badylaki nie są groźne – zapewnił Henwyn. – Nie przepadają za ludźmi i chciały wziąć mnie do niewoli, ale goblinów nie cierpią jeszcze bardziej. Fraddon przekonał je, żeby nam pomogły. Dopóki tu jest, nikomu nie zrobią krzywdy. Ach! Tylko nie wzniecajcie przy nich ognia! – dodał pośpiesznie, gdy Fentongoose wyciągnął z sakwy hubkę i krzesiwo, aby zapalić pochodnię.

– Ogień zły! Parzy i praży! – zaszeleściły złowrogo badylaki.

– Odłóż to, Fentongoose – syknął Carnglaze.

– Fentongoose? – wykrzyknął Henwyn. Nagle zrozumiał, czemu ci trzej podróżni wydawali się znajomi. – To wy! Krucza Kapituła!

– Możemy wszystko wyjaśnić! – czym prędzej zawołali czarodzieje.

– Wcale nie chcieliśmy, żeby serowa mikstura zadziałała w taki sposób...

– Tak naprawdę nie mieliśmy pojęcia, że w ogóle zadziała!

– Dlaczego więc chcieliście za nią dziesięć złotych monet? – dociekał Henwyn.

– Eeee...

– Bardzo potrzebowaliśmy pieniędzy!

– Musieliśmy kupić zapasy i zapłacić za transport do Clovenstone!

– Wynająć łódź, która zabierze nas rzeką Sethyn aż do Patyczkowej Przepawy, a potem przewodnika przez Wrzosowiska Oeth...

– A to sporo kosztuje...

– Więc uwarzyliśmy eliksir...

– Słyszeliśmy od twoich sąsiadów w Adherak, że nie jesteś

zbyt bystry...

– Znaczy, mówili, że jesteś nad wyraz wyrozumiały i otwarty na nowe pomysły...

– I wydawało nam się, że będziesz bardzo zainteresowany...

– Zakłęcie miało dodać twoim serom ducha i ciała.

– No to się wam udało! – warknął Henwyn, w pełni świadomy, że jako bohater miałby teraz prawo odrąbać głowy trzem zdradzieckim czarownikom. Żałował tylko, iż wyglądają tak żałośnie i bezsilnie.

– Skoro potrafiliście zaczarować ser – wtrącił Skarper – czemu nie rzuciliście jakiegoś uroku na gobliny? Nie moglibyście zmienić Knobblera w jakąś ropuchę poduchę, czy inną gruchę?

– Prawdę rzekłszy... – Fentongoose zmieszał się. – Nie umiemy czarować. Przynajmniej na razie. Pomimo długoletnich studiów nigdy nie wyszło nam żadne zakłęcie. Poza tamtym jednym razem, z serem. I naprawdę nie mamy pojęcia, jak to w ogóle możliwe.

– Jakoś wynagrodzimy ci tę serową wpadkę – obiecał Prawl. – Prawda, Fentongoose?

– No cóż, właściwie... Tak, tak; jak tylko znajdziemy się w Twierdzy, odpłacimy ci dziesięciokrotnie. Widzisz, jesteśmy prawowitymi dziedzicami Króla Licza; spójrz, mam tu amulet...

– Sięgnął ręką za kołnierz, zmarszczył się i sięgnął głębiej. Nagle pobladł jak płótno. – Nie ma go! Talizman Mistrza! Amulet zniknął! Rzemyk musiał się zerwać, gdy zwiewaliśmy przed tymi paskudnymi goblinami... – Chciał już biec do kamiennych schodów. – Nuże! Musimy go znaleźć!

– Nic takiego nie zrobimy, Fentongoose. – Prawl złapał go

mocno za połę płaszcza.

– Ale... Jak bez amuletu dowiedziemy naszego prawa do Kamiennego Tronu...?

Carnglaze pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Chyba nie myślisz, że po tym wszystkim wrócimy do Twierdzy? Widziałeś przecież, co się stało! To koniec, Fentongoose. Na noc zatrzymamy się przy Południowych Wrotach, ale jeśli chodzi o mnie, nie zamierzam zostawać tu ani chwili dłużej. Z samego rana ruszam do domu.

Fraddon Olbrzym, który do tej pory słuchał w milczeniu, odezwał się gromkim głosem:

– Lepiej nie nocować przy Południowych Wrotach. Gobliny mogą wrócić z odwetem. Zabiłem dzisiaj jednego z ich wodzów i zapewne pałają żądzą zemsty. Chodźcie lepiej ze mną do Zachodnich. Ned was opatrzy i nakarmi.

– Ned? – zapytał Carnglaze.

– Jedzenie? – westchnął z nadzieją Skarper.

– Wspaniały plan! – zgodził się Prawl. – Możemy wszystko przedyskutować przy sutej kolacji.

– Osiem złotych monet, kilka drobniaków i guzik – mamrotał Henwyn. – Nie wspominając o zrujnowanej serowni.

– Wiedziałem, że rzemyk się przetaił – jęczał Fentongoose, nadal zrozpaczony utratą swojego skarbu. – Wiedziałem, że trzeba było dodać jeszcze jeden supełek. Och, ależ ze mnie głupiec...!

Ruszyli gęsiego szeroką ścieżką, którą Fraddon wydeptał wzdłuż rzeki pomiędzy drzewami i ruinami. Zapadał zmrok i Clovenstone robiło się coraz mroczniejsze. W pogłębiających się ciemnościach nurt rzeki zdawał się głośniejszy, a wzburzona i

spieniona woda bielsza. Wszystko inne poszarzało, nie licząc gwiazd, które mrugały srebrzyście wśród czarnych jak sadza gałęzi. Dookoła dały się słyszeć cichutkie kapu-kap, jakby coś małego spadało na ziemię. Skarper zastanawiał się, czy nie zaczyna padać. Dopiero gdy blade światło księżyca rozlało się po nocnym niebie niczym mleko, zdał sobie sprawę, że z drzew spadają nasionka, przypominające z wyglądu malutkie kolczaste kuleczki. Kiedy na jedno z nich padła księżycowa poświata, nasionko zadrżało i pękło na pół, a ze środka wyjrzały dwa błyszczące koraliki oczu. Następnie wysunęły się patykowate łapki i delikatnie poszerzyły szparkę. Już po chwili tycieńki badylaczek wspinał się po pniu najbliższego dębu. „A więc las rodzi badylaki, tak jak ziemia rodzi gobliny”, pomyślał Skarper i zastanawiał się, jak to możliwe i co to oznacza.

– Zapytamy Ned – zaproponował Henwyn, gdy Skarper pokazał mu kolejne badylaczki. – Na pewno będzie wiedzieć.

– Kto to Ned? – spytał Skarper.

– Ned jest księżniczką.

– Czy to ją przybyłeś uratować?

– Ją. Tak, w pewnym sensie. Zobacysz za minutę. Spójrz, już prawie jesteśmy!

Rzeka zakręcała w mroku przed nimi, węższa tutaj i pogodniejsza, chichocząca łagodnym pluskiem. Płaski granitowy gład z wrzosowisk spinał oba brzegi jak most, a dalej, po drugiej stronie, wąziutka dróżka wiodła przez posrebrzone księżycem krzewy. Jeszcze dalej, za krzewami, stały nagie tyczki do groszku i fasoli, za tyczkami zaś czerniły się strzeliste strażnice Zachodnich Wrót. Na najwyższej z nich spoczywał okręt, a z jego okrągłych okienek płynęło ciepłe, przyjazne żółte

światło.

SZEŚĆ GWIAZD W MIODOWEJ SAKWIE

Kiedy czas był nowy i młody – powiedziała księżniczka Ned – zanim pojawili się pierwsi ludzie, świat sam decydował, kto będzie w nim żył. Z drzew lasów narodziły się badylaki; z mroźnych wzgórz nadeszli giganci; kamienie na dnach rzek wypuściły kończyny i przekształciły się w trolle; wysoko w niebieskich przestworzach kłęby pary i kryształki lodu wymieszały się nawzajem, dając początek chmurzansom. Głęboko pod korzeniami gór jezioro lawy wypuściło pierwsze kamienne jaja, z których wykluli się praojcowie goblinów i natychmiast skoczyli sobie do oczu.

– Przez niezliczone stulecia taki właśnie był porządek świata. Kiedy do Zachodnich Krain przybyli ludzcy osadnicy, by uprawiać rolę i drążyć kopalnie, prastare żywiołaki były dla nich dziwne, straszne i niezrozumiałe. Z czasem niektórzy ludzie nauczyli się, jak wyczuwać magię w ziemi i w powietrzu; zdołali ją okiełznać, tak jak wcześniej ogień, wodę i wiatr. Zwano ich czarodziejami i to dzięki nim ludzie zapanowali nad przyjaznymi ziemiami. To z ich pomocą wykarczowano

nieprzebyte puszcze i przepędzono żywiołaki w odległe regiony. Wiele pradawnych istot szukało schronienia w Górach Kościanych, gdzie magia od wieków była najsilniejsza. Jednakże nie dano im zaznać spokoju, czarodzieje nieubłaganie podążali ich tropem. Aby nikt nie wątpił w ich potęgę, postanowili zaprezentować, z jaką łatwością rozkazują starożytnym żywiołom. Na dowód swojej mocy rozłupali szczyt Meneth Eskern, a tak powstała wieżę nazwali Rozszczepioną Cytadelą Clovenstone. Z niedostępnych, surowych komnat rządząli wszystkimi krajami ludzi, a ich królowie rok w rok przysyłali im daninę, którą po brzegi wypełniali przepastne skarbcce. Koniec końców nawet żywiołaki pokłoniły się wszechmocnym czarodziejom. I tak za ich panowania nastał złoty okres pokoju w Zachodnich Krainach.

– Jakkolwiek początkowo pragnęli czynić dobro, nie trwało to wiecznie. Magia dała im nieograniczony autorytet, potęgę i władzę, a wszyscy wiemy, co choćby odrobina którejkolwiek z tych trzech rzeczy robi z ludźmi.

– Jak z Knoblerem. Zamienia ich w tyranów i despotów – wtrącił Skarper.

– W rzeczy samej – zgodziła się księżniczka Ned, rzucając mu z ukosa nerwowe spojrzenie (wciąż czuła się trochę niepewnie z goblinem na pokładzie swojego statku). – Mój wuj również taki był, a także król Colvennor. A na świecie nie brakuje też złych królowych, nie wspominając o niegodziwych księżętach, kamienicznikach i nauczycielach. Kiedy ktoś zdobywa władzę nad innymi, często staje się okrutny, arogancki i podły, chyba że jest wyjątkowo cnotliwy. Jednak czarodzieje nie należeli do najcnotliwszych osób pod słońcem, a jednocześnie dysponowali

większą potęgą i władzą, niż możemy sobie wyobrazić. Bez trudu zniewolili plemiona goblinów i przekształcili je w ogromną armię. Wkrótce wyruszyli na podbój okolicznych ziem, a gdy każdy z królów u ludzi złożył im hołd i nie było już z kim walczyć, zwrócili się przeciwko sobie nawzajem. Aż pozostał tylko jeden.

– Król Licz – zauważył Henwyn.

– Jego prawdziwe imię zginęło w pomroce dziejów – uściśliła Ned. – Ale to miano nadali mu ludzie, gdy wysyłał goblinów z żołdaków, by ogołacali ich spichlerze i rabowali cenne kruszce z kopalni. To miano szeptało z przestraczem, gdy czarna flota gnana skrzydłami czarodziejskich wiatrów wypływała z portów Pogryzionego Wybrzeża, by przemocą ściągać podatki i trybuty w zamorskich krajach.

– Ale stopniowo, powoli tajemna moc ziemi poczęła gasnąć. Magia zanikła. Jezioro lawy przestało rodzić miliony goblinów. Liczba jaj zmniejszyła się do tysięcy, a później setek. Moc Króla Licza malała, jego czary osłabły. Władcy ludzi, zebrawszy się pod sztandarem króla Kennacka, zrzucili jarzmo tyranii. Na równinie Dor Koth zdziesiątkowali wojska Króla Licza i nawet ściany Clovenstone nie mogły go ochronić. W ten sposób zginął ostatni czarodziej na świecie. I dobrze się stało, jak powiedzieliby poczciwi ludzie. Ale tutaj, w Clovenstone, starożytne siły wciąż drzemają w ukryciu, a przynajmniej ich echa. Właśnie dlatego tak wiele żywiołaków łągnie do tego miejsca i szuka schronienia pośród ruin.

Było już bardzo późno. W lasach wokół Zachodnich Wrót pohukiwały sowy. Potyczka z goblinami i długa wędrówka przez nieprzyjazną knieję były już tylko niemiłym

wspomnieniem. Fraddon wartował w mroku nocy jak niewzruszone, czujne drzewo. Pozostali słuchali opowieści Ned w rufowej kabine okrętu, jedząc szarlotkę i popijając gorącą herbatkę. Przyjemnie było odpoczywać w przytulnym, tłocznym pomieszczeniu, siedząc na przykrytych kocami skrzynkach, jako że nie starczyło stołków i krzeseł.

Oczywiście ledwo księżniczka skończyła, zasypali ją lawiną pytań.

– Skąd masz taką dobrą herbatę? – dziwował się Henwyn.

– I skąd bierzesz mąkę, cukier i inne rzeczy?

– Och, jeden z tych bohaterów, którzy pośpieszyli mi z początku na ratunek, okazał się całkiem miły – wyjaśniła. – Nie chciał mojej ręki, ponieważ kochał już kogoś innego. Kiedy wyjaśniłam, że jestem tu szczęśliwa z Fraddonem, pojechał do Netherak i zawarł w moim imieniu umowę z pewnym kupcem. Ładownia statku była wypchana skarbami i złotem. W zamian za uczciwą zapłatę kupiec dwa razy do roku przysyła mi wóz pełen niezbędnych towarów i luksusowych drobiazgów. Zostawia ładunek przy dolmenie na wrzosowiskach. Biedaczysko boi się zapuszczać do Clovenstone.

– Rozsądny facet – wymamrotał Prawl, żałując, że kiedykolwiek postawił stopę w obrębie tych przeklętych murów.

– Jak to możliwe, że twój gigant zaniósł okręt tak daleko od morza, a potem złożył go na czubku wieży? – dociekał Fentongoose. – Nie wydaje się dostatecznie duży i silny.

– Ach, Fraddon był wtedy większy – odpowiedziała księżniczka. – Giganty z wiekiem się kurczą. Rodzą się wielkie niczym góry i podobnie jak góry, z czasem maleją. Fraddon

zabrał mnie kiedyś w Góry Kościane, bym mogła zobaczyć młode giganty. Olbrzymie skaliste twarze, ledwo wystające z ziemi. Spotkałam też prapradziadka Fraddona, którego woda i wiatr wyniszczyły przez wieki, tak że teraz mieści się w mojej dłoni.

– Co to w ogóle jest ta „herbata”? – Skarper podejrzliwie wachał parujący kubek, który trzymał w łapkach.

– A ja chciałbym wiedzieć jedno – powiedział Carnglaze, zanim Ned zdążyła wytłumaczyć herbaciane tajniki. – Czy to prawda, że Clovenstone znów budzi się do życia, jak ten stary głupiec Fentongoose nam wmawiał?

– Stary głupiec? – obruszył się Fentongoose. – Może nie jestem tak bezwzględny i świątły jak mędracy, co założyli nasze bractwo całe lata temu, ale przynajmniej pamiętam obietnicę, którą złożyli nam, swoim następcom.

– Obietnicę? – zainteresowała się Ned.

– Cóż, właściwie to bardziej przepowiednia.

– Aha, jedna z tych.

Fentongoose zamknął oczy, przyłożył dłonie do skroni, naśladując symbol skrzydlastej głowy, i zaintonował złowieszczo:

Gdy w Sakwie Miodowej światła zapłoną licze,

Powróci moc magii na świata oblicze.

Do Clovenstone dziedzic Pana naszego przybędzie

I na prastarym Tronie z Kamienia zasiędzie.

– Ale co to znaczy? – Ned zmarszczyła brwi. – Poza tym końcowe rymy są wymuszone.

– To nie poezja – fuknął Prawl – tylko proroctwo.

– Proroctwo, sieroctwo. – Księżniczka wzruszyła ramionami.
– Są tylko dwa rodzaje przepowiedni. Takie, które różni szarlatani wciskają łatwowiernym matolkom, żeby polechtać ich próżność i ambicję, w stylu „poznasz pięknego nieznajomego”, lub „zdobędziesz niezmierną fortunę”. I są te drugie, te okropnie niejasne i dziwaczne, zawsze odnoszące się do jakiejś odległej przyszłości. Przeważnie o końcu świata czy innych takich głupotach. Najlepiej za wiele dziesiątków lat, gdy szacowny wróż wyciągnie już kopyta i nikt nie będzie mógł wrócić z reklamacją. Albo tak zagmatwane i bezsensowne, pełne głupich zagadek, że można im przypisać dowolne znaczenie wyssane z palca. Co to niby ma znaczyć: „Gdy w Sakwie Miodowej światła zapłoną licze”?

– To sekret – skonstatował sztywno Fentongoose. – Zrozumiały tylko dla najbardziej wtajemniczonych członków Kruczej Kapituły.

Ned nie była usatysfakcjonowana tym wyjaśnieniem.

– Jak w miodowej sakwie mogą zapłonąć światła? – dopytywała. – Kto w ogóle trzyma miód w sakwie? Wszystko się przecież poskleja...

Henwynowi zalśniły oczy. Ned może i nie była księżniczką, jakiej się spodziewał, ale zrobiła na nim duże wrażenie. Była bardzo miła i bystra. Teraz on chciał jej jakoś zaimponować.

– Na wsiach w Adherak mówi się tak na jeden z gwiazdozbiorów. Pięć gwiazd, które my, miastowi, nazywamy Chochłą. I światło rzeczywiście w niej płonie. Widzicie... zauważyłem je kilka tygodni temu z okna serowni. Od jakiegoś czasu w Chochli świeci sześć gwiazd!

Ned zmarszczyła się jeszcze bardziej. Odstawiła kubek,

wstała zdecydowanym ruchem, podeszła do grodzi z tyłu, otworzyła niewielkie drzwiczki i wyszła na zewnątrz, w chłodne powietrze nocy. Pozostali ruszyli za nią, nawet Skarper, chociaż nie bardzo wiedział, na co mają patrzeć. Nigdy nie przywiązywał zbyt dużej wagi do gwiazd. Po chwili wszyscy stali na kasztelu rufowym okrętu. Fraddon drzemał pomiędzy bukami w ogrodzie, chrapiąc głośno. Daleko za jego potężną postacią rozciągały się skąpane w świetle księżyca, zrujnowane, obrośnięte drzewami budynki, sięgające aż do Murów Wewnętrznych, gdzie wysokie czarne wieże otaczały kręgiem mroczną Twierdzę.

– Widzicie? – Henwyn wskazał konstelację, wznoszącą się nad masywem Gór Kościanych.

– To wcale nie wygląda jak chochła, ani tym bardziej sakwa z miodem – marudził goblin.

– Gwiazdozbiory nigdy nie przypominają rzeczy, od których zostały nazwane – odparł Henwyn. – Widziałeś kiedyś Wielkiego Łowczego? Kiedy połączysz gwiazdy, wyjdzie coś jak zgnieciony pasztecik...

– Henwyn ma rację – powiedziała Ned. – Zwykle o tej porze już śpię, inaczej pewnie sama bym to zauważyła. Rzeczywiście jest jeszcze jedna gwiazda...

Skarper długim uchem osłonił oczy przed blaskiem księżyca i spojrzał we wskazanym kierunku. Tam, w samym sercu Miodowej Sakwy, jedna gwiazda jarzyła się jaśniej niż inne. Była od nich bledsza i ani trochę nie mrugała. Wyglądała raczej jak duch kijanki, przyklejony na ciemnogramatowym firmamencie.

– Jest większa niż poprzednio – zdumiał się Henwyn.

– To jest właśnie licze światło! – zawołał Fentongoose. – Ta gwiazda błyszczała na niebie, gdy Król Licz wraz z innymi czarodziejami wznosił Clovenstone z trzewi ziemi!

– To kometa! – oznajmiła nagle Ned. – Komety co pewien czas wracają. Czy to możliwe, że ta w jakiś sposób związana jest z mocą Króla Licza? A może... Może Clovenstone naprawdę zrobiło się dziwniejsze ostatnimi czasy? Może nadchodzi nie tylko wiosna...

– Ale dlaczego jest większa? – nalegał Henwyn.

– Bo jest coraz bliżej! – Ned była trochę zmartwiona, na wpół podekscytowana. – I myślę, że im bliżej nas będzie, tym więcej nienazwanych rzeczy poczuje jej zew... aż wreszcie się przebudzą...

I w rzeczy samej. W rubieżach Clovenstone nienazwane rzeczy czuły zew komety; tajemnicze istoty budziły się z długowiecznego snu. Wysoko w komnatach Twierdzy przemykały złowieszcze cienie, szeleszcząc suchą, cienką jak pergamin skórą, stukając po posadzkach pazurzastymi łapkami. Podchodziły ukradkiem do okien i wyglądały przez grube, pomarszczone tafle czerwonego liczego kryształu. Światło komety odbijało się w ich oczach z wolnego srebra. Dużo niżej pojawiła się niewielka szparka na liczym kryształ zasklepiającym inne okno. Po chwili maleńkie nietoperzowate stworzonko z wysiłkiem precyzyjnie się na zewnątrz i poszybowało do góry w blasku księżyca. Skrzecząc cienkim głosem krążyło wokół czarnych ścian Twierdzy, aż w końcu, wyczerpane wysiłkiem, opadło na przepływający nieopodal obłoczek.

Chmurzanny z ciekawością obstały zagadkową istotkę.

Jedna z nich – nazywała się Rill i była najmilsza ze wszystkich, to ona dzień wcześniej wstawiła się za Skarperem – delikatnie podniosła stworzonko mglistymi dłońmi i rozpostarła jego błoniaste skrzydełka.

– Spójrzcie, siostry! – wykrzyknęła z zachwytem. – To mały smok!

W Czarnym Szponie król Knobbler smarował maściami siniaki i draśnięcia po bitwie nad kamiennym mostem, jednocześnie snując plany rajdu na następny dzień. Skrzyknął wszystkich swoich chłopaków i pozbawionych wodza krzywostropców, a potem napadnie zniemacka na wschodnie gobliny. Szalonego Manaccana już nie było, Fraddon przerobił go na marmoladę, więc teraz Knobbler władał obiema wieżami, nie jedną.

„Ale czemu poprzestawać na dwóch?“, rozważał Breslaw, kuśtykając po schodach na dach. Stary łęgomistrz stanął obok karapulty i powiódł wzrokiem wzdłuż posrebrzonych księżycem Murów Wewnętrznych, aż do Krzywostropu, Srogoszpica i Wyjca. Nad skośnym daszkiem Krzywostropu jaśniała roziskrzona gwiazda, odrobinę przypominająca kijankę. W powietrzu tętniło coś nowego, coś rzeźkiego, co dodawało mu wigoru i energii. „Knobbler to zakuty łeb“, myślał. „Nie ma żadnych ambicji. Czemu poprzestawać na dwóch wieżach? Mógłby rządzić wszystkimi, gdyby tylko chciał. Król Knobbler, władca całego Clovenstone! A zaufany doradca Breslaw pociągałby za sznurki. Ach, ileż to skarbów mógłbym zdobyć, gdybym miał w garści każdą z wież! Ba! Pewnie zdołałbym dostać się nawet do...”

Z tą myślą zwrócił chciwe, rozmarzone spojrzenie na

Twierdzę.

W dawnych dniach służby Króla Licza wydrążyli ogromne piwnice pod północną częścią Clovenstone. Wybudowali liczne komnaty pełne pieców, kuźni i miechów, które po jego upadku zalały rzeki i strumienie z Kościanych Gór, tworząc wielkie rozlewiska od Północnych Wrót po Mury Wewnętrzne, zwane dziś Mokradłami Natterdon. Podmokły teren sprawił, że Wieża Natterdon runęła na ziemię i stopniowo zniknęła w szlamowatych moczarach. Od tamtego czasu gobliny z reszty Clovenstone nauczyły się unikać tamtejszych rejonów. Dla pewności zapieczętowały też wszelkie tunele, przejścia i poterny, które łączyły ich legowiska z feralną basztą.

Nikt nie wiedział, co przytrafiło się mieszkańcom Wieży Natterdon. Jedno było jednak pewne: głęboko w zatrutych grzęzawiskach pojawiły się małe kuleczki z szarej galarety, posklejane razem jak żabi skrzek. Wykluwały się z nich przedziwne, pokracczne istoty, po części ropuchy, po części gobliny. Były to bagniste bagliny, a Mokradła Natterdon stały się ich królestwem.

Bagliny zgromadziły gruz, kamienne odłamki i przeróżne rupiecie z ruin, po czym uformowały z nich bezkształtną, zapuszczoną rudere, krytą mchem, wilgotną, nieprzyjemną i wietrzną. Nazwały ją Bospoldew na cześć swojego władcy, prastarej, wzdętej, ropuszej kreatury, znanej jako Poldew z Bagien. W bladych promieniach księżyca, wpadających przez dziurawy, gnijący dach, Poldew siedział w swoim obmierzłym pałacu, bawiąc się smużkami cuchnących, zielonkawych oparów.

Za czasów Króla Licza bagliny posiadały zdolność tkania

mgieł. Wyplatały z nich pułapki i sidła, by chwycić nieostrożnych wędrowców, którzy na swoją zgubę zapuścili się w rozległe północne bagniska. Żaden wróg nie odważył się zbliżyć do Clovenstone od tamtej strony, z obawy, że mógłby skończyć w baglinim kociołku. Przez te lata sekret mglistego tkactwa odszedł w zapomnienie, ale ostatnio Poldew znów czuł mrowienie w błoniastych łapach. Teraz zaś, gdy bagliny tłoczyły się dokoła, śledząc każdy jego ruch wypukłymi, świetlistymi oczami, olbrzymi ropuch nawijał mgłę na koniuszki palców, przeplatał, związywał i ciągnął, aż utworzył delikatny, przejrzysty koszyczek, rozciągnięty między łapami jak pajęczyna.

– Patrzcie! – zabalgotał radośnie, podnosząc wysoko mglistą siateczkę. – Mgła znowu nas słucha! Bagna nareszcie się budzą! – Podrzucił plecionkę do góry, a ona poszybowała pod zbutwiałe krokwie jak kółko z dymu. Po chwili utkał jeszcze jedną i paskudnie wykrzywiwszy pysk zaczął rozważać, jak najlepiej wykorzystać ten nieoczekiwany dar. – Znajdźcie mi mienczaki! – zawyrokował w końcu. – Przyprawdźcie je tutaj! Niedługo smoczydła ockną się w bajorach. Potrzeba gorącej krwi, by wywabić je na powierzchnię, i świeżego mięsa, by je oswoić. Z pomocą smoczydeł rozszerzymy granice mokradeł i całe Clovenstone utonie w prześlicznym trzęsawisku! Ale nie da się bez smoczydeł, a smoczydła łakną krwi! Znajdźcie mi śliczniutką, czerwoniutką krew, moi kochani!

– A-a-ale... nie ma mienczaków w Clovenstone... – wybąkał jeden z baglinich przywódców.

Poldew rozdziawił szeroko paszczę, wystrzelił mięsisty, długi różowy jęzor, schwycił go i połknął w całości. W

pełnej napięcia ciszy ropuch chrupał, przeżuwał, aż wreszcie
wypluł kości w kąt pomieszczenia. – Znajdźcie mi mienczaki,
kochanieńcy – zagulgotał z obleśnym uśmiechem na
spuchniętym pysku.

MAPA STENORYONA

Następnego dnia Skarper wstał bardzo późno, jak to gobliny mają w zwyczaju, gdy nikt ich kopniakami nie zrzuca z posłania i gdy nie muszą się martwić, że trzeba będzie walczyć o resztki śniadania. Kiedy w końcu otworzył oczy, przez dłuższą chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie się znajduje. W Czarnym Szponie nie było słomy tak czystej ani tak miękkiego siana... A te ściany zrobiono z drewna, nie z zimnych kamieni...

Leżał w wąziutkiej kajucie lub w jakimś schowku na dolnym pokładzie okrętu. Jasne światło poranka wpadało przez szparki pomiędzy deskami. Wygrzebał się ze starych koców, które dostał od księżniczki Ned, po czym wyszedł sprawdzić, co dzieje się na zewnątrz. Za drzwiami kajutki znalazł bulaj, przez który widać było szare, skłębione nisko chmury, gnane nad Clovenstone południowo-zachodnim wiatrem. Promienie słońca pieściły zniszczone dachy budowli na dole.

Skarper rozejrzył się po pokładzie. Wzdłuż ścian ustawiono liczne półki i regały, pełne różnych drobiazgów i precjozów, jakie księżniczka sprowadziła do Clovenstone lub znalazła, spacerując wśród ruin. Niektóre wyglądały na dość kosztowne, przynajmniej w goblinich oczach mieniły się bardzo kusząco.

Wiedziony instynktem, Skarper jął żwawo napychać kieszenie i już po chwili uzbierał całkiem pokaźny łup. Nagle zrobiło mu się gorąco ze wstydu. Zły na siebie, powoli odłożył wszystko na miejsce. Ned nie była chciwym goblinem, którego można by okraść z czystym sumieniem. Księżniczka była... miła, to chyba odpowiednie słowo. Gościnna. Wyczuł, że nie ma zbyt dobrego zdania o jego rodakach – z początku nawet zlekła się na jego widok – ale nie powiedziała nic w rodzaju: „Fuj! Wstrętny goblin! Nie pozwolę, żeby to paskudztwo wlało na mój statek-zatknięty-na-budynku!”. Nie, wręcz przeciwnie. Przemogła odruch niechęci, uśmiechnęła się (choć z trudem) i powitała go na pokładzie. Głupio byłoby odwdzięczyć się kradzieżą. Gdyby teraz zabrał jej cenne drobiazgi i precjoza, zachowałby się jak typowy, niegodziwy, pazerny goblin.

Zostawił więc ładownię w spokoju, wspiął się po zejściówce na górny pokład i zajrzał do większej kabiny, w której zeszłej nocy rozmawiali przy cieście. Wszyscy znowu siedzieli w środku. Oczy księżniczki na moment rozszerzyły się ze strachu, gdy Skarper stanął w drzwiach, lecz wnet rozchmurzyła się i powitała go wesoło:

– Dzień dobry, mistrzu Skarperze!

– Skarper! – wykrzyknął Henwyn uradowany. – Chodź! Dołącz do nas!

Mały goblin zawahał się – nie był przyzwyczajony, by ktokolwiek cieszył się na jego widok – ale wszedł i zajął miejsce na skrzynce. Pomimo późnej pory śniadanie trwało w najlepsze. Stół przy oknie suto zastawiono przeróżnymi smakołykami: pachnącym, świeżutkim chlebem, kozim serem, złocistym miodem i imbryczkiem gorącej herbatki. Podczas gdy Skarper

nakładał wszystkiego po trochu na talerz, Carnglaze mówił:

– Powiedz, księżniczko, czy kiedykolwiek, odkąd tutaj mieszkasz, zdołałaś dostać się do Wielkiej Twierdzy?

– Teraz to już w zasadzie nie ma znaczenia... – westchnął Fentongoose i położył rękę na piersi, gdzie do tej pory nosił schowany medalion.

Ned zastanowiła się przez chwilę, po czym potrząsnęła głową.

– Nigdy nie próbowałam – odparła. – Lepiej nie budzić złego, takie jest moje zdanie. A zresztą strasznie nie lubię... – urwała na chwilę i zerknęła w stronę Skarpera. – Ale Fraddon zaglądał czasem przez Mury Wewnętrzne – ciągnęła. – I jest przekonany, że Twierdza została zapieczętowana na stałe.

– Nie słyszałaś o jakimś tajnym przejściu? – dopytywał Prawl.

– Nie – powiedziała w zadumie.

– Ja też nigdy nie słyszałem o żadnym przejściu – wtrącił Skarper z ustami pełnymi grzanki. – Stary Breslaw to jedyny goblin z odrobiną rozumu w całym Czarnym Szponie, lecz ani razu nie wspominał o czymś takim.

– A jednak takie przejście musi istnieć – nalegał Fentongoose. – Stenoryon często o nim wspominał.

– Stenoryon?! – Skarper zastrzygł uszami.

– Kto to ten Stenoryon? – zaciekał się Henwyn, zawsze ciekaw nowych historii.

– Stenoryon – wyjaśnił białobrody starzec – był wiernym sługą Króla Licza. Wraz z upadkiem Mistrza uciekł do krajów ludzi, aby żyć w ukryciu. To właśnie on założył Kruczą Kapitułę, by czarodzieje mogli odzyskać Kamienny Tron, kiedy tylko magia ponownie pojawi się na świecie. To on zapisał proroctwo,

które wczoraj wam wyrecytowałem.

– Ponoć sporządził również mapę – dodał Carnglaze. – Stenoryona Mappę Ziem Wszelakich Clovenstone. Zaznaczył na niej wejście do Twierdzy, widoczne tylko dla wprawnego oka.

– Ach! – westchnął smutno Fentongoose. – Mapa Stenoryona! Byłaby największym skarbem naszego bractwa! Niestety, zaginęła. Wiele lat temu jego wnuk zabrał ją ze sobą, gdy wyruszył do Clovenstone, żeby zagarnąć Twierdzę dla siebie.

– Postąpił bardzo głupio – podsumował Carnglaze. – Powinien był poczekać, aż gwiazda pojawi się na niebie.

– Na pewno zabiły go gobliny – stwierdził Prawł. – Bezmózgie bestie. Nie mają za grosz szacunku dla Mistrza ani dla jego dziedzictwa.

– Nic nam po tej mapie – zauważyła księżniczka Ned. – Nawet jeśli naprawdę istniała, skończyła pewnie w jakiejś gnijącej dziurze.

„Tak! Tak było!”, pomyślał Skarper. Dygotał z podniecenia na samą myśl, że trzymał tę sławetną mapę w swoich własnych łapkach, a nawet miał okazję ją studiować. Bez wątpienia wnuk Stenoryona był jednym z nieszczęśliwców, którzy odważyli zapuścić się za Mury Wewnętrzne i wpadli w szpony Czarnej Ferajny. Mógłby się założyć, że czaszka biedaka zdobi królowe krzesło króla Knobblera. Mapa nie przedstawiała dla goblinów żadnej wartości, wyrzuciły ją więc na stertę podcierek. I tam znalazł ją Bresław. Jednak Skarper nie przypominał sobie, by widział na niej jakiegokolwiek tajne przejścia.

– Co to znaczy „widoczne tylko dla wprawnego oka”? – zapytał Fentongoosa.

– To jedna z tajemnic Kruczej Kapituły – odparł czarownik

wymijająco.

– Jedyne my jesteśmy w stanie przeczytać tę mapę, ponieważ całe życie poświęciliśmy na badanie sekretnych, zakazanych ksiąg – zgodził się Prawl.

– Pewnie chodzi o atrament z wolnego srebra – powiedziała księżniczka. – Dawniej wydobywano je w tutejszych kopalniach. Taki atrament jest niewidoczny, chyba że pada na niego światło magicznego płomienia, do którego dorzucono trochę tego samego srebra. Nikt już go nie używa, ale w czasach Stenoryona...

Trzej czarodzieje popatrzyli na nią z wyrzutem. Jaki jest sens w strzeżeniu mistycznych tajemnic, gdy znają je zwykli ludzie, nawet dajmy na to, księżniczki?

– Bardzo to zajmujące – odezwał się Carnglaze z pretensją w głosie. – Ale na nic się zda bez mapy. Jak dla mnie, to koniec tej przygody, Fentongoose. Pakujemy manatki i wracajmy do Kolendry.

– O nie, dzisiaj nikt nigdzie nie pójdzie – powiedziała stanowczo Ned. – Musicie odpocząć, mistrzu Carnglaze. Tutaj jesteście bezpieczni. Fraddon jest pewny, że gobliny nie będą się nam naprzykrzać. Gdyby szukały zemsty, zaatakowałyby wczorajszej nocy. Teraz Fraddon wybrał się w Góry Kościane, żeby zasięgnąć rady współbraci w sprawie komety. Nie zostawiłby nas samych, jeśli groziłoby nam niebezpieczeństwo.

Skarper przestał słuchać. Wziął jabłko i poszedł zjeść je na balkonie. „Skarby!”, myślał, obserwując cienie chmur prześlizgujące się po Twierdzy. „Najcenniejsze skarby Króla Licza czekają, żeby je zagarnąć! Ach, gdybym tylko dostał tę mapę w swoje łapki...!” Popatrzył wilkiem na wieżę, która

kiedyś była jego domem. Oczami wyobraźni widział komnatę podcierek, samotną i porzuconą gdzieś w jej wnętrzu. Zostawił mapę zwiniętą i bezpiecznie ukrytą, żeby żaden goblin nie podtarł sobie nią tyłka. „Dobrze wiem, jak dostać ją w swoje łapki”, pomyślał gorzko. „Niestety, Czarny Szpon aż roi się od goblinów dybiących na moje życie”.

I wtedy go olśniło. Czarny Szpon nie będzie roił się od goblinów dybiących na jego życie! Na pewno nie tej nocy! Przypomniawszy sobie wiec, zwołany w szamarni tego feralnego wieczoru, gdy ośmielił się poprawić goblinińskiego króla. Dzisiejszej nocy Knobler ruszy ze zbrojną wyprawą na wschodnie wieże! Poza starym Breslawem i paroma zaspanymi strażnikami w Czarnym Szponie nie będzie żywej duszy! Cała ferajna będzie zbyt zajęta bitką z mieszkańcami Surowej Grani, Srogospica i Wyjca!

Zasłonił łapką usta, żeby powstrzymać okrzyk radości. Czy jest na tyle odważny, aby zakraść się do Czarnego Szpona i wykraść mapę dla siebie? Oczywiście, że tak! Jest przecież goblinem! Zakradanie i wykradanie ma we krwi!

Ale jak się tam dostać? Od wieży dzieliły go całe mile lasów, ruin i rzek. Po drodze mógłby napotkać więcej trolli lub chmurzanny. I jeszcze te patykowate badylaki. Przy gigancie nie wyrządziły mu krzywdy, ale kto wie, co by zrobiły samotnemu goblinowi, gdyby zdybały go w pobliżu swoich ukochanych drzew.

„Lepiej nie iść samemu”, pomyślał przebiegle. „Lepiej wziąć jednego z mięczaków, przynajmniej do murów...” Czarodzieje odpadają, oni zatrzymaliby skarby dla siebie. Księżniczka Ned też nie wchodzi w grę; za bardzo boi się goblinów. W takim

razie zostaje...

– Henwyn! – zawołał trochę później.

Śniadanie dobiegło końca. Fentongoose rozmawiał z księżniczką, podczas gdy reszta Kruczej Kapituły zaoferowała się pomóc w ogrodzie i poszła skopać warzywne grządki. Henwyn też wziął się do roboty. Zakasawszy rękawy, wywoził z obory taczki pełne łajna, którym planował nawozić różane krzewy. Gdy Skarper go zaczepił, wyglądał na całkiem zadowolonego, że może zrobić sobie przerwę. Goblin wskoczył na górkę krowich placków, które przyjemnie grzały mu stopy, a jednocześnie pozwalały rozmawiać z wysokim człowiekiem twarzą w twarz.

– Mam nadzieję, że nie gniewasz się na mnie za to, że nie powiedziałem ci wczoraj, iż jestem goblinem – zaczął.

– Cóż... – przyznał niepewnie Henwyn. – Wydaje mi się, że rzeczywiście mogłeś o tym wspomnieć. Nie zdawałem sobie sprawy, że gobliny mają tak różne rozmiary i kształty. Z jakiegoś powodu pieśni pomijają ten szczegół. Strasznie było mi wstyd, gdy czarodzieje zobaczyli, że nie potrafię rozpoznać goblina. – Westchnął głęboko. – Żałuję, że nie jestem bohaterem.

– Ależ jesteś bohaterem! – pocieszył go Skarper. – Najprawdziwszym bohaterem! Uratowałeś nas przed ferajną Knobblera!

Henwyn potrząsnął smutno głową.

– To zasługa Fraddona – powiedział.

– Zdzieliłeś Knobblera mieczem! – zauważył Skarper.

– Ogłuszyłem go, ale nie zgładziłem – odparował Henwyn. – Więc się nie liczy. A poza tym nie dokonałem niczego więcej. Żadnych heroicznych czynów. Pokonał mnie troll. Pokonały

mnie badyłaki. Nawet ser mnie pokonał.

Chłopak był tak przybity, że Skarperowi prawie było go żal. Rozejrzał się szybko, żeby mieć pewność, że nikt nie słyszy.

– A co byś zrobił, gdybym ci powiedział, że wiem, gdzie znaleźć mapę Stenoryona?

Z początku Henwyn nic nie odpowiedział, ale jego oczy rozzarzyły się jak małe słońca.

– Mapę Ziem Wszelakich Clovenstone!?! – wykrztusił w końcu. – Tę mapę, na której zaznaczono ukryte przejście do Twierdzy?

Skarper pokiwał łebkiem i postukał się pazurem w długi nos.

– Widziałem ją – rzucił z chytrym uśmiechem.

– Musimy powiedzieć reszcie! – wykrzyknął podekscytowany Henwyn i pobiegłby do nich tak jak stał, gdyby Skarper nie złapał go za poję koszuli.

– Ćśśśś! – syknął ze złością. – Jak myślisz, po co stukałem się w nos? To znaczy „sza!”. To znaczy „tajemnica”! Znaczy: „zachowaj to dla siebie”!

– Ach, wybac. Myślałem, że cię zaswędziało.

– Nie wolno nic mówić czarodziejom – przekonywał go Skarper. – To patafiany. A na dodatek są na wskroś źli!

– Bo ja wiem... Rzeczywiście powtarzają ciągle, że służą mocom ciemności – zastanawiał się Henwyn. – Ale z drugiej strony wydają się w porządku. Ned chyba nie zaprosiłaby ich na statek i nie pozwoliła im pelić grządek, gdyby naprawdę byli złymi czarnoksiężnikami.

– W każdym razie to idealna szansa, żebyś udowodnił im, jaki z ciebie bohater. Chodź ze mną. Znajdziemy mapę i dostaniemy się do twierdzy, a wtedy wszystkie bambetle Króla Licza będą

nasze!

– Jego największe skarby... – rozmarzył się Henwyn. Widział już siebie, jak wraca triumfalnie do Adherak na czele kolumny wozów po brzegi wypełnionych klejnotami i złotem. – Mógłbym wybudować ojcu nową serownię – wymamrotał – i piękne kamienne domy dla Herdy, Gerdy i Lynt. Wynająłbym najlepszego harfiarza w Zachodnich Krainach, aby napisał *Balladę o mężnym Henwynie*, i przypilnował go, żeby nic nie przekręcił...

Naraz jednak oprzytomniał i posmutniał.

– Nie. To byłoby nie w porządku. Nie możemy tak po prostu odejść, nic nie mówiąc księżniczce Ned. Była dla nas taka miła.

– Jak już będzie po wszystkim, możesz podzielić się z nią łupem, jeśli poprawi ci to humor – obiecał Skarper. – Na pewno znajdziemy jakieś mapy i księgi, a może nawet zwoje czarów czy inne parafernalia, jakie lubią wielce uczone damy. Daj też coś bandzie Fentongoosa, jeżeli musisz. Coś nieszkodliwego. Ale jeśli powiesz im teraz, będą chcieli iść z nami. A wtedy to o nich harfiarze napiszą pieśni, nie o tobie.

ZŁODZIEJ W CIEMNOŚCIACH

Z tyłoma niespodziewanymi gośćmi księżniczka Ned miała prawdziwe urwanie głowy. Przez cały dzień krzątała się po statku, wietrzyła kajuty, piekła chleb, przygotowywała ciasta i raz po raz biegała po dzemy, pikle i przetwory do spiżarni, którą urządziła w starych czatowniach. Z kolei sami goście czuli się odrobinę głupio, że sprawiają jej tyle kłopotu. Dlatego też robili, co tylko mogli, aby choć trochę pomóc zapracowanej gospodyni. Czarodzieje z Kruczej Kapituły nieśmiało podarowali jej butelkę przedniego mendervańskiego wina, jakie zabrali ze sobą, by uczcić podbój Clovenstone. Nawet Skarper obrał parę marchewek. Badyłaki, które bardzo lubiły księżniczkę, przyniosły plecione koszyczki pełne szlachetnych grzybów. Na pokładzie okrętu panowało tak duże zamieszanie, że Skarper i Henwyn bez trudu wymknęli się wraz z nadejściem wieczoru.

Przechodząc po kamiennej kładce do lasu, czuli na sobie wzrok badylaków. Skarper liczył jednak na to, że są teraz znani jako przyjaciele Fraddona Olbrzyma i księżniczki, więc małe drzewce zostawią ich w spokoju, co najwyżej obserwując z wysokich gałęzi. Szli więc rażno przed siebie. Wspinali się szerokimi, trawiastymi ulicami wśród opuszczonych posesji,

przedzierali przez gęste zagajniki, które ongiś pełniły funkcję parków, ogrodów warzywnych i placów defilad. Skarper skorzystał z okazji, by porządnie wytarzać się w stertach butwiejących liści i wonnej, obsikanej przez lisy i borsuki ziemi, żeby pozbyć się zapachu mienczaków, gigantów i statku księżniczki Ned.

Gdy zachodzące słońce zanurzyło się w pociemniałych chmurach i krwistą poświatą zabarwiło świat, ponownie ujrzeni przed sobą Mury Wewnętrzne.

Skarper westchnął z wyraźną ulgą. Jak dotąd nie natknęli się na żadne trolle, gobliny czy inne groźne, nieznanne bestie. Mimo wszystko nie potrzebował pomocy Henwyna. Przez moment czuł się głupio, że zdradził serowarowi swoje plany i obiecał mu połowę łupów. Chociaż... przyjemnie było mieć towarzystwo podczas wędrowki przez knieję, a poza tym miecz chłopaka może przydać się później, jeśli zauważą ich czatownicy z Czarnej Szpona.

Przemykali się chyłkiem w ruinach otaczających przedmurze, bezgłośni i skryci niczym cienie. Po chwili dotarli do miejsca, gdzie poprzedniego dnia zaatakowała ferajna Knobblera i szajka Szalonego Manaccana.

– Teraz sza! – syknął Skarper, niuchając, czy w pobliżu nie ma innych goblinów. – Będziemy skradać się cichutko jak koty. Żadnych wrzasków, jak ten bęcwał Fentongoose.

Henwyn zrobił, jak mu kazano. Schował się w krzakach i nerwowo zerkał na Czarnej Szpona. W wąskich, nieprzyjaznych okienkach wieży płonęło światło pochodni. Z góry dobiegał stłumiony rwetes, warknięcia, okrzyki i bicie bębnow.

– Co tam się dzieje? – zapytał młodzieniec.

– Szykują się do dużego wypadu – wyjaśnił Skarper. – Musimy się na razie przycisnąć, obserwować i czekać...

Obserwowali więc i czekali. Niektóre ze świateł zgasły. Na blankach panowało poruszenie. Słyszeć było dalekie, podniecone głosy. Skarper nigdy nie brał udziału w wyprawie łupieżczej, ale widział przygotowania do kilku. Wszystkie gobliny z Krzywostropu i Czerwonego Kaptura zebrały się już zapewne w Czarnym Szponie i razem z ferajną Knobblera pędzą wzdłuż murów do wschodnich wież, tak szybko i cicho, jak tylko pokraczne gobliny potrafią. To znaczy niezbyt cicho, ale za to całkiem szybko. Nie minęło wiele czasu, a dach Surowej Grani stanął w płomieniach i nocne powietrze rozbrzmiało wrzaskami i zgiełkiem odległej bitwy.

– Dobra – szepnął Skarper do krzaka, w którym siedział Henwyn. – Ty tu zaczekaj.

– Powinienem iść z tobą – wybełkotał krzak.

– Nie ma mowy. Strażnicy zwęszą smrodliwego człowieka, gdy tylko podejdziesz pod bramę. Na szczęście ja pachnę przyzwoicie, więc nie zwrócą na mnie uwagi.

Tłusty księżyc w pełni wszedł nad Kościanymi Górami. Skarper podkraść się do tajnego przejścia, którym wczoraj wylazły gobliny. Chwycił wątlymi łapkami ciężką płytę chodnikową i dźwignął z całej siły, ale chociaż nieznacznie drgnęła, dowodząc, że wybrał tę właściwą, nie dał rady jej unieść.

– Nie stój jak kolek! – syknął na Henwyna. – Chodź mi pomóc!

– Ale mówiłeś...

– Rusz tyłek!

Henwyn wyskoczył z kryjówki i wspólnym wysiłkiem zdołali odrzucić kamienną płytę na bok. Z ciemnej dziury wyzionął smród goblinów. „Fuj!”, pomyślał Skarper, machając łapką przed nosem. Nie było go w wieży raptem dwa dni, a już zapomniał, jak straszliwie cuchnęła. Przykucnął i zastrzygł jednym uchem, aby wyłoić jakiegokolwiek odgłosy z tunelu. Tak jak przypuszczał: ściszone, miarowe chrapanie. Knobbler zawsze przed rajdem częstował swoich wojaków winem, a wartownicy nie byli wyjątkiem. Ledwo zostali sami, opadł ich pijacki sen.

Pozostawiwszy Henwyna ukrytego w krzakach, Skarper zeskoczył w mroczne podziemia. Dziura miała około sześciu stóp głębokości, a na samym dole długa skalista poterna przebiegała pod warownymi murami. Mały goblin ostrożnie ruszył naprzód i już po paru krokach ujrzał pierwszego strażnika, zwiniętego w kłębek u stóp schodów prowadzących do wieży. Kiedy podszedł na paluszkach bliżej, okazało się, że to jeden z jego braci lęgowych, Paplak. Korciło go, żeby kopnąć niegodziwca w zadek lub podpalić mu ogon. Mógłby nareszcie odwdzięczyć się za lata kuksańców, kopniaków i poniżeń... ale mapa Stenoryona była ważniejsza. Prześlizgnął się więc bezszelestnie i kontynuował wędrówkękrętymi stopniami na górę.

Dziwnie było ponownie znaleźć się w znajomych ścianach Czarnego Szpona. Dziwnie, ale niemalże przyjemnie. Miał ochotę pobiec do swojego starego legowiska, rzucić się na przegniły siennik i zasnąć. Może po przebudzeniu cała ta przygoda okazałaby się tylko szalonym snem. Odegnął jednak te myśli i skierował się do komnaty podcierek, idąc osobliwie

cichymi, opustoszałymi korytarzami. Zawodzący wiatr hulał w pogmatwanych wnętrznościach baszty. Gdzieś wyżej zarechotał jakiś pijany goblin i Skarper zamarł na krótko, nasłuchując, czy dźwięk się nie przybliży.

Niedługo potem dotarł do składowiska podcieriek. Stosy ksiąg i papierów leżały dokładnie tak, jak je zostawił. Pogrzebał w nich i już po chwili zmacał zwiniętą w ciasny rulon mapę. Wyciągnął ją, rozłożył na ziemi i w nikłym blasku nietoperzych odchodów jął wypatrywać tajnych symboli, tak samo jak niegdyś starał się odcyfrować znaczenie tych wszystkich gryzmołów. „No to klops”, pomyślał ponuro. „Ja tu nie widzę żadnych niewidzialnych liter”.

Właśnie wtedy uświadomił sobie, że jego plan ma poważną wadę. Tak bardzo się ucieszył, że zna lokalizację mapy Stenoryona, że na śmierć zapomniał o bardzo istotnej rzeczy. Tylko płomień z wolnego srebra mógł ujawnić jej tajemnice! Klepnął się w czoło. „Gdzie ja znajdę wolne srebro o tej porze?”

Naraz przypomniał sobie kulkę, którą Breslaw ulepił z resztek srebra, jakie wygrzebał ze skorupki goblinich jaj. Trzymał ją bezpiecznie ukrytą w ścianie swojej komnaty. A chociaż stary łęgomistrz nigdy nie brał udziału w wyprawach, najpewniej też nieźle sobie popił.

„Poza tym to wcale nie będzie kradzież”, myślał Skarper. „Część tego srebra jest z mojego jaja. To on okradł mnie pierwszy!”

Powziąwszy decyzję, zwinął mapę, schował ją na wszelki wypadek w majtki, po czym pośpieszył do wylęgarni.

Tymczasem na zewnątrz Henwyn odetchnął z ulgą, gdy odgłosy bitwy ucichły. Surowa Grań padła i najeźdźcy ruszyli

na Srogoszcpic i Wyjca, który w odróżnieniu od pozostałych wież miał dwa szczyty. Dach Surowej Grani płonął serpentynami ognia, a gęsta kolumna czarnego dymu przesłaniała księżyc. Krzyk jakiegoś nieszczęsnego goblina, zrzuconego z murów, przeszył nocną ciszę, ale sama walka toczyła się teraz za daleko, aby dało się słyszeć szczęk oręża.

Chłopak odprężył się trochę, ukojony spokojnym szumem lasu i wesołym pluskiem strumieni, przepływających w ruinach. Spojrzał do tyłu, aby upewnić się, czy w ciemnościach nie czyha niebezpieczeństwo. I wtedy ją zobaczył. Ponura twarz gapiła się na niego z trawy, trupioblada w poświacie księżyca. Niemal podskoczył ze strachu, ale zaraz zorientował się, że to głowa przewróconego posągu. Król Licz we własnej osobie, wyciosany z marmuru. Wydawał się całkiem szlachetny i przystojny, przynajmniej na tyle, ile dało się zobaczyć pod gałązkami bluszczu i ptasim łajnem. Henwyn zastanawiał się, czemu ktoś taki zszedł na złą drogę. „Może zaczynał tak samo jak ty?”, podszepnął mu cichutko głosik sumienia. „Może z początku okłamywał przyjaciół, by najcenniejsze tajemnice zachować dla siebie...?”

– Masz rację, sumienie – powiedział na głos Henwyn.

Całą drogę przez las czuł się wyraźnie nieswój. Podekscytowany, a jakże, ale zarazem nieswój. Oszukiwanie księżniczki Ned nie było w porządku, bez względu na to, co twierdzi Skarper. Poza tym Skarper jest goblinem. Skąd on ma wiedzieć, co jest dobre, a co złe? Henwyn za to jest serowarem z Adherak. A serowarzy nigdy się nie mylą.

W tym momencie blade promienie księżyca, odbite od marmuru posągu, zwróciły jego uwagę na coś innego; niewielki

biały przedmiot leżał w chaszczach u stóp Króla Licza. Stary amulet z kości słoniowej, wyrzeźbiony na kształt skrzydlatej głowy, z tą samą surową miną, co ta na zwałonym posągu. Był to, rzecz jasna, talizman Fentongoosa, upuszczony w chaosie poprzedniej nocy, ale Henwyn nie mógł o tym wiedzieć, nigdy go przecież nie widział. Już chciał wyrzucić znalezisko z powrotem, ale tak ładnie wyglądało w księżycowym świetle, tak przyjemnie leżało w dłoni, że postanowił je zatrzymać. Związał przerwany rzemyk, po czym włożył amulet na szyję i schował pod koszulą.

– Dam to w prezencie księżniczce Ned – powiedział do siebie.

– W ramach przeprosin, że tak brzydko się wymknęliśmy.

Rzeźba dalej wlepiła w niego wzrok, a jej marmurowe usta zdawały się wykrzywiać w szyderyczym uśmiechu.

Z początku wszystko szło jak po maśle. Gobliny, które Knobbler zostawił na straży, szabrowały rzeczy nieobecnych kamratów na szczycie wieży. W środkowych partiach nie było żywej duszy, nikt więc nie zatrzymywał Skarpera, gdy ten wypadł ze składowiska podcierek i schodami pobiegł do wylęgarni. Kiedy wreszcie stanął pod drzwiami, usłyszał ze środka powolny, rzeźący oddech. A kiedy pochylił się i zajrzał przez jedną z wielu dziurek (bo były to bardzo stare, przeżarte przez korniki drzwi), ujrzał Bresława chrapiącego w najlepsze na posłaniu, które zmajstrował sobie ze starych gobelinów w odległym rogu pomieszczenia. Obok śpiącego łęgomistrza walał się pusty antałek po winie.

Cichuteńko Skarper nacisnął żeliwną klamkę i wślizgnął się do komnaty. Ostrożnie zakradł się do barłogu Bresława i sięgnął nad nim, by wyciągnąć ze ściany poluzowaną cegłę. Rozległ się

nieznaczny zgrzyt. Stary goblin poruszył się przez sen. „Ech, co jest?“, wymamrotał, po czym przekręcił się na drugi bok i zachrapał jeszcze głośniej.

W szparze po cegle mieniły się ukryte skarby: powyginany złoty pierścień, parę klejnotów wydlubanych z rękojeści mieczy i koślawa kula wolnego srebra, pałająca nikłym blaskiem. Skarper chwycił ją w łapkę. Była mniej więcej rozmiaru kaczego jajka, ale jednocześnie zaskakująco ciężka i ciepła w dotyku. „Jak się da, zeskrobie tylko odrobinę, żeby zapalić magiczny płomień i przeczytać instrukcje ukryte na mapie”, pomyślał. „A resztę zachowam dla siebie”. Byłby to idealny początek przyszłej kolekcji jego własnych skarbów.

Schował kulkę do kieszeni i dyskretnie wsunął cegłę na miejsce. Z westchnieniem ulgi wypuścił długo wstrzymywany oddech, po czym zawrócił do drzwi. Był już prawie na zewnątrz, gdy niechcący zahaczył ogonem o treningową maczugę, opartą o ścianę komnaty. Maczuga przewróciła kolejną, a ta jeszcze następną, tamta zaś wpadła na halabardę i topór bojowy. Naraz cały rząd broni runął ze szczękiem na podłogę. Ostatnia w szeregu była długa włócznia o trójdzielnym żeleźcu, która zaczepiła o wysoką półkę i zrzuciła z niej glinianą miskę Bresława. Skarper zanurkował do przodu i złapał miskę w ostatniej chwili. Niestety, półka odpadła od ściany i w dół posypały się skorupki goblinich jaj, uderzając nieszczęsnego Skarpera jak wściekły kamienny grad i rozpryskując się po posadzce.

Przez kilka sekund ani drgnął, czekając aż harmider ucichnie. Powoli wracały do niego odgłosy wieży. Gdzieś na górze pohukiwały podchmielone goblino, jakkolwiek nic nie

wskazywało na to, że zaalarmował je raban w wylęgarni. Czy to możliwe, że naprawdę nic nie słyszały? Może hałas nie był tak głośny, jak mu się wydawało...

Obejrzał się do tyłu.

Breslaw uniósł głowę z posłania i wpatrywał się w niego jedynym zamglonym, żółtym okiem.

Skarper pomachał do niego miską.

– To tylko sen! – powiedział. – To wszystko sprawka wina! Przyśniłem ci się!

Warto było spróbować. Każdy inny goblin pewnie dałby się nabrać i poszedł spać dalej. Tyle że Breslaw nie był w ciemną bity.

– Skarper? – mruknął i przez moment wyglądał, jakby niemalże się ucieszył na widok swojego najbystrzejszego ucznia. Zaraz jednak zaspane trybiki w jego mózgowicy drgnęły, zgrzytnęły i w końcu ruszyły pełną parą. – Co się tak skradasz...? – Zmarszczył się, po czym zerwał na równe nogi i wyciągnął cegłę ze ściany.

– Złodziej! – wykrzyknął.

Skarper rzucił się do ucieczki. Przez drzwi na korytarz, w dół po spiralnych schodach, tak szybko, że wirowało mu w głowie. Wysoko z góry słyszał tupot strażników, którzy zbiegali zwabieni piskliwymi wrzaskami Breslawa.

– Złodzieje! Bandyci! Włamywacze!

Nawet Paplak w piwnicach został wyrwany ze snu.

– Stać! Kto idzie... Skarper? – zawołał, blokując przejście, gdy Skarper wypadł z klatki schodowej.

Na szczęście Skarper zapomniał wyrzucić miskę Breslawa. Z całej siły rozbił ją na głowie Paplaka i nie zwalniając,

przeskoczył nad jego bezwładnym ciałem. Minutę później był już na dworze, chciwie łapiąc świeże, zimne powietrze i rozglądając się za Henwynem w ciemnościach nocy. Spod ziemi wciąż jednak dobiegały rozwścieczone okrzyki, tumult pościgu i szcęk stalowej broni i zbroi.

– Pomocy! – zawołał, bezskutecznie siłując się z ciężką, kamienną płytą. Nagle ktoś złapał go za kubraczek i odciągnął w stronę lasu. Był to oczywiście nie kto inny, jak Henwyn. Chłopak dzielnie obnażył miecz i wywinął młyńca na gobliny wyskakujące z tunelu.

Światło księżyca odbiło się od ostrza i padło na przerażone pyski. Chłopaki z Czarnej Ferajny Knobblera natychmiast rozpoznały straszliwego wojownika z bitwy pod kamiennym mostem i trwożnie cofnęły się z powrotem, ignorując gniewne rozkazy Bresława. Henwyn nie zwlekał ani chwili, pociągnął Scarpera za sobą i obaj uciekli przez ruiny do mrocznej kniei. Zatrzymali się dopiero na kamienistej polanie, przykrytej kilimem szarawej księżycowej poświaty.

– Masz mapę? – wydyszał Henwyn.

– Jasne, że mam – odsapał Skarper. Dla pewności poklepał się po portkach. Kulka srebra nadal leżała bezpiecznie w kieszeni, a mapa Stenoryona uspokajająco zaszeleściła mu w majtkach.

– I co? Wskazuje tajne przejście?

– A skąd mam wiedzieć? Nie miałem czasu na rozpalanie wolnego srebra. Ale udało mi się trochę go zdobyć. – Na wspomnienie zaskoczonej twarzy Bresława mały goblin zachichotał. – To dlatego tak mnie gonili.

– Zabierzemy je na statek i pokażemy Ned – powiedział Henwyn, szczerząc zęby w uśmiechu. Księżniczka na pewno

będzie pod wrażeniem, że tak sobie poradzili.

– Och, nie ma co zawracać jej głowy – zaprotestował Skarper.
– I tak jest okropnie zajęta. Lepiej zachowajmy to między sobą, wiesz, jak...

– Musimy powiedzieć Ned i reszcie – przerwał z naciskiem Henwyn. – A może wolisz, żebym zostawił cię samego na pastwę twoich kumpli z wieży?

I nie czekając na odpowiedź, ruszył szparkim krokiem przez las. Skarperowi nie pozostało nic innego, jak pobiec za nim.

– Henwynie?! – To księżniczka Ned nawoływała w oświetlonym księżycem ogrodzie. Cieszyła się na kolejny wieczór rozmów i opowieści, ale nigdzie nie mogła znaleźć młodego serowara, a bez niego to nie to samo.

– Po Skarperze też ani śladu! – zawołał Fentongoose z rufowego kasztelu okrętu. – Może poszli gdzieś razem?

Księżniczkę przeszył nieprzyjemny dreszcz. Przypomniała sobie, że widziała tego popołudnia, jak żywo dyskutowali, spowici oparami gorącego nawozu. Zastanawiała się wtedy, o czym mogą rozmawiać. Teraz znów o tym pomyślała. Henwyn był doprawdy uroczy i gdyby tylko pojawił się trzydzieści lat wcześniej, bardzo chętnie dałaby mu się uratować. Skądinąd trudno zaprzeczyć, że nie był zbyt bystry. Ned obawiała się, że chłopak nie zdaje sobie sprawy, jak zdradzieckie potrafią być gobliny.

„Niktóre”, poprawiła się w duchu. „Nie mogą przecież wszystkie być równie złe, tak samo, jak nie wszyscy ludzie są dobrzy. A Skarper nawet jeszcze się nie wyklął, gdy zaatakowały Smarkort”. Jednak głos rozsądku zagłuszało cichutkie, błagalne skomlenie goblina, który zwiódł jej

rodziców. „Litości! Litości!”, pisał głośnik, co mieszało się w jej pamięci z okrutnymi krzykami najeźdźców: „Czarny Szpon! Czarny Szpon!”. Czy Skarper nie był przypadkiem z Czarnego Szpona?

– Och, Henwynie – westchnęła ciężko, idąc przez grządki do kamiennej kładki, pod którą zwał się szemrał strumień. – Mam nadzieję, że ten goblin nie zwiedzi cię na manowce...

W blasku księżyca wyraźnie zobaczyła błotniste ślady, jakie dwaj uciekinierzy pozostawili w mokrej ziemi za mostkiem. Gdy przykucnęła, aby zbadać je bliżej, zauważyła odciski jeszcze innych stóp: dużych, trójkątnych, błoniastych, błyszczących wilgocią na granitowym dolmenie.

Nigdy wcześniej nie widziała czegoś podobnego. Wyprostowała się i naraz ujrzała dziesiątki par lśniących oczu, obserwujących ją uważnie z ciemności.

Księżniczka krzyknęła i rzuciła się do ucieczki, lecz została schwytana w sieć – mlecznobiałą i zimną, mglistą i ulotną, lecz jednocześnie mocną jak konopna lina.

W tym samym czasie Breslaw przekopywał sterty podcierek w Czarnym Szponie.

– Był tutaj – mrucał pod nosem. – Wszędzie zostawił ślady. Najpierw przylazł tu i coś zabrał, a potem przyszedł mnie okraść. Ale po co?

Na zewnątrz słyszał wołanie strażników: „Dobra, Głębierz, bierz te alejki!” i: „Trza jeszcze obczaić te chałupy!”. Wiedział, że tak naprawdę wcale nie szukają Skarpera i mienczaków. Stali, zbici w przerażoną gromadkę u wylotu tunelu, co chwila pokrzykując, żeby zrobić na nim dobre wrażenie. Prychnął. Ale czemu Skarper zadaje się z tymi mienczakami? I co wzięli z

podcierek? Rozejrzał się po stosach ksiąg i papierów, rozrzuconych niedbale dokoła. Nagle go olśniło. „Mapa!”, pomyślał. „Może wrócił po mapę? Ale po kiego czorta mu moje srebro? Co ty knujesz, Skarper?”

Powoli z pokładów niepamięci wydobył odległe wspomnienie. Coś, co usłyszał kiedyś od pewnego starego goblina całe lata temu. „Kiedy wolne srebro płonie, wymamrotał, ujawnia czasem tajemne znaki. Słomy i lakiery, które ktoś chciał ukryć w zamierzchłych czasach...” Oczywiście sam nigdy tego nie sprawdził. Magiczne srebro było zbyt cenne, żeby tak głupio je marnować. Chyba że... „Chyba że na mapie zaznaczono jakąś sekretną drogę. A droga musi prowadzić do czegoś, czego pragną mienczaki...”

Tylko jedna rzecz zasługiwała na tyle zachodu. Oczy Bresława rozbłysły goblińską chciwością.

– Skarby!!!

PORWANIE

Skarper i Henwyn zauważyli, że coś jest nie w porządku, na długo zanim przeszli przez kamienną kładkę i znaleźli się w zasięgu Zachodnich Wrót. W lesie panowała niemal głucha cisza, a powietrze przesycone było wilgocią. Ani jeden badyłaczek nie szeleścił w koronach drzew, żaden nie przemykał po gałęziach. Jedyne dźwięki, jakie było słychać, to wszechogarniające kap-kap. Kropelki wody spadały wszędzie, jak okiem sięgnąć. Z perlistym kapnięciem rozpryskiwały się na mokrej glebie.

– Padało – stwierdził Henwyn.

– Nie widziałem chmur – dziwował się Skarper.

Ścieżka była zalana wodą. Dwaj towarzysze brnęli przez ciamkające błocko, które goblinowi sięgało aż do kolan. Brodzili w głębokich kałużach, rozbryzgując lustrzane odbicia księżyca.

– Prawdziwa ulewa, pewnie burza – zasugerował Henwyn.

– Nie słyszałem grzmotów – odparował Skarper.

Dotarli do mostku i prawie go nie poznali. Strumień wezbrał, zmieniając się w szerokie rozlewiska, w których migotały srebrzyste gwiazdy. Ogród Eluned był zupełnie zniszczony, jakby przetoczyła się tędy wichura. Krzaki płożyły się nisko

przy ziemi, połamane i sponiewierane. Statek zniknął ze strażnicy.

– Huragan! – westchnął Henwyn.

– Nie było żadnego wiatru – odrzekł Skarper, coraz bardziej zaniepokojony. Puścili się biegiem, rozchlapując liczne nowe strumyczki i rzeczutki, ślizgając się na galaretowatym szlamie. Zewsząd nadpływały odgłosy ciurkającej wody.

Kadłub okrętu leżał na boku u stóp czatowni, z dziobem strzaskanym od upadku. Na murach wisiały jeszcze pozostałości lin, których użyto, by ściągnąć go na ziemię: grube i białe, ale zarazem dziwnie niematerialne, jakby nie mogły się zdecydować, czy istnieją naprawdę, czy są zaledwie mglistą fatamorganą. Henwyn naliczył ich dziesiątki.

– Są całe mokre! – skrzywił się, gdy dotknął jednej z nich.

Nagle z wnętrza wraku rozległo się potężne aaaa-psik!

Henwyn wysunął się naprzód.

– Kto tam?! – zawołał.

– Henwyn?

Trzy blade postacie wynurzyły się z ciemności.

– Henwyn? – powtórzył Fentongoose, wstrzymując kolejne kichnięcie. – Skarper? Och, dzięki niech będą mrokom! Myśleliśmy, że was też porwały te potwory!

– Jakie potwory? – spytał młodzieniec. – Kogo porwały? Gdzie porwały? Gdzie jest księżniczka?

– Stracona! – jęknął Carnglaze. – Banda oślizgłych goblinów złapała ją w sieci z mgły i uniosła ze sobą!

– Oślizgłe gobliny? – zdziwił się Skarper. W długiej historii świata gobliny nazywano najrozmaitszymi określeniami i inwektywami, ale nigdy nie słyszał, by ktokolwiek twierdził, że

są oślizgłe. – To nie sprawka goblinów. Gobliny nienawidzą wilgoci i wody!

– Cokolwiek to było – wtrącił Prawl – przyszło z północy pod osłoną mgły.

– Z północy, tak? – Skarper wzdrygnął się nieprzyjemnie. – Pewnie z Mokradeł Natterdon. Gobliny nie lubią mówić o tym miejscu. Podobno żyją tam złe stwory...

– Co za stwory? – zapytał Prawl.

– Nie wiem. Nigdy o nich nie rozmawiamy.

Fentongoose opowiedział, co zaszło:

– Nie zauważyliśmy ich, dopóki nie zarzuciły swoich lin na statek. Z początku myśleliśmy, że nie dadzą rady go ściągnąć, ale było ich całe mnóstwo. No i muszą być silniejsze, niż wyglądają, bo kadłub runął z hukiem. Potem rozlazły się wszędzie, obślizgłe diabły. Obwiązały księżniczkę mglistymi sznurami i zaciągnęły ją ze sobą. Nic nie mogliśmy poradzić, było ich po prostu za dużo. Nas by też porwały, ale z pomocą wiedzy tajemnej staliśmy się niewidzialni dla oczu zwykłych śmiertelników.

– Znaczy, schowaliśmy się w szafie – uściślił Prawl.

– Nie próbowaliście ich powstrzymać?

– Powstrzymać? Kiedy władają tak silną magią?! – wykrzyknął Fentongoose.

– Baliśmy się. – Carnglaze pociągnął wstydliwie nosem i jak na komendę czarodzieje pospuszczali głowy.

– Wiecie, gdzie stwory zabrały księżniczkę? – dopytywał Henwyn.

– W szafie było dość ciemno – odpowiedział Prawl. – Ale słyszeliśmy, jak odchodząc, śpiewają i chichoczą.

– Śpiewały coś o Bospoldew.
– Jeśli takie rechoty można nazwać śpiewem.
– W każdym razie głosy oddaliły się na północ, w stronę lasu.
– Z powrotem na mokradła – wywnioskował Skarper.
– Ale na co im księżniczka? Co one z nią zrobią?
– Na pewno nic miłego – westchnął ciężko Carnglaze. – Gdyby chciały zaprosić ją na kolację, poprosiłyby grzecznie, a nie ciągnęły siłą, całą skrepowaną linami.

– Może to Ned jest ich kolacją! – zawołał Skarper. Ogarnęło go paskudne, mdlące uczucie, którego nie umiał nazwać. – To moja wina, prawda? Bylibyśmy tutaj, gdybym nie namówił Henwyna na wyprawę do Czarnego Szpona. Moglibyśmy coś zrobić...

Henwyn poklepał go krzepiąco po ramieniu.

– Owszem – powiedział spokojnie. – Mogliśmy sami dać się złapać. Ale dzięki tobie jesteśmy wolni i teraz możemy ruszyć jej na ratunek.

– Ratunek? – jęknął Skarper. Nic dziwnego, że sam nie wpadł na ten pomysł, ponieważ nie brzmiało to najlepiej.

– Nietrudno będzie wytropić te stwory – ciągnął Henwyn, patrząc na północ. Strzępki mgły zaplątane na drzewach zdawały się formować widmowy szlak, prowadzący przez las i dalej przez odległą grań, która wznosiła się na zachód od Twierdzy. – Fentongoose, idziesz z nami. Będziemy potrzebować twoich czarów.

– Ale ja nie znam żadnych czarów! – zaprotestował białobrody starzec. – Nie mam już nawet amuletu Króla Licza...

– Więcej wiary w siebie – pocieszył go Henwyn. – Zdołałeś zaczarować mój ser. Może znowu ci się powiedzie.

– A co, jeśli nie? – spytał Fentongoose. – Co, jeśli moje zaklęcia

zawiodą w obliczu niebezpieczeństwa? Wyjdziemy na głupców!

– Nie czujesz się głupcem już teraz?

– Może i jesteśmy głupcami, ale przynajmniej jesteśmy bezpieczni – wtrącił Prawl. – Nie potrafimy się bić i niepotrzebne nam przygody. Żadni z nas bohaterowie. Jesteśmy badaczami i uczonymi. Zostaniemy tutaj. Rozejrzyj się. Widzisz, jaki bałagan zostawiły te stwory z mokradeł? Pomyśl, jak przykro będzie księżniczce, gdy zobaczy swój dom w takim stanie. Posprzątamy trochę i poczekamy na wasz powrót.

– Wspaniały pomysł! – przytaknął Fentongoose. – Ktoś tak bohaterski i waleczny jak ty z łatwością odzuka tych oślizgłych bandytów i oswobodzi księżniczkę. My tylko byśmy ci zawadzali.

– Ja też mógłbym zostać? – zasugerował Skarper z nadzieją w głosie.

– Potrzebuję cię, Skarperze. – Henwyn pokręcił głową. – Będiesz moim przewodnikiem po Clovenstone. – Po czym zwrócił się do czarodziejów: – A jak wyglądały te stwory, tak na oko?

Carnglaze zaprowadził go do ogrodu. Tam, w cieniu rozwalonego kadłuba, leżały ciała czterech najeźdźców, którzy nie zdążyli uskoczyć, gdy statek spadał z góry. Wrak przetoczył się po nich, po czym osiadł w obecnej pozycji. Sądząc po zgniecionych resztkach, dało się ocenić, że były to mokre, szarozielone pokraki, mniej więcej rozmiaru goblina, z szerokimi pyskami ropuch, gęsto nakrapianymi brodawkami.

– Wyglądały tak – powiedział Carnglaze. – Tylko mniej płasko.

MOKRADEŁA NATTERDON

Lasy Clovenstone były zaskakująco ciche, jakby jeszcze nie pozbierały się po przemarszu dziwnych, bagnistych istot. Magiczna mgła wciąż wisiała w gałęziach drzew i nigdzie nie było widać badylaków. Musiały pochować się ze strachu w dziuplach i wykrotach, a teraz czekały, aż niebezpieczeństwo przeminie.

Tymczasem Henwyn i Skarper szli prosto w paszczę tegoż niebezpieczeństwa, podążając jego tropem tak szybko, jak na to pozwalał rozmiękły teren, poznaczony śladami szerokich, błoniastych łap.

– Co to za stwory, Skarperze? – zapytał Henwyn, gdy podmokła knieja zgęstniała wokół nich. – Wiem, że nie lubicie o nich mówić, ale musisz przecież coś wiedzieć...

– Bagliny – odpowiedział Skarper i wzdrygnął się na samą myśl. – Tak się chyba nazywają. Poczwary z bagien. Szlamowe kreatury. Złe, bardzo złe. Nigdy nie wychodziły z mokradeł. Przynajmniej odkąd pamiętam.

– To pewnie sprawka gwiazdy – stwierdził chłopak. – Ned miała rację. Różne nienazwane rzeczy budzą się ze snu.

Ponad koronami drzew płonęła kometa. Księżyc wisiał nisko,

rzucając długie cienie. Błotnista ścieżka zawiodła ich na wzgórze, gdzie stary gościniec lawirował pomiędzy kopułami zrujnowanych świątyń, potłuczonych jak skorupki jajek. W pobliżu wznosiły się zarośnięte mchem iglice obserwatoriów, z których astrologowie Króla Licza mogli studiować tę samą rozjarzoną gwiazdę, gdy setki lat temu pojawiła się na niebie Zachodnich Krain. Dwaj wędrowcy wspięli się na skalistą grań i popatrzyli na północ i wschód. Drzewa były tu rzadsze. Strzeliste dęby zastąpiły kępki rachitycznych olch i widmowych brzózek. Kiedy odwrócili oczy od warownych murów na zagłębienie bagniska, nie dostrzegli niczego poza gęstą jak mleko mgłą, to tu, to tam poprzetykaną zrujnowaną wieżą lub uschniętym pniem.

– Mokrada Natterdon – powiedział Skarper i włoski stanęły mu dęba na czubkach uszu.

Bagliny wracały do Bospoldew w ten sam sposób, jak przyszły pod Zachodnie Wrota: szeroką kolumną roślących szlamiaków, z młodszymi szlamiakami po bokach, kurczowo trzymającymi się nitek mgły, która tworzyła nad nimi lepką zasłonę zimnych oparów. Z tą różnicą, że w drodze powrotnej robiły znacznie więcej hałasu. Bojowe rogi buczały jak bąki, które gnieździły się w szuwarach. Głośną wrzawą stwory z trzęsawiska dawały znać o sukcesie swojej wyprawy. Wspaniały Poldew z Bagien będzie z nich dumny.

Właściwie nie do końca tak. Była jeszcze jedna różnica. W samym środku pochodu, skrępowana mglistymi więzami i wleczona na saniach splecionych z trzciny, leżała księżniczka Eluned. „Ale wstyd!”, myślała. „Dać się tak nedorzecznie porwać jak jakaś smarkata królewna! A jeszcze wczoraj

mówiłam temu miłemu młodzieńcowi, że nie potrzebuję ratunku! Cóż, w tej chwili całkiem by się przydał”.

Gdy złapała ją sieć, księżniczka niezbyt życzliwie założyła, że to wszystko wina Skarpera. Kiedy obmierzłe wilgotne łapy ciągnęły ją po skalistym pomoście, wyobrażała sobie, jak zdradziecki goblin zakradła się z powrotem do Czarnego Szpona, informuje koleżków, że pod nieobecność Fraddona Olbrzyma nic im nie grozi, po czym własnoręcznie prowadzi atak na jej samotnię. Kiedy jednak księżyc oświetlił swym blaskiem porywaczy, Ned zrozumiała, że to na pewno nie gobliny. Podczas swojego pobytu w Clovenstone miała okazję rozmawiać z wieloma jego mieszkańcami i często słyszała o potwornościach i horrorach, jakie czają się na Mokradłach Natterdon. Bagliny: to musiały być właśnie one. Ogarnęło ją nagłe podniecenie, charakterystyczne w takiej sytuacji tylko dla adeptki historii nadnaturalnej, wymieszane wszakże ze sporą dawką strachu.

Paskudne stwory śpiewały podczas marszu:

Do Bospoldew, do Bospoldew!

Śpieszmy tam, śpieszmy co tchu!

Ze skórki cię obedrzemy, w zupie uwarzymy,

Na rożnie upieczemy, w kociołku udusimy!

Żebra ci wytniemy i je potem zjemy,

W Bospoldew, w Bospoldew...

Większość z nich paradowała nago niczym żaby, ale co ważniejsze nosiły zbroje sklecone z łupków, dachówek, otoczków i żółwich skorup, powiązanych plecionką z trawy. Niektóre dzierżyły włócznie z krzemiennymi lub szklanymi

grotami – te ostatnie wykonano z odłamków szyb, znalezionych w ruinach. „Oczywiście”, myślała Ned, „stalowe ostrza szybko by stępiały i zardzewiały w wilgoci moczarów”. Dlatego też spora część baglinów wyposażona była tylko w maczugi z czarnego dębu, którego drewno przez stulecia leżakowania w głębokich błotach stwardniało na kamień, albo w dmuchawki z bagiennych rogoży i zaostrzone strzałki z wierzbowych witek.

Chociaż wszystko to było nad wyraz interesujące, księżniczka coraz mniej mogła skupić się na obserwacji. Zaczynała się poważnie martwić, co bagliny zamierzają z nią zrobić, gdy dotrą do miejsca zwanego Bospoldew. Powoli, lecz nieubłaganie kroczyły do celu pochyłością zbocza. Gęstniejąca mgła przesłaniała cały krajobraz, poza niewyraźnymi zarysami rozwalonych budynków i skarłałych drzewek. Gdzieś z przodu widać było ruchome światełka i jakby rozmazane kontury wielorybiego kształtu, może wywróconego do góry dnem okrętu. W skrytości ducha Ned liczyła, że ich straszliwej marszowej piosenki nie należy rozumieć dosłownie...

W Bospoldew, w Bospoldew

Twoja głowa skończy na pniu!

Flaki wyciągniemy i w kłębek zwiniemy,

Kręgosłup rozszczepimy, po bagnach rozrzucimy!

Trzustkę, eee... Co można zrobić z trzustką? Nieważne!

Do Bospoldew, do Bospoldew!

Rogi bojowe zahuczały, a odwrócony okręt wyłonił się z oparów. Była to wielka chata, byle jak zbudowana z gruzów i kamieni, pokryta gnijącymi trawami i mchem. Po obu stronach ziejącej bramy w koksownikach płonęły bezbarwne wstęgi

ognia, a nabrzmiące kule bagiennych gazów unosiły się w powietrzu jak upiorne świetliki, niezdrowym blaskiem odbijające się w atramentowoczarnych, nieruchomych wodach rozlewiska.

Przy świetle tych widmowych lampionów bagliny wciągnęły swoją branke po ziemistej grobli do bezkształtnej chaty i wysokie odrzwia Bospoldew zamknęły się za nimi z głuchym trzaskiem.

W tym samym czasie ekipa ratunkowa schodziła północną stroną grani, wciąż podążając szlakiem wydeptanym przez bagliny. Ledwo jednak pojawiły się pierwsze bajorka, zarosłe trzcina i pałkami, drogę przesłoniła nieprzebyta ściana mgły. Kiedy Henwyn spróbował przez nią przejść, mgliste pasma napięły się jak mocne, wilgotne liny.

– Twarda mgła – skonstatował, pociągając kilka niteczek, które zabrzdąkały mokrym plang-plang. – To nie jest naturalne. Jak czarny śnieg albo suchy deszcz...

– I ciepła woda – zgodził się Skarper.

– Ciepła woda nie jest nienaturalna. Nie macie łaźni w Czarnym Szponie?

– Eeee...

Chłopiec dobył miecza i na odlew ciął w mglistą barierę. Sieci ustąpiły niechętnie, ale natychmiast poczęły zasklepiac się od nowa. Dwaj towarzysze patrzyli przez niewielką szparkę na wąską ścieżynkę, wijącą się wśród szczątków wysokich budowli, co kawałek poprzedzielaną kolejnymi zasłonami mgły.

– Zajmie nam całe godziny, żeby przedrzeć się na drugą stronę – westchnął Henwyn. – A na dodatek mgła zamknie się zaraz na naszych plecach. Będziemy w niezłym potrzasku!

– Bagliny pewnie już wyczuły, że majstrujemy przy ich sieci, zupełnie jak pająki – stwierdził Skarper.

Stali przez chwilę, niepewni, co począć dalej. Obaj byli wycieńczeni wędrówką przez podmokły las, a teraz zaczęli się zastanawiać, czy nie szli taki szmat drogi na próżno. Henwyn zawrócił pierwszy.

– Wchodzę z powrotem na tamto wzgórze – powiedział. – Może z wysoka wypatrzę lepszą trasę.

Ruszył przed siebie, zanim Skarper zdążył zauważyć, że to nie ma sensu. Młodzieniec podbiegł pod górkę, starając się wyładować gniew. Bohaterowie opowieści nigdy nie mieli tylu kłopotów z ratowaniem ludzi w potrzebie. Jak niby ma zgładzić potwory, jeśli one nawet nie chcą dopuścić go do swego legowiska?

Poczuł się lepiej, gdy znowu znalazł się na szczycie, a nienawistna mgła pozostała w dole. Zachodzący księżyc oświetlał złowieszczo ruiny, a gwiazda Króla Licza płonęła ponad linią Murów Wewnętrznych. Na niebie widać było tylko jeden obłoczek, również posrebrzony niknącym księżycem, tak że wyglądał jak puszek ostu. Henwyn wspiał się po schodach na jedną z astrologicznych wież i z góry popatrzył w nieckę wypełnioną mglistą zupą aż po Mury Zewnętrzne.

Pod całunem mgły, jakieś stajanie lub dwa od obserwatorium, tańczyły zagadkowe światelka. Dalekie buczenie trąb rozbrzmiewało na cmentarzysku budynków. Mleczne opary zawirowały na mgnienie oka i Henwyn wyłowił z nich ledwo widoczny kształt: coś jak łuk masywnego, wielorybiego dachu. Czy do tego miejsca bagliny zabierają swoje ofiary? Jak się tam dostać poprzez zaporę mgły?

Spojrzał na wschód, w kierunku gargantuicznej Twierdzy. Jej ogrom był tak absolutny, że gdy już się do niego przywykło, łatwo było o niej zapomnieć, tak jak o bezkresie nieba czy wyniosłym łańcuchu górskim, które po pewnym czasie stapiają się z resztą krajobrazu. Jednak tym razem Henwyn stał bliżej mrocznej cytadeli niż kiedykolwiek wcześniej i nagle w jego oczach wydała się jakaś inna, osobliwie urokliwa w migocącym blasku miesiąca. Młodzieniec poczuł dziwne ukłucie w piersi, przejmujące pragnienie, jakiego nie potrafił nazwać. Bezwiednie podniósł rękę, by dotknąć amuletu schowanego pod koszulą i na usta samoistnie spłynęły mu słowa poematu, który niegdyś słyszał:

*Białej sowy zew,
Na niebie zachodu krew.
Pada cień czterech bram
Na ruiny martwych ścian.
Wiatr smętnie jęczy
Wśród dzikich przełęczy.
Zgliszcza giną w popiele,
Drogi porosło ziele.
W Clovenstone puste wieże,
Zmurszałe kości, zardzewiałe pancerze,
Ale w samej Twierdzy,
Za zasłoną liczej przędzy,
Za zamkniętymi wrotami,
Za mrocznymi komnatami,
Słyszać kościejów posępny ton:
Czeka Kamienny Tron,
Czeka Kamienny Tron...*

– Ach! Jakżebym chciał ujrzeć Kamienny Tron Króla Licza! – westchnął głęboko. – Wtedy mógłbym powiedzieć, że przeżyłem prawdziwą przygodę...

– Hej! Książę!

Dobiegający z ciemności głos wyrwał Henwyna z zadumy i przypomniał mu, że przecież przeżywa przygodę właśnie w tym momencie. Wciąż musiał uratować księżniczkę Ned, a przedtem przeprowić się przez ukryte w oparach ruiny, pełne nieznanych niebezpieczeństw.

– Juuuuuuu! Książę!

Rozejrzał się na prawo i lewo, ale nikogo nie zobaczył.

– Książę!

Celnie wymierzona kulka gradowa odbiła się od jego głowy i więcej głosów zawołało:

– Tutaj! Na górze!

Zza krawędzi ostowego obłoczka, który zawisł nad nim niczym przerośnięta pluszowa aureola, wyglądały bielutkie twarzyczki, niczym skłębione chmurki, każda ozdobiona pierzastą burzą włosów. Przyglądały mu się ciemnymi oczami i wyciągały dłonie, przypominające smugi pary wodnej.

– Wchodź na pokład, młody książę!

– No, chodź! Porzuć swą samotną misję i bujaj z nami w obłokach!

– Pokażemy ci niebo nad niebami!

– Pokażemy ci Góry Lodowych Kryształów na Krańcu Świata!

– To bardzo miłe z waszej strony – podziękował grzecznie Henwyn – ale jestem akurat dość zajęty...

– Och! – jęknęły zawiedzione, nachmurzone, nadąsane (kto by pomyślał, że chmura może się dąsać?). Wydawały się

naprawdę sympatyczne i Henwynowi zrobiło się przykro, że je zasmucił.

– W każdym razie – wyjaśnił w ramach pocieszenia – nie jestem księciem, lecz prostym serowarem. Chociaż rzeczywiście mam niezwykle ważną misję. Idę na ratunek...

Nagle wpadł na genialny pomysł. Nie miewał ich zbyt często, więc zawsze witał je z otwartymi ramionami, ten zaś szczególnie go ucieszył. Jego uśmiech tak zachwyił chmurzanny, że momentalnie wybaczyły mu, iż nie jest prawdziwym księciem.

– Mogłybyście mi pomóc? – zapytał. – Muszę przedostać się przez te mgły do kryjówki bagnistych baglinów. Zechcecie mnie podrzucić?

– Do Bospoldew? – Chmurzanny zawołały z przestraczem i popatrzyły na niego chłodniej. Na zadarty nos Henwyna spadło kilka płatków śniegu. – Bospoldew to okropne miejsce!

– Mieszka tam Poldew z Bagien!

– Znów splata sidła z magicznej mgły!

– Jego moc sięga aż do chmur! W dawnych czasach bagliny łapały nas w swoje sieci i wypychały nami pierzyny!

– Nie ośmielimy się zabrać cię do Bospoldew!

– Ależ, siostry! – powiedziała jedna z nich. – To pierwszy księżę, jakiego widzimy od lat!

– Ale sam przyznał, że wcale nie jest księciem, tylko samowarem, czy czymś takim!

– To w zasadzie jedno i to samo; a poza tym jest przeuroczy!

– Drogie panie, proszę! – bąknął Henwyn, lekko zawstydzony.

– Nie wiem, jak inaczej przeprawić się przez moczary, a muszę dotrzeć do tego Bospoldew, by uratować księżniczkę Ned!

– Księżniczkę? Księżniczkę? – zaszemrały chmurzanny z niesmakiem. – Faj! Księżniczki są do kitu! Nie lubimy księżniczek! Ani trochę!

– Pewnie jesteście zakochani?

– Och, nie! – zaprzeczył Henwyn, czerwony jak rak. – Skądże znowu! To księżniczka w średnim wieku. Choć bardzo miła.

Chmurzanny schowały się w obłoczku, który jął podskakiwać i szumieć, podczas gdy w środku trwała ożywiona narada. Niebawem, ku radości Henwyna, w dół spłynęła drabinka spleciona z nitek pary, a chmurzanny dały znak, żeby wchodził na pokład. Kiedyś bałby się, że tak delikatny stateczek nie udźwignie jego ciężaru, ale odkąd doświadczył mglistej magii baglinów, nie wątpił w jego wytrzymałość. Złapał drabinkę i zaczął się wspinać, wołając przez ramię:

– Skarper! Do mnie!

– Co? Kto? – zdziwiły się chmurzanny.

– Mój przyjaciel – wyjaśnił Henwyn, patrząc na ich śliczne, dymne buzie. – Przepraszam, powinienem był powiedzieć od razu. Nie mogę go zostawić. O, patrzcie, to on...

Chmurzanny zdążyły już zobaczyć małą postać, gramolącą się po zboczu wzgórza do iglicy obserwatorium. Obłoczek uniósł się troszkę wyżej i zaiskrzył błyskawicami.

– Nie wspominałeś nic o przyjaciółach!

– Och! To ten paskudny goblin!

Skarper spojrział w górę i rozpoznał chmurzanny w tym samym momencie, w jakim one rozpoznały jego. Niezwłocznie rzucił się pod osłonę wieży, ledwo unikając pioruna, który rozsadził pobliski kamień.

– Mogłybyście trochę uważać?! – zawołał z niepokojem

chłopak. – To mój przyjaciel, Skarper!

– Nie, nie! – krzyczały chmurzanny.

– Nie zabierzemy go!

– Nie ziemny pomiot...

– Kamienne szczenię...

– Nie goblina!

– Cóż, może i wygląda jak goblin – zaprotestował Henwyn – ale... no dobra, to goblin, ale ma wielkie serce. I uratował mi życie!

– Nie. Mowy nie ma. Żadnych goblinów – odparowały surowo chmurzanny.

– Wstrętne poczwary!

– Szczególnie ten tam! RzUCA się w niebo, gdzie nie jego miejsce, dziurawi cudze chmury...

Henwyn wszedł już prawie na pokład, ale słysząc to, westchnął ciężko i zawrócił na ziemię.

– Bardzo mi przykro, drogie damy z obłoków, ale nie zostawię przyjaciela. Widzicie, jestem bohaterem (a przynajmniej zamierzam nim zostać), a to byłoby wielce niebohaterskie z mojej strony. Będziemy musieli poszukać innej drogi do Bospoldew...

Chmurzanny popatrzyły po sobie. Wyglądało, jakby już miały wycofać się na kolejną naradę, ale ostatecznie doszły do porozumienia bez słów.

– W porządku – oświadczyła jedna. – Możesz wejść razem ze swoim goblinem. Ale tylko ten jeden raz.

SMOCZYDŁO

Mimo wszystko Skarper im nie ufał. Podejrzewał, że przypieką go piorunem, jak tylko wyjdzie z ukrycia. Albo zrzucą na pewną śmierć, gdy obłoczek osiągnie odpowiednią wysokość. Jednak żaden grzmot nie grzmotnął i żadna błyskawica nie błysnęła, kiedy wszedł na szczyt wieży i zaczął wspinać się po chmurzastej drabince. Wkrótce siedział już na pokładzie, lekko zapadając się w mięciutkim puchu, podczas gdy podniebny statek dryfował na północ. Poza paroma chmurnymi spojrzeniami (i słonecznym uśmiechem Rill), chmurzanny całkowicie go zignorowały. Rozszczebiotane obskoczyły Henwyna, wypytując młodzieńca, jak podoba mu się w przestworzach i która z nich jest najładniejsza.

Henwyn nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Wszystkie były ładne na swój chmurkowy sposób, a że dorastał z trzema siostrami, świetnie rozumiał, jaka awantura wybuchnie, jeśli wybierze jedną.

– O, ptaszek! – zawołał w końcu, wskazując przelatującą sowę. Wtedy też zdał sobie sprawę, jak wysoko się znajdują; znacznie wyżej niż wieże i mury Clovenstone. Naraz zakręciło mu się w głowie. – Ojoj...! – jęknął, przybierając kolor

rozgniecione go baglina.

– Co się stało, słodki książę?

– Czy coś ci dolega?

– Nie, tylko... lecimy! I to w powietrzu! To jakby... sprzeczne z naturą...

Chmurzanny, wielce przejęte, ułożyły go na puszystych poduszkach i przyniosły schłodzoną rosę w lodowym pucharze.

– Nie jest aż tak wysoko – zapewniały czule.

– Musisz tylko przywyknąć...

– Na niebie jest tak pięknie.

– Poczekaj, aż zobaczysz zachód słońca! Różano-złote światło rozlewa się aż po kraniec świata, a potem wychodzą srebrzyste gwiazdy...

I tak dalej. Gdyby Skarper był zgorzkniałym goblinem, pomyślałby pewnie: „Co za kapuściany łeb! Ja spadam z nieba, bynajmniej nie z własnej woli, proszę je o pomoc, a one nic, tylko fukają i prycają, a potem chcą mnie usmażyć piorunem. Za to on, wielki bohater, wystarczy, że się uśmiechnie, a zaraz chuchają i dmuchają, przynoszą mu poduszcзки i cmokają nad jego złocistymi loczkami”. (Cóż właściwie dokładnie tak pomyślał, ponieważ rzeczywiście był zgorzkniałym goblinem; w końcu każdy goblin taki jest).

– Co one w nim widzą? – zapytał na głos. Najwyraźniej życie wszędzie jest niesprawiedliwe, nie tylko w Czarnym Szponie.

Chmurzanny tymczasem wypytywały Henwyna, czym konkretnie zajmuje się serowar. Prosiły, żeby przypomniiał im, co to takiego jest ten ser, bo akurat na chwilkę zapomniały. A kiedy wyjaśnił, że to rodzaj strawy z gęstej, ścisłej masy, otrzymywanej z mleka, zachichotały, jakby opowiedział

najprzedniejszy dowcip. Kto by jadł zjełczałą krowią wydzielinę? One w niebie żywiły się jedynie płatkami zamarznętej wody, czasem doprawionymi słodkimi pyłkami, które przyniósł wiatr. Były pewne, że wymyślił ten ser specjalnie, aby się z nimi droczyć.

Chmurzanna zwana Rill wymknęła się do miękkich komnat w samym sercu chmurki i wróciła, niosąc coś delikatnie w ramionach.

– Powinieneś to wziąć, serowy książę – powiedziała nieśmiało, podając Henwynowi malutką istotkę. – To stworzonko zrodzone z ziemi. Zaopiekujesz się nim lepiej niż ja. Nie chce jeść rosy, lodu ani kwiatowych pyłków. Przyleciało na skrzydłach wiatru, biedactwo. Pewnie porwał je z gniazda w Górach Kościanych. Tak długo machało wątlymi skrzydełkami, aż zupełnie opadło z sił i wylądowało na naszym obłoczku, aby odpocząć.

Henwyn wziął istotkę w dłonie. Była ciepła, leciutka, a jej maleńkie serduszko biło jak szalone. Z początku pomyślał, że to niewielki ptaszek, a potem, że nietoperz. Jednak gdy wyciągnęło węzową szyjkę i w świetle księżyca wyraźnie zobaczył gadzią główkę z dużymi oczami o pionowych źrenicach, zrozumiał, że trzyma małe smoczątko. Maleństwo pisnęło i zatopiło ząbki w jego kciuku.

– Ojej!

– To znaczy, że cię lubi – zapewniły chmurzanny.

– Och, naprawdę? Au! Ale z niego mały gryzak!

Do tego czasu chmura zapuściła się głęboko nad mokradła, a kiedy jej pasażerowie spojrzeli w dół, ujrzeli bezkształtną bryłę wielorybiego budynku pośród mgieł. Wszędzie dookoła tańczyły

bagienne ogniki. Chmurzanny poprowadziły obłoczek trochę dalej i dyskretnie zniżyły lot w bezpiecznym miejscu.

– Musimy być bardzo cicho! – syknęły teatralnym szeptem. – Jeśli Poldew z Bagien coś usłyszy, złapie nas w swe mgliste sieci...

– Zamieni nas w poduszki...

– Ciiii!

Chmurny statek schodził coraz niżej i niżej, a mgły podniosły się, połykając go w całości. Niedługo nie dało się już odróżnić, gdzie kończy się chmura, a zaczyna mgła. Przypominało to trochę tonięcie w bardzo zimnym, widmowym morzu. Świat przesłoniła bladoszara ciemność, a w niej czały się przykucnięte sylwetki Henwyna i Skarpera (chmurzanny były zupełnie niewidoczne). Maleńki smok popiskiwał i podgryzał palce chłopaka, schował go więc delikatnie do sakiewki przy pasie. Wtem, parę stóp poniżej, zaśniła nieruchoma tafla czarnej wody. Z oparów wyłoniło się poskręcane, uschnięte drzewko na trawiastej grobli pomiędzy dwoma bezdennymi bajorami. Resztki kamiennych ścian, wystające z trzęsawiska, tworzyły coś na kształt nierównej ścieżki.

– Niżej nie zejdziemy – powiedziała chmurzanna. – Żegnaj, słodki Henwynie. Szkoda, że nie możesz zostać z nami. Wspaniale byłoby żeglować razem w przestworzach i słuchać fascynujących opowieści o cudownym serze. Jesteś pewien, że nie chcesz polecieć z nami w Góry Lodowego Kryształu, by podziwiać różanopalcą jutrzeńkę?

Henwyn popatrzył na posępne, ciemne moczary i pomyślał, że właściwie to całkiem kusząca propozycja, ale Skarper szturchnął go łokciem, przypominając mu o celu misji.

Młodzieniec pożegnał się szybko, po czym śpiesznie ruszył w dół po ledwo widocznej drabinie, odrobinę tylko ciemniejszej od otaczających mgieł.

Skarper zszedł za nim, ale drabina rozplynęła się, gdy był w połowie drogi, więc upadł z mokrym plaśnięciem w błoto.

– Wybacz! – zachichotały chmurzanny. Wcale nie brzmiały, jakby było im przykro.

Goblin rzucił im gniewne spojrzenie, ale obłoczek już wznosił się w zalane księżycową poświatą niebo, wysoko ponad oparami mgły.

Henwyn uważnie rozejrzał się dokoła.

– Tędy! – zdecydował, wskazując palcem w szarą ciemnicę.

Raptem z przeciwnej strony nadbiegł złowrogi, buczący zew i rozbłysły blade latarenki ogników.

– A może tędy... – zawahał się.

Ruszyli w tym drugim kierunku, niczym linoskoczkowie balansując na wąskiej dróżce, utworzonej przez zalane ruiny. Posuwali się powoli, z trudem utrzymując równowagę na śliskich murkach, które czasem osuwały się pod ich stopami ze smutnym chłupotem. Trzciny szeptały, woda bulgotała, nagie gałęzie cherlawych drzewek grzechotały smętnie, a spośród mgieł płynęły paskudne, skrzeczące okrzyki. Nagle poprzez gęste sitowie zobaczyli dużą, niezgrabną chatę, a za nią, przy ponurej sadzawce oświetlonej migotaniem bagiennych ogni, dziesiątki baglinów skakały jak w żabim cyrku.

– Co one robią? – szepnął Henwyn.

Podpełzli bliżej i przyczaili się w szuwarach. Ukryci w gęstwie tataraku i oczeretu, obserwowali szlamiaki, całymi kohortami wylazące z Bospoldew. Część niosła kamienne misy,

w których błękitne, gazowe płomienie wiły się jak węże. Inne ciągnęły księżniczkę Ned, wciąż przywiązaną do trzciniowych sań. Oparły ją o fragment starej ściany, jaki ostał się nad brzegiem czarnej toni. Barczysty baglin nakłuł palec księżniczki szklanym nożem, po czym wszystkie wycofały się kawałek dalej, pozostawiając brankę samą sobie.

Z chaty wytoczył się olbrzymi ropuszy kształt. „Poldew! Poldew! Poldew!”, zaintonowały bagliny i padły przed nim na pyski. Ropuch machnął błoniastą łapą i natychmiast zapadła cisza. Wiatr świszczął w pierzastych końcówkach trzciny, woda nieznacznie pluskała przy brzegu, odbijając się echem od zielonych murów Bospoldew.

– Co oni knują? – zastanawiał się Skarper.

– Czekają na coś – odparł Henwyn, wyciągając po cichu miecz. Pomyślał, że gdyby zabił tego tłustego bagienego króla, reszta baglinów rozpierzchnie się w panice i wtedy może będą mieli szansę... Ale szlamiaki tak ciasno otoczyły swojego wodza, że nie miałyby jak się do niego zbliżyć. A na dodatek tafla sadzawki zadrżała i wezbrała dziwną, oleistą falą.

Z rozciętego palca księżniczki wypłynęła strużka krwi, czarna w rozedrganym blasku ogników. Kilka kropelek upadło na ziemię, parując z sykiem. Kilka innych wpadło do sadzawki. Woda, gęsta od błota, szlamu i szczątków zatopionych budowli, została przyprawiona delikatną nutką aromatu przerażonego człowieka. Głęboko pod powierzchnią trzęsawiska drgnęła prastara bestia. Od stuleci nie miała okazji kosztować człowieczej krwi, a teraz jej długi, zimny sen przerwało nagle pragnienie posiłku.

– Smoczydło! – zawołał Poldew, a jego poddani zawtórowali,

niektórzy głośno, inni szeptem.

– Smoczydło! Smoczydło ożywa! Smoczydło się budzi!

– Co znowu za smoczydło? – zapytał Henwyn, ukryty w szuwarach.

Skarper wiedział. Wiekowe księgi w komnacie podcierek nie miały zbyt wiele do powiedzenia na temat baglinów, ale jedna lub dwie wspomniały straszliwe smoczydła.

– To kolejna bestia sprzed wieków – wyjaśnił niechętnie. – Znana także jako Mergh Dowr albo Morski Koń.

– Ach, czyli wszystko w porządku! Nawet lubię konie...

Wody sadzawki zabulgotały. Zakipiały. Zakotłowały się. Spieniły. I nagle z głębin wychynął wielki, płaski, blady, lśniący nienaturalnym blaskiem łeb.

Wężopodobny, ale nie węży. Smokopodobny, lecz nie smoczy. Łeb przedwiecznej, zapomnianej kreatury, od dawien dawna śpiącej pod zatopionymi, butwiejącymi pniami drzew, w najgłębszych czeluściach mokradeł. Łeb plugawej poczwary, którą przebudził zew gwiazdy Wolnego Srebra i krwawa ofiara Poldew z Bagien.

– Ależ to wcale nie jest koń! – oburzył się chłopak na widok szkarady.

Biedna księżniczka Ned, mocno skrepowana mglistymi więzami, mogła tylko patrzeć na przerażającą głowę, wznoszącą się coraz wyżej i wyżej.

Smoczydło prychnęło, wypluwając z nozdrzy strumienie pary, które wnet roztopiły się we mgle.

– Smoczydło! – skandowały bagliny.

– Mergh Dowr! – wołały co bardziej wyedukowane.

– Szybko! – syknął Henwyn, zwracając się do Skarpera z

błyskiem w oku. Wreszcie znalazł potwora godnego walki. Najprawdziwszego potwora, jak w baśniach i legendach. A co najważniejsze, potwora, który nie był zrobiony z sera. – Odwróć jego uwagę! – dodał, ściskając mocniej rękojeść miecza.

– Co? Kto? Ja? – wybełkotał Skarper, zagrzebując się głębiej w trzciniowisku. – Chciałeś powiedzieć: nie zwracaj jego uwagi...

– Mam plan – uśmiechnął się chłopak.

– O nie!

– Dobra, ja zajmę się dywersją. Ty uwolnij księżniczkę Ned! – Mówiąc to, wypchnął Skarpera z kryjówki. Nieszczęsny goblin wypadł z trzciny i plasnął w kałużę, tuż pod nosami baglinów i smoczydła.

Słabe, mlecznobiałe ślepia smoczydła nie zauważyły dwóch intruzów, przycupniętych w szuwarach. Ich zapach skutecznie zamaskowała woń krwi księżniczki i smród szlamiaków. Teraz jednak ostry fetor przestraszonego goblina podrażnił jego nozdrza i wielgachny łeb obrócił się w stronę Skarpera. Mięiste wąsiska zwisające z dolnej szczęki zadrgały, a postrzępione skrzela zatrzepotały jak skrzydła gigantycznych ciem. Paszcza rozwarła się szeroko i bestia wydała przeraźliwy ryk. Skarpera owionął zepsuty oddech, przypominający podmuch wyjątkowo smrodliwego, wilgotnego wiatru.

Smoczydła były dalekimi krewniakami smoków, wielkich, ziejących ogniem gadów, które ongiś gnieździły się w Kościanych Górach. Z tą różnicą, że dech smoczydeł nie był ognisty, lecz zimny i cuchnący jak bagienne powietrze. Kropelki wody zebrały się na skórze goblina, a jego ubranko momentalnie pokryła biała pleśń. Skórzany pasek pękł, portki opadły, kubraczek zaś rozleciał się w gnijące szmaty. Skarper

kichnął, zsiniał i zadygotał. Bezskutecznie próbował zasłonić się mapą Stenoryona, trzęsąc się pod wstrętnym powiewem smoczydłowego oddechu.

– Fuj! Ochyda! – powiedział, a potem kichnął: – Aaaa-psiik!

Bestia wyprężyła szyję, w każdej chwili gotowa rzucić się na skulonego goblina i połknąć go w całości. Jednak w tym samym czasie Henwyn okrążył jeziorko, by zająć pozycję na przeciwległym brzegu. Planował odciągnąć smoczydło jak najdalej od Ned, żeby Skarper mógł ją uwolnić. Gdy tylko znalazł się w odpowiednim miejscu, wrzasnął na całe gardło, zwracając na siebie uwagę szlamiaków.

– Nie obawiaj się, księżniczko! Przybyłem na ratunek! – zawołał, po czym poślizgnął się i pacnął twarzą wprost w kałużę czarnego błocka.

Z drugiej strony sadzawki dostrzegła go Eluned i od razu wypełniło ją promieniste, ciepłe uczucie szczęścia i wdzięczności, że nie zapomniał o niej i przyszedł jej z pomocą. Jednocześnie czuła, że pomimo dobrych chęci chłopak sam sobie nie poradzi, zaczęła więc szarpać mgliste pęta ze zdwojoną siłą.

Smoczydło też zauważyło Henwyna. Odwróciło się od Skarpera, który błyskawicznie zanurkował w tatarak, dygocąc z zimna i nerwowo sprawdzając mapę, przemoczoną i pomarszczoną, pokrytą maleńkimi białymi grzybkami, ale jakimś cudem wciąż czytelną i w jednym kawałku. Właściwie może to wcale nie był cud, może Stenoryon wplótł w pergamin ochronne zaklęcia. Wszystko w porządku, westchnął z ulgą... i nagle przypomniał sobie, że bez wolnego srebra mapa była bezużyteczna.

Sięgnął do kieszeni, ale srebrna kulka zniknęła. W zasadzie zniknęły też kieszenie. Rozpadły się razem z resztą jego ubrania. Zrozpaczony, wyrzwał z sitowia. Nad sadzawką wszczęło się zamieszanie i rwetes. Księżniczka oswobodziła już jedną rękę i starała się uwolnić drugą. Dalej, na przeciwnym brzegu, Henwyn ciął tępy mieczem w ogon smoczydła, który strzelał jak rozwścieczony bicz. Bagliny skrzeczały i skakały w kółko, próbując spełnić nieustannie zmieniające się rozkazy swojego króla.

– Zabić tego mienczaka! Nie, nie tego! Tamtego! – krzyczał Poldew. – Ofiara ucieka! Łapać! Trzymać!

Pod stopami szlamiaków turlała się kula wolnego srebra, kopana to tu, to tam, niczym bezcenna piłka. W ogólnym rozgardiaszu nikt nie poświęcał jej najmniejszej uwagi.

Skarper rzucił się na nią z mapą w garści. Czołgał się w mokrej, szlamowatej brei, pomiędzy ganiającymi wte i wewte baglinami, raz po raz uderzany śmierzącymi, błoniastymi stopami, ale nic sobie z tego nie robił. Nic nie przeszkodzi goblinowi z Czarnej Szpona w zdobyciu upragnionego skarbu. Na sekundę stracił kulkę z oczu, rozproszony rozchwianymi cieniami, które rzucały bagienne ogniki, panicznie tańczące w powietrzu. Kilka z nich upadło na ziemię i blade płomienie zadrgały wśród traw na krawędzi mokradeł. Właśnie tam toczyła się kula wolnego srebra, w dół zbrocza i prosto do wody.

Henwyn w końcu dosięgnął ostrzem ogona smoczydła.

Ned uciekała już w szuwary, strząsając z ramion resztki mglistych więzów.

Skarper wyciągnął łapę, żeby schwytać srebrną kulę, ale wyslizgnęła mu się spomiędzy palców i wpadła na jeden z

ogników. Niebieskawe płomyczki wyglądały na zimne, musiały jednak zawierać potężną magię, która rozbudziła zaklęty metal. Jak tylko Skarper złapał kulkę, wolne srebro rozjarzyło się srebrzystym płomieniem.

– Ajaj! – pisnął, upuszczając ją z powrotem. Leżała na mokrej trawie, rozpalona, zbyt jasna, by na nią patrzeć. Nie wydzielala ciepła, tylko oślepiające światło i przytłumione buczenie. Bagliny zakrywały oczy, pośród krzyków i pisków padały plackiem na ziemię lub wskakiwały do wody. Ciemność niespodziewanie się załamała i umknęła z trzęsawisk. Poldew z Bagien pobiegł na oślep do swojego pałacu, wyjąc wniebogłosy. Smoczydło też zawyło. Ślepią raził mu jaskrawy blask wolnego srebra, a ogon przeszywały spazmy bólu od ciosu miecza. W przypiływie szalu bestia zionęła wilgotną parą, która przeleciała nad głową Skarpera i otoczyła Bospoldew. W mgnieniu oka setki muchomorów wyrosły na dębowych drzwiach i krytym mchem dachu. Gruby koc świeżego mchu zazielenił się na oślizgłych kamieniach. Ściany chaty zatrzęsły się i stęknęły pod nagłym ciężarem, po czym runęły przy akompaniamencie jęków baglinów. Ciężki, pokryty bujną grzybnią dach osiadł z łoskotem na ziemi.

Hewnyn biegł przez grzęzawiska w stronę Skarpera, roztrącając po drodze spanikowane bagliny. Mały smoczek wy dostał się z jego sakwy i trzepocząc skrzydełkami fruwał wokół jego głowy.

– Do mnie! – zawołał bohatersko chłopak. – Czas gnać!

– Gnać? – warknął Skarper, wściekły, że stracił swoje ukochane srebro. – Kto tak w ogóle mówi? Chyba czas wiać!

– Rzeczywiście, ale wtedy nie brzmi tak heroicznie. Mimo

wszystko naprawdę czas już wiać!

Skarper wiedział, że Henwyn ma rację. Lada moment wolne srebro się wypali, a wtedy bagliny i ich uroczy zwierzaczek rozszarpia intruzów na strzępy. Nie mógł przeboleć, że jego misterny plan ze zdobyciem mapy i kuli Bresława pójdzie teraz na marne. Drżącymi rękami pośpiesznie rozwinął pergamin i rozłożył go na omszałym brzegu jeziora.

Srebrzyste światło zamigotało i zadrgało niepewnie. Na jedną chwilę padło na starożytną mapę i delikatne, pajęczne linie, przed wiekami narysowane magicznym atramentem, zaśniły na jej powierzchni. Na jedną chwilkę zgasło i Henwyn zawołał, że już czas, trzeba wiać; zewsząd rozbrzmiewało przeszywające wycie baglinów. Na jedną chwilkę błysnęło znowu i Skarper ujrzał tajemne przejście do twierdzy, równie wyraźne jak inne szlaki namalowane ręką Stenoryona.

Naraz zgasło wszystko i ciemności, jeszcze ciemniejsze niż poprzednio, powróciły do swego królestwa. Spalone wolne srebro nie wyglądało atrakcyjnie; straciło połysk, przypominało raczej coś jak resztki węgla w kominku. Henwyn złapał Skarpera za ogon i pociągnął za sobą. Smoczydło rzuciło się na nich, spudłowało i zamiast dwóch bohaterów, chapnęło parę piszczących baglinów. Zanim Henwyn odciągnął go w wysokie trzciny, Skarper zdążył jeszcze chwycić mapę. Gdy zamknął oczy, pod powiekami wciąż widział ukrytą ścieżkę. Teraz tylko on w całym Clovenstone znał drogę do Twierdzy Króla Licza.

Oby starczyło mu odwagi, żeby z niej skorzystać.

Wysoko na Murach Wewnętrznych, trochę na zachód od wieży zwanej Wyjcem, król Knobler słyszał buczenie baglinich trąb i klekot terkotek; słyszał też niewyraźne, dalekie jęki

szlamiaków i ryk smoczydła. Stanął przy blankach, aby popatrzeć na mglistą zupę, kotłującą się w blasku księżyca nad Mokradłami Natterdon.

Wypad na wschodnie wieże poszedł nad wyraz dobrze. Tak jak przewidywał Breslaw, zdołali wziąć Srogoszpice, Surową Grań i Wyjca z zaskoczenia. Ferajna z Czarnego Szpona, wraz z sojusznikami z Krzywostropu i Czerwonego Kaptura, przeczesywała zdobyte baszty w poszukiwaniu łupów, szamanka i jakichkolwiek wschodnich goblinów, które nadal chciałyby im przeszkodzić. To była dobra noc, myślał sobie Knobbler, ale ten dziwny, buczący hałas na bagnach przyprawiał go o gęsią skórkę.

– Co to za wrzawa? – zapytał drugiego króla, Tanbrena z Czerwonego Kaptura, wodza Czapeczek Chilli.

Tanbren zmarszczył się. Czerwony Kaptur leżał znacznie bliżej moczarów niż inne baszty, ale jego chłopacy już dawno zapieczętowali wszelkie przejścia i poterny, prowadzące do Wieży Natterdon. Zresztą, tak samo jak pozostałe gobliny z Murów Wewnętrznych, nie lubili rozmawiać o mieszkańcach bagien. Gobliny z Czerwonego Kaptura były mniejsze od innych, ale w starych szklarniach hodowały ogniste papryczki habanero, które zjadały, aby wpaść w szal bojowy. Nosiły czerwone skórzane kołpaki, przypominające z wyglądu paprykę, dlatego również często nazywano je Czerwonymi Kapturami jak Czapeczkami Chilli.

Tanbren zsunął czapkę do tyłu, a jego niskie czoło pokryły głębokie bruzdy.

– To szlamiaki dmą w trąby w swoich bagiennych dziurach – powiedział. – Dawnośmy ich nie słyszeli.

– Czasy się zmieniają. – Knobbler pokiwał głową. – Pamiętasz stare gadki o tym, że gobliny znów urosną w siłę? Myślę, że to ten czas. No bo kto jeszcze został? Manaccan dał się wczoraj rozpaćkać gigantowi, a dziś my nakopaliśmy wschodnim królom.

– Tylko my dwaj, co nie, Knobbler? – westchnął Tanbren. – Moglibyśmy rządzić wieżami we dwóch, co nie? Ja wziąłbym zachód, ty wschód.

– Taaa... – powiedział Knobbler.

– Taaa... – powtórzył Tanbren. Przez chwilę przyglądali się sobie w zamyśleniu, aż nagle Tanbren wyciągnął nóż i zamachnął się na brzuszysko Knobblera, ten jednak uskoczył, tak że ostrze ledwie musnęło jego skórzane bojowe portki, po czym gładkim cięciem Pana Rach-Ciach odrąbał Tanbrenowi głowę.

Naraz płaskie stopy zaplaskały na kamiennej posadzce. Knobbler obrócił się błyskawicznie z mieczem gotowym do ciosu. Ku swemu zaskoczeniu zobaczył Breslawa.

– Co ty tu robisz? – warknął Knobbler, ukradkiem sprawdzając, czy nóż Tanbrena nie rozciął mu portek na tyle, żeby przez dziurę było widać różowe gatki. – Nigdy nie chodzisz na rajdy!

– Musiałem cię znaleźć – wyjaśnił łegomistrz, podchodząc bliżej. Dyszał ciężko, zmordowany długim i pośpiesznym kuśtykaniem po wschodnim łuku murów.

– Słuchaj... – Knobbler zachichotał, podczas gdy Bresław łapał oddech. – Odrąbałem Tanbrenowi cielsko.

– Chcesz powiedzieć, że odrąbałeś mu głowę?

– Nie, głowa ciągle tu jest; popatrz. Odrąbałem wszystko pod

głową. To się nazywa strategia, nie? Teraz, gdy pozbyłem się Tanbrena, Manaccana i reszty tych marnych królików, mogę sam jeden rządzić wszyscyutkimi wieżami. Król Murów Wewnętrznych! Czemu wcześniej o tym nie pomyślałem?

Oczywiście Knobbler wcale o tym nie pomyślał. Breslaw jeszcze przed wyprawą zasugerował mu w dość pokrętny sposób, że byłoby dobrze pozbyć się wodza Czapeczek Chilli. Mimo wszystko stary łęgomistrz nie miał nic przeciwko, by Knobbler pomyślał, że sam na to wpadł.

– Bardzo mądrze – powiedział przymilnie. – A pewnego dnia może mógłbyś królować nie tylko nad wieżami... – Rozejrzał się, żeby mieć pewność, czy nikt nie podsłuchuje. – Skarper wrócił. Był w Szponie. Tej nocy.

– Kto? A, on. Zdradziecki miłośnik mienczaków...

– Zwinął mi starą mapę. To taki obrazek Clovenstone, ze słomami, żeby wyjaśnić, co jest co. I zgarnął też kulkę wolnego srebra, co je kiedyś przypadkiem znalazłem. Więc myślę, że na tej mapie musi być tajny pismak. A oni chcą tego pismaka z mienczakami przeczytać.

– Pismak? – To już było zanadto skomplikowane dla wielkiego króla Knobblera.

– Myślę, że znają drogę do środka! – Breslaw wskazał kościstą łapą Twierdzę.

– Ale tam nie ma żadnej drogi. Nie ma żadnego wejścia, odkąd...

– A może jest! Może je znaleźli! Co ten brodaty mienczak wykrzykiwał wczoraj?

– Nie wiem, nie słuchałem. Magia i coś tam.

– Magia – wycedził kwaśno Breslaw – wraca, Knobblerze.

– Znaczy, będzie nowy Król Licz? Wielki wódz na Kamiennym Tronie, wymyślający nam złe uczynki do złoczynienia?

– Może. – Lęgomistrz uśmiechnął się paskudnie. – A może nie...

– Gadasz zgadywankami, Breslaw. Normalnie, jak ktoś gada zgadywankami, to go łupię. Nie cierpię zgadywanek.

– To nie zgadywanka – wyjaśnił cierpliwie stary goblin. – Czemu zawsze musi nam rozkazywać jakiś czarodziej, czarnoksiężnik albo inny mroczny pan?

Knobbler zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

– Bośmy głupi i lubimy bitkę.

– Nie! Znaczy, tak... Tak chyba było. Ale czasy się zmieniają. Może my, współczesne gobliny, jesteśmy bystrzejsze niż za Króla Licza. Może już czas wziąć sprawy w swoje łapy. Gdybyś to ty siedział na tym tronie z kamienia, Knobblerze, królowałbyś nie tylko na Murach Wewnętrznych.

– Król całego Clovenstone, co?

– A może nawet król całego świata.

Oczy Knobblera rozbłysły jak rozżarzone węgielki, tępo, chciwie i niepewnie.

– Ale to Skarper i mienczaki znają drogę, nie my.

– Będziemy ich więc obserwować. Przejście musi być w podziemiach. Tam się zaczaimy...

MRO CZNA DROGA W DÓŁ

Smoczydło, kipiące gniewem i przejęte bólem, wślizgnęło się z powrotem w odmęty swojego bajora. Razem z nim zniknęły wszelkie nadzieje Poldew. Bagienny król zamierzał oswoić i wytresować bestię, a potem wykorzystać jej siłę i gnilny oddech, by całe Clovenstone przemienić w plugawe moczary. Teraz jego marzenia i sny prysły. Nie miał już nawet pałacu, w którym mógłby marzyć i śnić. Niczym uwięziony w wielkiej, namokłej papierowej torbie, ogromny ropuch kopał, szarpał i rwał, żeby wydostać się spod grząskiego rumowiska, które kiedyś było Bospoldew. Wyrwawszy się w końcu na wolność, Poldew naskoczył na sponiewierane bagliny.

– Znajdźcie mi te mienczaki! Znajdźcie je wszystkie! Znajdźcie i przyprowadźcie do mnie! Jeśli smoczydło ich nie chce, sam je zjem! – krzyczał rozszalały bagienny wódz, po czym złapał kilka szlamiaków i schrupał je na przekąskę.

Wkrótce brygady łowieckie wyruszyły we wszystkich kierunkach, skrzętnie przeczesując podmokły labirynt trzęsawiska. Baglinom nie w smak było polowanie na mienczaków, którzy wyczarowali srebrzysty ogień i zranili smoczydło (odrabany koniuszek jego ogona wciąż wił się na

brzegu sadzawki). Były przekonane, że polują na drużynę mocarnych wojowników i potężnych czarodziejów. Jakkolwiek jeszcze większym strachem od intruzów napawał ich Poldew, dlatego też posłusznie przeszukiwały bagna kamień po kamieniu i trzcina po trzcinie. Niektóre pomykały po wielkich rozlewiskach na grzbietach bagiennych nartników, tłustych, pająkopodobnych stworów z moczarów. Skrupulatnie zagłędały w łożyny i zarośnięte ostrowia. Inne zabrały widmowe płomyczki i zeszyły w zielone skorupy zrujnowanych budowli, gdzie plusk wody niósł się złowróbnym echem, a ich własne cienie straszyły w wilgotnych, szlamiastych zakamarkach. Szukały wszędzie. Szukały, szukały i szukały. Ale gdy wstał szarutki świt, po mienczakach nie było śladu. Przepadły jak kamień w bagnistą wodę.

Słońce było już na niebie, kiedy bagliny wróciły z pustymi rękami, jednakże Poldew nie wyglądał na zbyt rozsierzonego. Odgryzł lby kilku hersztom, tak dla zachowania pozorów, ale w jego ropuszej głowie wyklął się już nowy plan. Odkąd smoczydło zniknęło w jeziorze, bagienny król bez przerwy tkął i splatał mgły. Sieci, pęta, sidła i wnyki wisiały na wątłych drzewkach wokół zniszczonej chaty jak schnące pranie.

– Złapiemy ich! – zbulgotał, podając szlamiakom mgliste pułapki. – Opleciemy pasemkami mgły nasze kochane bagnisko i nigdy nie znajdą wyjścia. Jeśli chcą się ukrywać, tchórzliwe tchórze, to trudno. Wykurzymy ich, gdy zaczną umierać z głodu...

Tymczasem Skarper i reszta, zaszyci na trzecim piętrze starej świątyni, czekali na pierwsze światło dnia. Bez większego entuzjazmu wypatrywali słońca, skrycie licząc, że może wskaże

im jakąś drogę, wiodącą na suchsze tereny. Ale w Natterdon słońce świeciło słabiutko, ciemności zaledwie poszarzały, a na zamglonym niebie tylko czasem przeblyskiwał blady krąg. Kałuże skrzyły się smętnie, gdy Henwyn szedł na rozpoznanie okolicy.

Mały smoczek, który spał słodko w manatkach chłopaka, obudził się wkrótce po jego odejściu i zaczął nieśmiało popiskiwać. Kiedy księżniczka Ned podrapała go po ryjkowatym nosku, wyciągnął główkę i przymknął oczka, ale nie chciał się uspokoić.

– Bardzo lubi Henwyna – stwierdziła księżniczka. – Tęskni za nim.

– Tęskni za jego smakiem – burknął Skarper. Po tym jak stracił ubranie, zrobił dziurę w mapie Stenoryona i przełożył ją przez głowę. Okutany w takie papierowe ponczo siedział żałośnie pod ścianą z kościstymi kolanami podciągniętymi pod brodę.

– To nie jest prawdziwy smok – zauważyła Ned, łaskocząc czerwony brzuszek stworzonka. – Wielkie ogniste gady poległy co do jednego w bitwie pod Dor Koth. Kometa czy nie kometa, wątpię, żebyśmy kiedykolwiek zobaczyli je znowu. To musi być smoczyk. Król Licz i jego przyboczni wykorzystywali smoczyki do polowań, jak sokoły. Ciekawe skąd ten się wziął? Czy Henwyn dał mu jakieś imię?

– Zwykle mówi na niego: „Au! Ty mały podlec!” Bo on ciągle podgryza mu palce.

– Świetnie wczoraj się spisałeś, Skarperze – powiedziała po chwili Ned. – Myliłam się co do ciebie. Jesteś dzielny i godny zaufania. Dziękuję.

Goblin poczuł, że cały się czerwieni.

– Nie ma za co – wybąkał.

– Nie ucieklibyśmy baglinom, gdybyś nie wrzucił tej ognistej kuli w płomienie. To było bardzo sprytne.

Skarper starał się nie dać po sobie poznać, że był to czysty przypadek. Zmrużył oczy i unióśł podbródek, jak ktoś, kto regularnie odstrasza bagienne potwory magicznym ogniem.

– To nic takiego – oznajmił od niechcienia.

– To było wolne srebro, prawda? – Ned przyglądała mu się uważnie. – Na targach w Clovelly lub Kolendrze taka duża kula wolnego srebra kosztowałaby fortunę, a jednak poświęciłeś ją, żeby nas ratować.

– Fortunę? – jęknął Skarper. – Rety! Znaczy...

– Czy udało ci się zobaczyć tajną drogę na mapie w jego świetle? – Księżniczka znacząco spojrzała na pergamin, owinięty wokół przykucniętego goblina.

– Na mapie? – zapytał niewinnie Skarper.

– Zakładam, że ten świstek papieru, który nosisz jak podomkę, to słynna Stenoryona Mappa Ziem Wszelakich Clovenstone?

Skarper był pewny, że księżniczka bardzo dobrze wie, że to właśnie ta mapa, i podejrzewał, że po cichu się z niego śmieje.

– Widziałam wczoraj, jak zastrzygłeś uszami, kiedy Fentongoose o niej wspomniał. A potem zniknąłeś z Henwynem...

Mały goblin chwycił pergamin w łapki i spróbował przybrać wielce zaskoczoną minę.

– Aaaach! O tym mówisz...?

– Co zobaczyłeś? – Ned w końcu przeszła do rzeczy. – W

świetle wolnego srebra?

Skarper nie mógł spojrzeć jej w oczy: takie jasne, przenikliwe i mądre. Zupełnie jakby mogła wejrzeć w jego najbardziej skryte myśli. A jego niezbyt dobrze skryte myśli mówiły właśnie: „Droga do Twierdzy to mój sekret! Tylko mój! Ja ją znalazłem, nikt inny!”. Zwinął mapę i rzekł:

– Nic nie widziałem. Wszędzie skakały bagliny, a ja byłem zbyt zajęty ratowaniem ciebie i tego sernika.

– Prawdziwy bohater! – powiedziała Ned z ujmującym uśmiechem, spoglądając na smoczyka, który wiercił się na jej kolanach.

Niebawem usłyszeli ruch na dole. Księżniczka sięgnęła po nóż, który Henwyn zostawił jej, zanim poszedł na zwiady. Na szczęście po schodach wszedł nie kto inny, jak on sam.

– Bagliny szukają nas po całych mokradłach – oznajmił. – Wzmocniły mgliste sieci. Nie mamy dokąd uciec.

– Gdyby tak twoje dziewczyny z chmur wróciły... – powiedziała Ned.

Wszyscy troje popatrzyli w niebo, chociaż wiedzieli, że w takiej mgle nie zdołają ich zobaczyć, nawet jeśli chmurzanny nie bałyby się Poldew. W tym momencie smoczyk zapisał radośnie, podfrunął do chłopaka i począł mu krążyć wokół głowy. Podsunęło to Henwynowi pewien pomysł.

– Leć! Znajdź chmurzanny! No! Szukaj! – zawołał do stworzonka.

– Podlec jest za mały, żeby cię zrozumieć – westchnął goblin.

– Podlec? – spytał zaskoczony Henwyn.

– Ciągłe tak na niego mówisz, więc równie dobrze może się tak nazywać. Tak będzie prościej.

– Au! Widzieliście? Ugryzł mnie w ucho!

– A może kazać mu ziać ogniem ponad linią mgły? – zasugerował Skarper. – Może chmurzanny go zobaczą i przyłecą nam na pomoc?

Ned pokręciła głową.

– Smoczyki nie zieją ogniem – wyjaśniła. – A poza tym chmurzanny są bardzo niestałe. Najpewniej już o was zapomniały i poleciały w Góry Kościste ciskać błyskawicami w kamienne trolle.

Nikt nie miał lepszego pomysłu. Smoczek usiadł na ramieniu Henwyna i obsikał mu płaszcz.

– Będziemy więc tak siedzieć jak trusie? – zapytał chłopak. – Aż znajdą nas bagliny?

Skarper mocno przycisnął mapę Stenoryona do siebie. Czuł, jak straszne, okropne słowa kształtują się głęboko w jego piersi. Czuł, jak powoli przedzierają się do gardła. Były już na jego ustach. Z całych sił próbował je powstrzymać, ale nie był w stanie. Najbardziej niegoblińskie słowa, zrodzone z najbardziej niegoblińskiego uczucia, takiego samego, jakiego doznał wtedy, gdy porzucił Henwyna w lesie. Naprawdę lubił tę dwójkę ludzi. Mógłby z łatwością wymknąć się i zostawić ich na pastwę baglinów, a samemu wyruszyć na poszukiwanie skarbów do Wielkiej Twierdzy. Mógłby, ale nie chciał.

– Ja znam drogę – wykrztusił.

Wszyscy na niego spojrzeli. Nawet Podlec. Skarper rozłożył mapę. Na pergaminie nie pozostał nawet ślad po tajemnych znakach i ukrytej ścieżce, które tak wyraźnie widział w wolnosrebrnym blasku. Nie miało to jednak znaczenia, ponieważ na stałe wyryły się w jego pamięci. Przeciągnął

pazurem wzdłuż mapy.

– Jest niedaleko stąd – powiedział. – Do ruin Wieży Natterdon, a potem w dół. Na sam dół, aż do jeziora lawy. Tam mapa wskaże nam Schody Ogniolodu, które prowadzą do Twierdzy.

– Do środka Twierdzy? – Ned wyrwała zwój goblinowi z łapek. – A więc to jest mapa! – wykrzyknęła, lustrując wzrokiem wyblakłe litery spisane brązowym atramentem. – To jest mapa Stenoryona! Dziękujemy, Skarperze, że podzieliłeś się z nami tym sekretem – dodała z lekkim ukłonem, a goblin poczerwieniał. – Ale czy na pewno chcemy iść do Twierdzy? – ciągnęła. – Czy to nie będzie tak, jakbyśmy spadli z patelni... cóż, na inną patelnię?

– Wydaje mi się, że nie mamy wyboru – stwierdził Skarper.

– Zróbmy to! – zawołał Henwyn. – Nawet gdybyśmy znali inną drogę, tchórzostwem byłoby nie skorzystać z mapy Stenoryona! – Przez chwilę pożerał pergamin wzrokiem tak głodnym, że przypomniał Skarperowi najchciwsze gobliny. – Wnętrze Twierdzy! Pomyślcie tylko!

Buczące rogi baglinów brzęczały we mgle, gdy trójka towarzyszy opuściła kryjówkę i ruszyła na północ do Murów Wewnętrznych, oddalając się od granicy mokradeł. Dwa razy musieli przystawać, schowani w sitowiu lub łożinach, ukrywając się przed patrolem burkliwych baglinów, które skakały parę kroków dalej. „Ćśśś!” – Henwyn uspokajał smoczyka, wiercącego się w jego sakiewce. Na szczęście szlamiaki nie miały tak czułego węchu jak ich kuzyni z wież. Co więcej, życie na bagnach Natterdon sprawiło, że prawie wszystkie cierpiały na paskudny katar. Nie dość, że nie były w stanie nic zwęszyć, to jeszcze ich nadejście zwiastowało z daleka

nieustanne siąkanie, smarkanie i kichanie.

Wreszcie z mglistych oparów wyłoniła się linia Murów Wewnętrznych i bohaterowie podążyli wzdłuż niej, aż do Wieży Natterdon. Zrujnowany kikut baszty sterczał jakieś czterdzieści, może pięćdziesiąt stóp nad ziemią, a jego postrzępiony czubek niknął niewidoczny w szarzyźnie. Dookoła leżały resztki górnych partii budowli, pomiędzy którymi utworzyły się głębokie, ciemne bajorka. Henwyn niósł Skarpera na barana, podczas gdy on sam i Ned brodzili po kolana w gęstej, zatęchłej wodzie. Po chwili doszli do niskich drzwi, częściowo zablokowanych kamieniami.

– Prowadź, Skarperze – powiedziała księżniczka.

Skarper stanął na progu. Łatwo było mówić: „Chodźmy do starej Wieży Natterdon”, teraz jednak, gdy był już praktycznie jedną nogą w środku, nie mógł powstrzymać myśli o wszelkich okropieństwach, jakie muszą czaić się w jej trzewiach.

– Pozwól mi! – Henwyn odsunął go na bok i przecisnął się przez wąski przesmyk. – Ależ tu śmierdzi! – zawołał po drugiej stronie. Głos niósł mu się echem. – Połowa dachu odpadła. Poza tym nie ma nic...

Minęło parę minut i Henwyn wciąż nie został pożarty, Skarper ruszył więc jego śladem. Wnętrze baszty nie było zupełnie ciemne. Odchody jaskiniowych nietoperzy oblepiały ściany i tworzyły cuchnące kopczyki między cegłami i kamieniami na podłodze. Ich delikatny, błękitnawy poblask przypominał Skarperowi dom.

– Nie ma się czego bać, mały! – Henwyn próbował uspokoić Podleca, który przywarł mu do ramienia i nerwowo trzepotał skrzydełkami, zaniepokojony zapachem nietoperzy. Z tyłu

pomieszczenia Skarper dostrzegł niewielkie, łukowate przejście. Kute żelazne drzwi zamknięte były na cztery spusty, ale ich zawiasy przeżarła rdza i razem z Henwynem zdołali je wyważyć. Podlec zapiszczał wesoło, pokrzepiony gorącym powietrzem, płynącym z ciemnego korytarza. Kamienne schody, wytarte od wielokrotnego użytku, schodziły w ciemnicę.

– Tędy? – zapytał Henwyn.

Skarper przytaknął.

– To pewnie tymi tunelami łęgomistrze z Natterdon schodzili do jeziora lawy. Mapa nazywa je „Mroczną drogą w dół”.

Henwyn zajrzał do środka.

– Rzeczywiście, mroku na potęgę! I z całą pewnością wiedzie na sam dół. Ale czy to na pewno dobra droga? Nie widzę, jak daleko prowadzi. Może być zasypana gruzem. Co, jeśli strop się zawalił?

– Będziemy potrzebować światła – orzekł Skarper. – Kupy nietoperzy nadadzą się w sam raz. Trzeba tylko posmarować sobie nos i...

– Faj! – jęknął chłopak. Dotąd myślał, że jedyną dobrą stroną ciemnego korytarza jest brak obrzydliwego zapachu nietoperzego guana.

Wtem na zewnątrz wieży zagrała baglinia trąbka. Zaraz potem z trzęsawisk odezwały się kolejne, głuchym echem odbijając od Murów Wewnętrznych. Henwyn podbiegł do wyjścia i popatrzył w gęstniejącą mgłę. Zewsząd dobiegały bojowe okrzyki, a w skłębionych szarzielonych oparach przemykały niewyraźne sylwetki.

– Znaleźli nas! – zawołała Ned, przeciskając się do środka. – Bagliny są wszędzie! Henwynie, pomóż mi zatarasować

przejście...

Strzałki szlamiaków zastukały na kamieniach i wokół drzwi. Henwyn dźwignął wielki kawał skały, który leżał ukośnie na gruzach tuż obok. Głaz drgnął, przewrócił się i spowodował nagłą lawinę. Chłopak ledwo zdążył odskoczyć z drogi spadających kamieni. Przez moment baszta niebezpiecznie dygotała w posadach. Wzniosły się tumany kurzu, cegły poleciały z łoskotem, podłoga się zatrzęsła. Skarper kaszłał. Ned krzyczała:

– Wieża spadnie nam na głowy!

Nie spadła. Ale gdy pył osiadł na tyle, by znowu mogli widzieć, okazało się, że wyjście zostało permanentnie zapieczętowane. Przez szparki w osypisku słychać było stłumione skrzeki baglinów.

– Uwięźli tam na dobre!

– Aaa-psiik!

– I co teraz Poldew zeżre na kolację? Nas, pewnikiem!

Hewwyn strzepnął chmurę pyłu z włosów i powiedział:

– Czy ktoś ma hubkę i krzesiwo? Ja swoje chyba zgubiłem...

Księżniczka pokręciła głową.

– Bo tam rzeczywiście jest droga na dół – wyjaśnił chłopak. – Tak jak mówił Skarper. Tyle że jest piekielnie ciemna...

– To nie ma znaczenia – odpowiedziała księżniczka Ned. – Ciemno czy nie, to jedyna droga, jaka nam pozostała.

ŚWIETLISTA DROGA W GÓRĘ

Tunel doprawdy był piekielnie mroczny, ale nie zawsze prowadził w dół. Droga wznosiła się i opadała, wiła i zakręcała, coraz głębiej wwiercając się w szczyt Meneth Eskern. Niedługo dotarli do wyłożonej kamieniem komnaty, w której łęgomistrz z Natterdon trzymał swój wózek (żelazne obręcze kół wciąż leżały na podłodze, ale drewno dawno zbutwiało pod wpływem wody, spływającej z mokradeł). Dalej przejście wyciosano i wydrążono w litej skale. W niektórych miejscach wciąż ciurkały malutkie strumyczki. Czasami strop przebijały korzenie drzew i niczym kościane palce szkieletów wczepiały się we włosy trójki wędrowców.

Towarzysze szli w zupełnej ciszy przez mniej więcej pół stajania. Ciemności rozświetlał błękitny blask nietoperzego guana, rozsmarowanego na nosie Skarpera, a także na kawałkach drewna i odłamkach skalnych, niesionych przez pozostałą dwójkę. Żadne nietoperze nie mieszkały w podziemnym korytarzu. W zasadzie nie mieszkało w nim zupełnie nic, chociaż był ciepły i całkiem suchy. Po pewnym czasie przyjaciele zobaczyli przed sobą delikatny srebrzysty blask. Im dalej zagłębiali się we wnętrze góry, tym poblask

stawał się mocniejszy i nareszcie mogli zrezygnować z cuchnących pochodni. Spiralne stopnie prowadziły ich w dół, w dół, było coraz jaśniej, aż w końcu wyszli na rozległą czarną plażę pod wysoko sklepionym skalistym stropem, rozświetlonym nieziemskim blaskiem jeziora lawy.

– A więc to stąd wzięły się gobliny Króla Licza! – zawołała z podziwem Ned. – Ale to nie może być prawdziwa lawa, prawda? Nie jest dość czerwona i chyba nie aż tak gorąca...

Henwyn przeciągnął dłońią po błyszczącej obsydianowej ścianie pieczary. Jezioro wyzwoliło w nim dziwnie tęskne uczucie. Trochę jak wtedy, gdy marzył o przygodach w Adherak. Rozpaczliwe pragnienie, którego nie potrafił nazwać. Pożądanie czegoś nieokreślonego.

– To stopione wolne srebro! – powiedział nagle. – Płynna magia! Ten czarny kamień to także wolne srebro, tyle że w innej postaci. Cała Twierdza... – Popatrzył w górę. – Legendy znów się mylą. Czarodzieje nie wzniesli tej cytadeli, ona wyrosła sama...!

– To bardzo poetyckie, Henwynie! – Ned zachichotała z lekkim niedowierzaniem.

Młodzieniec otrząsnął się.

– Przepraszam, nie wiem, co mnie naszło.

Skarper też poczuł się trochę dziwnie, gdy stanął na wulkanicznym brzegu i, mrużąc oczy w siarczanych wyziewach, wypatrywał jakiegokolwiek śladu Schodów Ogniolodu, wspomnianych na mapie. Nie widział jednak nic choćby odrobinę schodopodobnego. W jaskini znajdowało się tylko jezioro, pokryte skorupą zwęglonej magmy, buzującej i niespokojnej, wzbierającej nabrzmiałymi pęcherzami, które pękały z wilgotnym pluskiem i wytryskiwały strumienie

rozgrzanej do białości wolnosrebrnej lawy. Poprzez skłębione opary ledwo było widać wyloty tuneli prowadzących do pozostałych wież. Jednym z nich zszedł kiedyś Breslaw i znalazł jego własne jajo wyplute z magicznej kipieli...

Niedaleko miejsca, w którym stali przyjaciele, długi czarny cypelek sięgał niemal na sam środek jeziora. Skarper ruszył wzdłuż niego, podczas gdy reszta czekała na brzegu.

– Jesteś pewny, że to właściwa droga?! – zawołał za nim Henwyn. – Widzisz Schody Ogniolodu?

– Och, dość już o schodach! – jęknęła Ned. – Moje kolana nie są tak wytrzymałe jak dawniej.

– Ja nic nie widzę... – dodał chłopak, wyteżając wzrok. – Co mówiła mapa, Skarperze?

– Tylko tyle: „Tam mappa wskaże Schody Ogniolodu” – odpowiedział zirytowany goblin. Był zły, ponieważ obiecano mu schody, a żadnych schodów nigdzie nie było. Jedynie czarna plaża, lśniący srebrzyście kocioł lawy, gazowe opary, a wysoko w górze skupisko dużych, okrągłych otworów. Zupełnie jakby znalazł się w gigantycznym młynku i patrzył na dziurki, którymi wylatuje pieprz. Czuł na sobie wzrok przyjaciół. Miał wrażenie, że ich zawiódł, a to z kolei napełniało go wściekłością.

– Może powinieneś jeszcze raz sprawdzić mapę? – podpowiedział Henwyn.

– Dobra! – warknął Skarper. – Wiem przecież! Myślisz, że co właśnie robię? – Ściągnął pergamin z głowy i rozpostarł przed sobą. Zaklinał w duchu, by znaleźć na mapie cokolwiek, co odświeżyłoby mu pamięć. Widział wyraźnie, gdzie wcześniej błyszczało delikatne pismo Stenoryona: „Tam mappa wskaże...”.

– Może trzymasz ją do góry nogami? – zasugerował Henwyn.

– Wcale nie! – wykrzyknął Skarper i potrząsnął gniewnie mapą, co okazało się bardzo kiepskim pomysłem, ponieważ zwój wypadł mu z ręki, porwany gorącym podmuchem znad jeziora lawy.

– Rety! – zaklął.

Wydawało się niemożliwe, by tak duży i ciężki arkusz papieru mógł szybować w powietrzu. A jednak trzepotał nad głową zaskoczonego goblina jak olbrzymia, wesoła ćma. Skarper podskoczył i spróbował go złapać, ale nie trafił. Rzucił się za nim, jednak pergamin odfrunął i opadł na skorupę magmy, tuż poza zasięgiem jego desperacko wyciągniętych łapek. Naraz biały płomień wybuchł w samym środku zwoju, a papier szerniał i począł się zwijać w pomarszczone, spopielone skrawki. Raptem, z cichym pufff, cała mapa zajęła się ogniem i po chwili nic z niej nie zostało. Na jej miejscu wznosiła się tylko widmowa strużka srebrzystego dymu.

– Moja mapa! – jęknął Skarper, leżąc nagusieńko na rozgrzanej skale. Żar pobliskiej lawy spalił mu wszyściutkie włoski w nosie. – Widzisz, co przez ciebie zrobiłem?! – zawołał do Henwyna, gramoląc się na kolana. – Ty wielki, głupi serowy łbie!

Ale chłopak nie zwracał na niego uwagi. Księżniczka Ned również nie słuchała. Oboje wpatrywali się w coś za plecami goblina.

– Popatrz! To jest to! – wykrzyknął Henwyn, i dodał po namyśle: – Oczom naszym ukazała się tajemna droga! – Ponieważ to, co działo się za Skarperem, zasługiwało na znacznie podnioslejszą mowę.

Fragment lawy, na który upadła mapa, uspokoił się i kłęby

białej pary wzleciały do powały jaskini, wijące się niczym pnącza ogromnej fasoli. Nagle zrobiły się jakby gęstsze, solidniejsze i stwardniały w... nie, czy to możliwe, że zmieniły się w lód? Kryształowa spirala wiła się wokół zwisającego z góry stalaktytu, pięła coraz wyżej jak gąsienica, aż w końcu dosięgła jednej z okrągłych dziur suficie i zniknęła w środku. Niespodziewanie na całej jej długości, jak szerokie liście, rozwinęły się błyszczące stopnie.

– To Schody Ogniolodu! – zawołał uradowany Henwyn.

– Właśnie! – Skarper przybrał minę, jakby spodziewał się tego od samego początku. – Tylko czekałem, aż się pojawią.

– Myślicie, że są prawdziwe? – zastanawiała się księżniczka. – Utrzymają nasz ciężar?

Henwyn rzucił kamieniem, który z dźwięcznym brzdąknięciem odbił się od schodów, nie pozostawiając na nich nawet zadrapania. Teraz chłopak podszedł do lodowej spirali, dotknął jej ostrożnie i stanął na najniższym stopniu. Kryształ wydawał się mocny i zimny w dotyku.

– Stenoryon wplótł potężne zaklęcia w swoją mapę – zauważyła Ned.

– Szkoda, że nie pomyślał o dodaniu poręczy – westchnął Henwyn. Nie chciał, żeby przyjaciele zobaczyli, jak bardzo się denerwuje, zaczął więc powoli wchodzić na górę. Stąpienie po diamentowych stopniach bez żadnego zabezpieczenia, bez niczego do oparcia poza łądygą, było zupełnie jak kroczenie przez powietrze.

Skarper bez wahania ruszył za nim. Nie bał się ani trochę, był przecież goblinem. Biegał po stromym dachu i wąskich murach swojej wieży, odkąd wyklął się z jaja. Poza tym ogon pomagał

mu utrzymać równowagę. Wspinając się, myślał tylko o jednym: „Ciekawe, czy taki kryształ jest coś wart?”.

Tymczasem na plaży po stronie Czarnego Szpona dwa wilgotne kamienie drgnęły i cichcem zaczęły podkradać się do przylądka. Byli to oczywiście Breslaw i Knobler. Łęgomistrz okrył się starym skórzanym fartuchem, a gobiński król kucał pod grubym czarnym płaszczem. Tylko ich oczy błyszczały z ukrycia, a w nich, w świetle srebrzystej lawy, odbijały się spiralne schody i trójka wchodzących po nich przyjaciół.

– Więc to jest droga do Twierdzy? – wymamrotał Knobler, zacierając łapy z radości. – Zostań tu, Breslaw, a ja skoczę po chłopaków, zanim te mienczaki zwiną nam skarb!

– Czekaj! – zatrzymał go stary goblin. – Patrz!

Cóż to? Z korytarza prowadzącego do Wieży Natterdon niepostrzeżenie wychynęły inne ukryte cienie. Breslaw warknął groźnie i wyprostował się, odrzucając fartuch na bok. Wpatrując się w siarczane wyziewy, nadstawił swoje jedyne ucho. Z przeciwległego brzegu dobiegł skrzek:

– Tam idą!

– Leżą po tym świecącym na górę!

– Brać ich!

Poldew nie był zachwycony, gdy bagliny wróciły do jego zrujnowanego pałacu bez mienczaków. Mało powiedziane, był tak wściekły, że osobiście poprowadził oddział szlamiaków z powrotem do Wieży Natterdon i rozkazał im oczyścić przejście do środka. Gdy tylko droga była wolna, ruszył w ślad za uciekinierami, z trudem przeciskając tłuste szarozielone cielsko w ciasnych tunelach. Skrzecząca i smarkająca świta baglinów kicała tuż za nim. Ciepłe powietrze wysuszyło im skórę, a jasne

światło raziło w oczy, ale Poldew uparcie parł do przodu i żaden nie ośmielił się mu sprzeciwić. Teraz okrzykami dodawały sobie otuchy, podczas gdy bagienny król człapał po wulkanicznym cypelku, a zmrużone oczy utkwili w trzech postaciach na kryształowej spirali.

– Co to za zgraja? – zapytał Knobbler, ze zdziwieniem przyglądając się baglinom po drugiej stronie jeziora.

– Szlamiaki – warknął Breslaw. – Bagiennie skoczki. – Zawsze myślał, że paskudni mieszkańcy mokradeł są tylko legendą. W tej chwili jednak wszystko wskazywało na to, że dostaną się do Twierdzy, kiedy on będzie siedział beczynnie na plaży. Trząśł się z bezsilnej zazdrości, ale nie widział żadnego dojścia do schodów.

Wysoko w górze Henwyn zbliżał się do stropu jaskini.

„Nie patrz w dół” – powtarzał sobie i zamiast tego wpatrywał się w ten piekielny sufit, który był przecież tak blisko, i w olbrzymie otwory, które okazały się wyłożonymi miedzią szybami, odprowadzającymi gorące powietrze znad jeziora lawy do Twierdzy. Mimo wszystko, gdy wchodził po coraz węższych stopniach, zdążających do okrągłych metalowych drzwi w środku największego z kominów, nie mógł zapomnieć o bezdennej przepaści rozciągającej się poniżej.

Musiał zebrać całą swoją odwagę, żeby oderwać ręce od stopni i sięgnąć po klamkę. „Co zrobię, jeśli okaże się zamknięte?”, pomyślał. „Trzeba będzie zejść z powrotem na dół!”

Ale te drzwi nigdy nie potrzebowały zamka, ponieważ można się było do nich dostać tylko po Schodach Ogniolodu. Nieużywana od wieków klamka z początku nie chciała się

ruszyć, ale wreszcie drgnęła i Henwyn pchnął drzwi, po czym wszedł do czegoś w rodzaju przedsionka. Bardzo się ucieszył, że znów ma pod stopami twardą posadzkę. Lada moment dołączyli do niego Ned i Skarper. Żadne z nich, nawet dzielny goblin, nie odważyło się spojrzeć w dół, gdy od drzwiczek dzieliło ich już tylko kilkaset stóp. Żadne z nich nie zauważyło więc Poldew i jego bandy szlamiaków, wskakujących na pierwsze stopnie.

Przez pewien czas leżeli wyczerpani na podłodze, dysząc ciężko i obserwując blask rozżarzonej lawy tańczący na kamiennym suficie. Nagle usłyszeli dziwne zawrozczenie, jakby głębokie głosy śpiewały upiorną piosenkę.

– To tylko wiatr – powiedziała Ned. – Powietrze kotłujące się w tych wszystkich kominach i tunelach.

– Racja, nic tu przecież nie ma – zgodził się Henwyn. – Nic nie przeżyłoby w Twierdzy przez tyle stuleci.

Cała trójka miała nadzieję, że chłopak się nie myli, nawet jeśli nie brzmiał zbyt pewnie. Skarper przypomniał sobie noc, którą spędził w karapulcie i te tajemnicze, widmowe światelka, migające w oknach Twierdzy zza liczego kryształu. Henwyn i Ned myśleli o mrozącym krew w żyłach pogłoskach, które krążyły o tym miejscu. Podobno same ściany przesiąknięte były złem. Kiedy uciekali przed baglinami, a potem wspinali się po Schodach Ogniolodu, te straszne historie nie miały znaczenia, teraz jednak trudno było o nich zapomnieć.

W końcu księżniczka podniosła się i zaczęła badać okolicę. Przedsionek miał jakieś dwadzieścia stóp głębokości i był zupełnie pusty. Na drugim krańcu pomieszczenia znajdowały się następne drzwi, prostokątne, wykonane nie z metalu, a z jakiegoś ciemnego drewna. Te także nie były zamknięte. Ned

otworzyła je ostrożnie i weszła do środka. Po chwili jej głos rozległ się echem w znacznie większej komnacie.

– Och! – jęknęła.

Henwyn podążył za nią, ale Skarper został w przedsionku. Serce bolało go na myśl, że miałby porzucić te śliczne diamentowe schody, które sam przecież wyczarował. „Kryształ ogniolodu”, myślał sobie, „to musi być warte fortunę. To byłby dopiero łup!”. Podczas gdy jego towarzysze zniknęli za drzwiami, podbiegł do okrągłego wejścia, wychylił się i chwycił górny stopień. Ciągnął i ciągnął, ale oczywiście nie był w stanie oderwać choćby kawałeczka. „Ależ to mocne!”, myślał dalej. „Nie dziwota, że utrzymało te dwa ciężkie kloce!” Dla odmiany spróbował sił na koniuszku łądygi, która była tu cieniutka jak patyczek. Kiedy zacisnął na niej palce, poczuł dziwne wibracje, zupełnie jakby ktoś wchodził na górę. Właściwie bardzo dużo ktosiów. Spojrzał w dół, ale gorące wyziewy z jeziora przesłaniały pole widzenia. „Może to coś w rodzaju echa po naszej wspinaczce?”, zastanawiał się.

Jednakże gdy Skarper przetarł oczy i wyteżył wzrok, mniej więcej trzydzieści stóp niżej zobaczył bagliny, skaczące po kryształowych schodkach jak pokraczne żaby. Dokładnie w tym samym momencie Poldew z Bagien zauważył Skarpera i z wściekłym rykiem wyrwał dmuchawkę jednemu ze swoich podwładnych...

I właśnie wtedy końcówka ogniolodowego pnącza pękła z przepięknym, szklanym brzękiem. Nagle, przy akompaniamencie jakby tysięcy dzwoneczków, całutkie schody pokryła drobniutka siateczka pęknięć. Przejrzysty dotąd kryształ zasnuł się bielutkim szronem, po czym z melodyjnym

dźwiękiem rozprysł na miriady kawałków. Drobnutkie odłamki przez parę sekund unosiły się w gorącym powietrzu jak delikatna mgiełka, z grubsza zachowując kształt spiralnych schodów. Zaraz jednak sypnęły się w dół, niczym srebrzysta nawałnica, a bagliny co do jednego powpadały do lawy, za każdym razem pluskając bul, bul, bul, aż do najgłośniejszego bul, gdy do jeziora spadł Poldew.

Skarper wciągnął się z powrotem do przedsionka i popatrzył na kryształowy fragment, który zdołał oderwać. Niestety, on również przemienił się w srebrzysty pył. Zawiedziony goblin zdmuchnął go z dłoni i przez chwilę patrzył na chmurę lodowych kryształków.

– O rety! – zawołał w końcu i pobiegł za swoimi przyjaciółmi. Zastanawiał się, nad czym tak wzdychali „Och!” i „Ooo!” i „Ach!”. Oby to były jakieś cudowne skarby!

Na dole w jaskini Knobbler i Breslaw obserwowali strużki dymu, wznoszące się z sykiem znad wzburzonej lawy, tam gdzie powpadały bagliny.

– To by było na tyle – wymamrotał zrzędlawie Knobbler. – Szlamiaki nie wejdą na górę. Ale my też nie.

– Może jest pewien sposób... – powiedział Breslaw, bardzo intensywnie pracując mózgownicą.

– Taa? Jaki?

– Pamiętasz tamtego mienczaka spod bramy? Tego z brodą? Mówił, że umie magię. Jeśli nie kłamał, możemy go wykorzystać, żeby dostać się do Twierdzy!

◁KHE KOMNATY

Wspinali się tak długo, że można było odnieść wrażenie, jakby byli już co najmniej w połowie Twierdzy. Jednak jezioro lawy leżało głęboko pod korzeniami góry, a przedsionek, do którego prowadziły Schody Ogniolodu, znajdował się w najniższych piwnicach prastarej cytadeli. Wędrowcy przeszli z niego do obszernej komnaty, poprzedzielanej czarnymi filarami, podtrzymującymi wysoki strop. Szerokie miedziane rury, niczym pnie masywnych drzew, wznosiły się z podłogi aż do sufitu, rozprowadzając gorące powietrze z jaskini po całej Twierdzy. Światło, wpadające ukośnie przez wypełnione liczym kryształem okienka, zalewało pomieszczenie mętными, rdzawobursztynowymi plamami.

To właśnie ta iluminacja wywołała ochy i achy Henwyna i Ned, ponieważ oświetlała najwspanialsze bogactwa, jakie widzieli w życiu. Komnata była bowiem największym ze skarbców Króla Licza. Na posadzce spoczywały całe statki: wielkie galeony wojenne i karawele, a także długie drakkary o smoczych dziobnicach, zdobyte wieki temu w bitwach morskich z piratami Pogryzionego Wybrzeża. Wzdłuż ścian ustawiono rzędy złotych i srebrnych karoc, zdobionych kością z rogów

narwali. Pośrodku piętrzyły się złociste wieże, w jakich na grzbietach słońi jeździli do boju drapieżni Lamparci Królowie z odległych ziem poza Pustynią Musk.

Cudowny powóz, w całości wyciosany z ogromnej bryły półszlachetnego kamienia, przyozdobiony był na dachu złożonymi ornamentami smoków, które wyglądały tak prawdziwie, że smoczyk Henwyna podleciał do nich i zaczął groźnie popiskiwać.

Były tam rydwany i palankiny, a nawet wysmukłe skiffy i żaglówki. Latawce tak duże, że mogłyby unieść rosłego człowieka, zwisały na długich, mocnych drutach. Pewien dziwny wóz, wyglądający jak metalowe pudełko na czterech gumowych kółkach, zwieńczony był z przodu kratkowanym dziobem ze srebrną statuetką na czubku. Kiedy Skarper zajrzał do środka, zobaczył pokój z obitymi czerwoną skórą siedzeniami i gablotką z orzechowego drewna, pełną różnorodnych zegarków, mierników i wskazówek.

– Czytałam o tym – powiedziała księżniczka Ned, przeciągając palcami po zakurzonych błotnikach. – To sławetny Rolls-Royce „Srebrny Cień”, zaklęty powóz, który Król Licz czarami sprowadził z innego świata.

– A gdzie się doczepia konie? – zapytał Henwyn.

– Nigdzie – odparła księżniczka. – Nie trzeba koni, napędza go magia. Oto twoje skarby, Henwynie. Fortuna, o jakiej nie śniło się najzamożniejszym królom.

– Nawet gdybyśmy mogli włożyć te okręty do kieszeni – zauważył Henwyn – jak się stąd wydostaniemy?

– Z powrotem po Schodach Ogniolodu i na bagna. – Ned wzruszyła ramionami. – Bagliny pewnie zapomną o nas za

dzień lub dwa.

– Ach... – rzekł Skarper.

Odwrócili się, by na niego spojrzeć.

– Jeśli chodzi o te schody... – zaczął niezręcznie. – One... tak jakby pękły. Rozleciały się w drobny mak. Ja nie miałem z tym nic wspólnego! Zwyczajnie popękały. Po prostu tandeta. Badziewie i taniocha.

– Przeklęta magia! – warknęła Ned. – A więc ugrzęźliśmy w Twierdzy? Może na górze znajdziemy jakieś wyjście. Moglibyśmy dać sygnał Fraddonowi. Dziś wieczorem powinien wrócić z Kościanych Gór.

– A może zobaczą nas chmurzaste dziewczyny Henwyna... – zasugerował goblin.

– To nie są moje dziewczyny – zachnął się chłopak.

Na przeciwległym krańcu osobliwego muzeum natrafili bardzo wąską na klatkę schodową i ruszyli nią w górę. („Nie wiedziałam, że przygody wymagają ciągłego łażenia po schodach!”, narzekała Ned). Strome stopnie wiły się wzdłuż grubych ścian cytadeli, aż wreszcie wyszły na przestronną jadalnię, zastawioną długimi drewnianymi ławami. Sala była cicha niczym grobowiec i kompletnie opustoszała, nie licząc kurzu, unoszącego się w czerwonym świetle, wpadającym przez szyby z liczego kryształu. Nie było tu jednak zimno jak w grobowcu. Także tutaj z podłogi wyrastały miedziane tuby, u góry rozgałęzione na dziesiątki pomniejszych odnóg, znikających w ścianach i w suficie. Wyglądało to trochę jak las miedzianych dębów. Rury wydzielały ciepło, przesycając powietrze zapachem rozgrzanego metalu. Po bokach miały wbudowane malutkie drzwiczki i klapki. Skarper z ciekawości

otworzył jedne z nich i do pomieszczenia wpadł blask jeziora lawy, odbity od wypolerowanego wnętrza szybu. Przypomniało mu to światełka pobłyskujące wewnątrz Twierdzy, które widział (a przynajmniej zdawało mu się, że widział) nocą w karapulcie.

– Może ktoś je czasem otwiera – powiedział nerwowo. – I wtedy światło widać przez okna.

– Niby kto? – powątpiewał Henwyn. – Nikogo tu nie ma. Nie ma nawet kości. Wszyscy musieli uciec, zanim Twierdza została zapieczętowana. Zobacz, ile jest kurzu na podłodze. Żadnych śladów, tylko nasze. Nie znajdziesz nawet pajęczka.

– Szkoda – westchnął Skarper, który troszkę już zgłodniał i chętnie schrupałby tłustego pająka. – Co będziemy jeść?

Było to bardzo dobre pytanie. Nie jedli nic od poprzedniej nocy i (choć głupio było im to przyznać) najgłośniejszym dźwiękiem w pustych komnatach Twierdzy było burczenie w ich brzuchach.

– Mam odrobinę mąki w plecaku – odparł Henwyn. – I bukłaczek wody...

– Cudownie – wymamrotał Skarper. – Zrobimy klej...

– Gdzieś tutaj muszą być kuchnie. – Chłopak nie tracił ducha. – A przy kuchniach spiżarnie. Na pewno coś znajdziemy.

– Po tylu latach? – prychnął goblin. – Nawet jeśli Król Licz zostawił jakieś bochenki chleba, teraz są twarde jak kamień.

– Henwyn ma rację – wtrąciła Ned. – To miejsce jest przesycone magią. Możliwe, że czas płynie tu inaczej niż na zewnątrz. Spójrzcie tylko na te stoły. Nie zbutwiały ani nie spróchniały. Krzesła wyglądają praktycznie jak nowe... – Usiadła na jednym z nich i zrzuciła buty. – Ja tutaj poczekam i

odpoczną, a wy, młodzieńcy, poszukajcie czegoś na ząb.

Na ramieniu Henwyna mały Podlec zatrzepotał skrzydełkami i zapisał.

– O! Patrzcie! – zawołał chłopiec. – Chyba coś zwęszył! Czujesz jedzonko, maluchu? Zaprowadzisz nas do spiżarni?

Smoczyk wzbił się w powietrze, okrążył głowę Henwyna i wystrzelił przez niskie, otwarte drzwi po drugiej stronie sali. Minutę później zawrócił i zapiszczał kilka razy, jakby chciał powiedzieć: „Za mną!”, po czym zniknął znowu.

– Jestem pewny, że rozumie wszystko, co mówimy! – uśmiechnął się Henwyn. – Zaraz znajdzie nam wodę i jedzenie!

– Uważajcie na siebie! – krzyknęła Ned w ślad za przyjaciółmi. – Nie zgubcie się!

– Nic nam nie będzie! – odkrzyknął chłopak. – Tak jak mówiłaś, nic tu już nie ma!

Jego słowa poniosły się echem w górę schodów, kominów i szybów wentylacyjnych, aż do najwyższych partii Clovenstone – do uszu, które cierpliwie czekały przez całą wieczność.

Na zewnątrz Twierdzy zapadał już zmierzch. Trzem czarodziejom nie uśmiechało się spędzanie kolejnej nocy przy Zachodnich Wrotach, zaczęli więc szykować się do powrotu.

– Musimy przyjąć – orzekł Fentongoose ze smutkiem – że nasi przyjaciele skończyli jako przekąska tych bagiennych stworów.

– Biedna księżniczka Ned – jęknął Prawl.

– Biedny Henwyn – zawtórował Carnglaze.

– Biedny jak-mu-tam – dodał Fentongoose. – Wiecie, ten mały z ogonem...

– Biedni my! – westchnął Carnglaze. – Porzuceni, samotni i bezbronni w tym paskudnym, dzikim miejscu.

– Chyba nie nadajemy się na złych czarnoksiężników, bracia – stwierdził Fentongoose. – Gdybyśmy naprawdę byli źli do szpiku kości, nie oplakiwalibyśmy przyjaciół. Zaśmialibyśmy się tylko złowieszczym śmiechem: „Ha! ha! ha!”, czy jakoś tak. Myślę, że powinniśmy wyruszyć niezwłocznie i zaryzykować przeprawę przez wrzosowiska. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy zmierzającą na południe barkę w Patyczkowej Przeprawie i z końcem miesiąca będziemy już w Kolendrze.

Spakowali więc manatki, napchali plecaki prowiantem, który ocalili ze zrujnowanego statku, po czym pośpiesznie ruszyli w kierunku zachodzącego słońca, z radością żegnając Clovenstone.

Jednakowoż Clovenstone nie chciało się jeszcze żegnać. Kiedy przechodzili w cieniu łukowatej bramy, z murów zeskokczyło coś ciężkiego i wylądowało na drodze przed nimi. Pokraczna postać wyprostowała się, utkwiała w czarodziejach jedno żółte oko i warknęła:

– Siema!

Dookoła zaroilo się od goblinów. Spadały z dachów, wyskakiwały z okien, zsuwały się po natłuszczonych linach. Kurdupel w czerwonym kapturku Czapeczek Chilli dźgnął Fentongoosa w tyłek widłami, a ktoś z Czarnej Ferajny strącił szpiczasty kapelusz Carnglaze’a.

– Wystarczy, chłopaki! – krzyknął ochryply głos i król Knobbler we własnej osobie stanął przed czarownicami, dłubiąc w poźółkłych kłach koniuszkiem Pana Rach-Ciach. Sześciu najroślejszych goblinów ustawiło się po jego bokach, groźnie machając cepami i toporami o skomplikowanych ostrzach, z doczepionymi kolcami i kłujakami.

– Przychodzimy w pokoju – zaczął Knobbler. – A wy pójdziecie do uboju – dodał dowcipnie – jeśli nie będziecie robić, co się wam każe. Idźcie z nami.

– Ale gdzie? – jęknęli czarodzieje, gdy złapały ich brudne goblinińskie łapska. – Ale czemu?

– Złapać ich i zakneblować! – zawołał Breslaw, schowany bezpiecznie za plecami wojowników. – Szybko! Zanim rzucają na nas urok czy coś!

Fentongoose chciał zaprotestować, że przecież nie zna się na czarach, ale umorusany goblin wcisnął mu w usta swoją nieświeżą skarpetę, a jeden z przybocznych króla Knobblera wziął go na plecy. Pozostali dwaj czarownicy, bezskutecznie szarpiący się i szamoczący, zostali potraktowani podobnie.

– Wyczarujecie magię, żeby otworzyć Twierdzę – wytłumaczył im Knobbler i gobliny zawróciły do Murów Wewnętrznych.

– Ależ to pomyłka! My nie umiemy czarować! – próbował wyjaśnić Prawł, ale przez knebel słyszał tylko niewyraźne bełkotanie.

– Wiem, co robicie. – Knobbler machnął swym straszliwym mieczem przed nosami czarodziejów. – Rzucacie uroki, co? Chcecie nas pozamieniać w ropuchy czy inne pieluchy? Lepiej oszczędzajcie magię, aż dojdziemy do Twierdzy. A teraz jeśli usłyszę choćby piśnięcie, Pan Rach-Ciach zapozna się z waszymi bebechami!

SMOKOROŹCZKI

W samotnej komnacie wysoko na szczycie Twierdzy Smokoroźce czekały przez bardzo, bardzo długi czas. A przez większą część tego bardzo, bardzo długiego czasu nawet nie zdawały sobie z owego oczekiwania sprawy. Leżały oklapłe w ciasnych wnękach i zakamarkach jak porzucone lalki. Nie spały, ponieważ nigdy nie śpią. Nie były martwe, ponieważ nigdy nie żyły. Ale nawet w ich komnacie znajdowały się okna, a poprzez grube łuski liczego kryształu przenikało blade światło komety. Niewielkie płatki wolnego srebra, służące im za oczy, rozpały się w blasku gwiazdy. I nagle Smokoroźce się rozbudziły. Kiedy usłyszały dalekie echa głosów Henwyny, Skarpera i księżniczki Ned, podniosły się, rozprostowały i zaczęły człapać powolnymi, ptasimi krokami. Ustawiły się przed miedzianą tubą, wyrastającą z podłogi, otworzyły zakratowane drzwiczki, a następnie jeden za drugim wdrapały się do środka.

Poblask odległego jeziora lawy przeświecał przez cieniutką warstwę, jaka pokrywała ich szkielety ze smoczycy kości. Były tak leciutkie, że ciepłe powietrze wewnątrz szybu prawie uniosło je do góry – prawie, ale niezupełnie. Rozłożyły skrzydła z wyschniętej skóry, podobne papierowym, po czym opadły

wolno w dół. Podążając za zapachem człowieka, przeciskały się w skomplikowanych rozgałęzieniach systemu wentylacyjnego, który rozrastał się w całej cytadeli jak miedziane drzewo.

W tym samym czasie Skarper i Henwyn szli opuszczonymi, zakurczonymi korytarzami, wspinali się po niskich schodach, mijali strażnice i zbrojownie. Wzdłuż ścian stały rzędy starożytnych zbroi. Puste hełmy odprowadzały ich widmowym spojrzeniem. Skarper założył skórzaną brygantynę, uszytą niegdyś dla jakiegoś ludzkiego wojownika. Była szorstka, drapiąca i trochę zatechła, a na dodatek sięgała mu poniżej kolan. Mimo wszystko dobrze było mieć coś na sobie. Jak można przeżywać przygody na golasa? Henwyn z kolei znalazł dla siebie parę skórzanych rękawic, wzmocnionych płytkami fiszbinu. Smoczyk leciał rażno przodem, ale co parę minut zawracał, przysiadał Henwynowi na nadgarstku i podszczypywał go w palce, zachęcając chłopaka do żywszego kroku.

Naraz Podlec zapiszczał i zawisł przed na wpół otwartymi drzwiami. Henwyn i Skarper pośpieszyli w tamtą stronę.

– Czy to spiżarnia, mały?

– Może będzie miód? Miód się nie psuje!

Niestety obaj byli w błędzie. Zamiast spiżarni znaleźli ptaszarnię. To tutaj za czasów Króla Licza trzymano jastrzębie, sokoły i inne ptactwo łowieckie. Na hakach, w wieczornym świetle prześwitującym przez liczy kryształ, zwisały pętca, wabidła i dłużce. Puste siedziska i berła sterczały ze ścian, a na wysokiej półce ułożono pierzaste karnale. Jedna z miedzianych tub przecinała pionowo pomieszczenie. Powietrze było ciepłe i suche.

– Nie znajdziemy tu nic do jedzenia – stwierdził Henwyn. – No, dalej, mały Podlecu. Spizarnia. Gdzie jest spizarnia?

Zawrócił do wyjścia, ale Podlec nie chciał go puścić. Z głośnym piskiem latał w kółko, trzepocząc mu skrzydełkami po twarzy, aż wepchnął chłopca z powrotem do ptaszarni. Następnie podleciał do drewnianego korytka, ustawionego na kamiennej półce pod oknem.

Skarper i Henwyn podeszli bliżej.

– Jajka – zauważył goblin.

– Tuzin. Myślisz, że są świeże? Moglibyśmy zrobić jajecznicę...

– Nie bądź głupi! – zbeształ go Skarper. – To smocze jaja. A właściwie smoczykowe. Prawdopodobnie trujące albo magiczne. Troll jeden wie. O, patrz! To jest pęknięte. Może to z niego wyklął się Podlec... – Spojrzał w górę i gwiazda Króla Licza zamrugła do niego poprzez pęknięcie w liczym kryształ. – Zobacz! To przez to okienko Podlec wydostał się na zewnątrz...

– Myślisz, że też moglibyśmy spróbować? – zapytał Henwyn.

– Mowy nie ma. Jesteśmy co najmniej w połowie wysokości Twierdzy, a przecież nie umiemy latać jak smoczyki. Po drugiej stronie czeka nas tylko długi upadek. Nie chcę skończyć jako marmolada.

Henwyn próbował poszerzyć dziurkę mieczem, ale niezbyt mu to szło.

– I tak nie dam rady powiększyć tej szparki – westchnął. Właściwie poczuł swojego rodzaju ulgę. Tak bardzo chciał zbadać tę tajemniczą Twierdzę! Prawie cieszył się, że nie ma stąd wyjścia.

Podlec zapisał znowu, latał w tę i z powrotem nad

korytkiem z jajami. Henwyn przyjrzał się uważniej i nagle zauważył, że niektóre z nich delikatnie się ruszają. Zdawało mu się, że słyszy smoczyki, piszczące i wierzące się w środku.

– Mam nadzieję, że się teraz nie wyklują – stęknął. – Wystarczy, że Podlec bez przerwy mnie podgryza. Nie chciałbym, żeby zasmakowało we mnie jego rodzeństwo.

Skarper podniósł skorupki jajka Podleca. Były twarde, może nie tak bardzo jak skałojaja goblinów, ale całkiem mocne.

– Może chce, żebyś im pomógł? – zasugerował. – W dawnych czasach pewnie zrobiłaby to ich mama, albo ludzie czy gobliny, czy kto tam doglądał tej ptaszarni. Spójrz, tam wisi jakiś młotek...

Henwyn spojrział. Rzeczywiście, mały młoteczek wisiał na ścianie, ale zanim zdążył po niego sięgnąć, ptaszarnię wypełniły dziwne dźwięki; szelesty i szczęki; chrzęsty i chroboty.

Dwaj przyjaciele popatrzyli po sobie. Zanim zorientowali się, że odgłosy dobiegają z miedzianej tuby, było już za późno. Odwrócili się w samą porę, aby zobaczyć, jak Smokorożce wyłażą przez otwartą klapkę.

Kościanych stworków było cztery. Ich puste, woskowate ciała utworzono z cienkiej jak pergamin smoczej skóry, owiniętej wokół szkieletowych laleczek poskładanych ze smoczych kości. Główki rozszczepiały się na podłużne rogowe odłamki niczym wysokie korony. W wyschniętych, papierowych maskach błyszczały oczka z wolnego srebra. Smokorożce wydawały cichutkie dźwięki, jak zwęglone drewno stygnące w kominku. Malutkie łapki, zrobione ze smoczych pazurów, zgrzytały na podłodze skrob-skrob, skrzyp-skrzyp, a skórzaste peleryny zwisały jak łuski kukurydzy.

Henwyn uniósł miecz w gotowości. Podlec zapiszczał ostrzegawczo i schował mu się pod płaszczem. Skarper tylko stał z otwartymi ustami i patrzył, jak dziwaczne kościeje otaczają ich ciasnym kręgiem.

– Co to za cudaki? – syknął do Henwyna.

– Nie jestem pewny – odparł chłopak. – Ale chyba... Dawno, dawno temu siedmiu czarodziejów, którzy wzniesli tę cytadelę, sporządziło sobie siedmiu sługów. To Smokoroźce, powołane do życia magią. Zasłynęły jako najstraszliwsi wojownicy Króla Licza. Ale pod koniec jego panowania zaklęcia osłabły i one na powrót zamieniły się w kukiełki. To dlatego nie brały udziału w bitwie pod Dor Koth.

– Dla mnie wyglądają, jakby wprost tryskały magicznym życiem – skwitował goblin.

– Adherak! – wrzasnął Henwyn niespodziewanie na całe gardło. Skarper i Podlec aż podskoczyli ze strachu, ale na Smokoroźcach nie zrobiło to najmniejszego wrażenia i niewzruszenie patrzyły, jak serowar wywija klingą. Nagle jeden chwycił opadające ostrze, a drugi zamachnął się zakrzywionymi pazurami, przypominającymi haki z kości słoniowej. Młodzieniec upuścił broń i odskoczył w ostatnim momencie, ledwo unikając paskudnego ciosu. Szpony rozorały mu tylko koszulę.

Przyparty plecami do regału, na którym stały jaja, Henwyn oczekiwał kolejnego ataku. Ten jednak nie nadszedł. Smokoroźce stały bez ruchu i obserwowały go uważnie. W ślepkach błyszczało im coś jeszcze poza odbiciem światła komety. Chłoneły wzrokiem obnażoną skórę pod rozdartym ubraniem chłopaka. Wpatrywały się w amulet na jego piersi. W

surową, uskrzydloną twarz, która z kolei wpatrywała się w nie. Paszcze Smokorożców rozwarły się, ukazując puste jamy. Ich języki, splecione z wyschniętych smoczycy ściągien, zaklekotały o wydrążone czaszki niczym ogony grzechotników.

Raptem grzechotanie ułożyło się w słowa.

– Witaj – zaterkotały Smokorożce.

– Czekaliśmy...

– Tak długo...

– O czym one mówią? – szepnął zdeorientowany chłopak.

– Masz talizman Fentongoosa! – odszepnął Skarper. – Myślę, że nim jesteś! Wzięły cię za przywódcę Kruczej Kapituły! Dziedzica Króla Licza!

– Nie miałem pojęcia! – westchnął Henwyn. – Znalazłem to w ruinach! Zapomniałem, że w ogóle to mam!

– Lepiej im tego nie mów! – ostrzegł goblin. Był pewien, że amulet właśnie ocalił im skórę. Jeśli te kościane cudaki chciały traktować Henwyna jako nowe wcielenie Króla Licza, niech im będzie.

– Chodź! – zaklekotały Smokorożce. – Chodź z nami! Zaprowadzimy cię do tronu z kamienia!

Słońce na zewnątrz już zaszło, a gwiazda Króla Licza płonęła na nocnym niebie jak petarda, która nigdy nie gaśnie. Gobliny tymczasem niosły swoich jeńców przez bramy Murów Wewnętrznych, obok zapuszczonych szklarni, gdzie Czapeczki Chili uprawiały papryczki, wzdłuż stromych schodów i uliczek, aż w końcu zatrzymały się u samych stóp Twierdzy. Po raz pierwszy od Upadku Clovenstone tak wiele połączonych wspólnym celem goblinów zebrało się w jednym miejscu.

Srogospice i Wyjce, Krzywostropcy i Czapeczki Chilli, Czarne Szpony i Graniolomy. Maszerując zarosłą zielskiem promenadą, goblinśka czereda śpiewała starą bojową pieśń:

*Gobliński marsz, gobliński marsz!
Z Clovenstone ruszamy dziś hurmem,
W rytm rogów i bębnów pędzimy szturmem,
Z żelazem i ogniem na Ziemi Człowieka,
Gdzie złoto, srebro i krew już czeka!
Przez góry i lasy i wrzosowiska,
Obrócić królestwa w pogorzeliska!
Wojenny marsz, wojenny marsz!*

To akurat nie do końca było prawdą, ponieważ zamierzały zdobyć Twierdzę, a nie królestwa ludzi. Niestety nie starczyło czasu, żeby wymyślić jakąś chwytliwą piosenkę o marszu na siedzibę Króla Licza. A poza tym miały przecież ogień pod postacią setek płonących pochodni, a także rogi i bębny, w które ochoczo dęły i bębniły, hałasując przy tym niemiłosiernie. W każdym razie jeżeli Knobler naprawdę otworzy Twierdzę, kto wie, może ziemie mienczaków będą następne w kolejce? Nawet gobliny słyszały legendy o potężnej magii drzemiącej w cytadeli. Może z jej pomocą niezwyciężone armie Knoblera podbiją cały świat...?

Bresław wysunął się na czoło pochodu, podszedł do wrót i ostrożnie postukał w nie swym edukacyjnym pobijakiem. Rozległ się dudniący dźwięk, stłumiony skorupą liczego kryształu, który pokrywał drzwi jak zaćma oko starego goblina.

Król Knobler przyglądał się mu uważnie spod nowego bojowego kapelutka, wielgachnego czarnego szyszaka,

zdobytego na wodzu Wyjca. Wyglądał zupełnie, jakby miał na głowie odwrócone wiadro. Właściwie to było odwrócone wiadro, ale za to bardzo gustowne – z kolcem na czubku, rogami po bokach i z prostokątnym otworem, jak w skrzynce na listy, przez który łypały wściekle, żółte ślepia. Knobbler machnął łapą, a trzy rosłe gobliny przywlokły przestraszonych i sponiewieranych członków Kruczej Kapituły, po czym rzuciły ich w pokrzywy pod jego stopami.

– Dobra – warknął Knobbler. – Otwórzcie je!

Roztrzęsieni czarodzieje skulili się razem, łkając cichutko chlip-chlip-chlip.

– OTWÓRZCIE JE! – Gobliński król wrzasnął tak głośno, że odbite od wrót echo gwałtownym powiewem rozwiało włosy i brody nieszczęśników. Pobliskie gobliny wyciągnęły w ich stronę ostre dzidy, miecze, włócznie, a nawet coś jak kolczaste trzepaczki do jajek.

– Niech będzie – powiedział Fentongoose, chociaż nigdy w życiu nie czuł się mniej pewny swoich magicznych zdolności. Podniósł ręce, zamknął oczy i przemówił głosem tak wyraźnym i władczym, na jaki był w stanie zdobyć się w obecnych warunkach:

– OTWÓRZ SIĘ!

KAMIENNY TRON

Im bliżej szczytu, tym węższa stawała się Twierdza. Spiralne stopnie pięły się w jej sercu coraz wyżej i wyżej, zakręcały wokół ciepłych rozgałęzień miedzianych szybów. Liczne drzwi otwierały się z każdej strony. Jedne prowadziły na mury warowne, gdzie pokryte liczym kryształem katapulty i przeróżne maszyny wojenne spoczywały jak eksponaty w zakurzonych gablotach muzealnych. Za innymi widać było cieniste komnaty, w których niewyraźnie błyszcząły sterty monet, srebrzone skrzynie czy złote posążki z dalekiego Zandegar. W półmroku dało się dostrzec drogocenne futra dzikich bestii, skóry lampartów, niedźwiedzi i hipogryfów. W udrapowanych kotarami salach cudowne harfy i cytry czekały, aż damy dworu Króla Licza powrócą i ożywią ich struny smukłymi, białymi palcami.

Goblińskie zmysły krzyczały w Skarperze jak szalone. Łapy go świerzbiły i myślał tylko o tym, by napchać kieszenie tymi wszystkimi wspaniałościami. Niestety, Smokorożce nie pozwalały nawet na chwilę zwłoki. Kiedy tylko zwolnił i zajrzał do jednej z komnat, otoczyły go i zaczęły podszczypywać smoczymi pazurkami. Ich puste główki brzęczały i buczały

niczym gniazda os, gdy popędzały goblina naprzód.

Henwyn też raz spróbował przystanąć.

– Księżniczka Ned musi się o nas martwić – powiedział.

– To nieistotne – zaterkotały Smokorożce.

– Dokąd nad prowadzicie?

– Nadszedł czas – klekotały. – Gwiazda lśni na niebie.

Kamienny Tron czeka.

Skarperowi niezbyt się to podobało, ale cóż poradzić? Nie mieli innego wyjścia, jak iść posłusznie za Smokorożcami. Podlec wciąż chował się pod płaszczem Henwyna. Chłopiec pomyślał, że smoczyk mógłby wymknąć się cichcem i zanieść księżniczce wiadomość. Trzeba ją ostrzec przed żyjącymi w Twierdzy okropieństwami... Nie wiedział tylko, jak wytłumaczyć to Podlecowi, a zanim zdążył spróbować, na kolejnej klatce schodowej natknęli się na trzy następne Smokorożce, prowadzące księżniczkę Ned.

– Strasznie was przepraszam! – zawołała na widok Henwyna i Skarpera. Zamrugła poprzez zasłonę siwych, rozczochranych włosów. – Wyszły z kominów i nic nie mogłam zrobić. Ciągłe ostatnio wpadam w tarapaty. Pewnie myślicie, że jestem bezradną, głupiutką księżniczką.

Wspinali się jeszcze długo, a Twierdza zwężała się coraz bardziej. Mijane drzwi były teraz przeważnie zamknięte, wykonane z brązu lub żelaza, a nie z drewna. Nagle, zupełnie nieoczekiwanie, ujrzeli jasne światło księżyca i weszli do ogromnej komnaty na samym szczycie cytadeli. Dach w całości pokrywała nieregularna kopuła z liczego kryształu. Skarper i Henwyn spojrzeli w górę i poprzez kryształową skorupę zobaczyli pokręcone wieżyczki i rogi Twierdzy, prężące się do

nocnego nieba. Czarny kamień mienił się żyłami wolnego srebra. Księżycowa poświata, przefiltrowana przez liczne kryształy, rozlewała się po posadzce, wykonanej z różnorodnych metali, ułożonych w misterne wzory – połyskujące detale z platyny, zawijasy ze złota, szerokie pola zaśniedziałej miedzi. Ale księżyc nie był jedynym źródłem światła w pomieszczeniu. Na samym środku znajdowała się wielka dziura o średnicy co najmniej pięćdziesięciu stóp. Był to wylot największego szybu; zbiegały się w nim wszystkie pozostałe rury, odprowadzające ciepło z jeziora lawy. Unosiła się nad nim delikatna srebrzysta mgiełka, wibrująca od magii. Pośrodku szybu wyrastał smukły skalny pazur, połączony z podłogą wąskim, łukowatym mostkiem.

Na czubku tego pazura stało kamienne siedzisko, do którego wiodło siedem schodków. Czarne i lśniące jak obsydian, oszlifowane jak diament, poprzecinane żyłami wolnego srebra i innych magicznych metali, wyglądało na twarde i zimne, wysokie i niebezpieczne. Księżniczka Ned podeszła ostrożnie do mostka i drżącym z podziwu głosem zawołała:

– Och! To Kamienny Tron!

Smokorożce zaszeleściły jak uschłe liście na wietrze.

– Magia powróciła – zatrzeszczał jeden.

– Król Licz musi zająć swe miejsce na tronie i rządzić!

– Nic nie rozumiecie! – krzyknął Henwyn. – Nie ma Króla Licza! Nie żyje! Umarł setki lat temu! Świat wreszcie się go pozbył! Nikt nie usiądzie na waszym okropnym tronie...

Smokorożce odwróciły do niego pomarszczone główki. Utkwiły w nim srebrzyste jak rtęć oczka. Zgięły się w pół przed zaskoczonym serowarem i zabrzczczały jak siedem pszczelich

rojów w siedmiu papierowych torbach:

- Gwiazda rozświetla niebo...
- Nowy Król Licz posiędzie jej moc.
- Pan na Clovenstone – szeptały.
- Władca Cieni i Popiołów.
- Chodź. Usiądź na swym tronie.

– Ja? – Henwyn postukał się palcem w pierś. Popatrzył rozpaczliwie na Skarpera i Ned. – Ja jestem serowarem! – zaprotestował. – Nie czarnoksiężnikiem! Tylko dlatego, że znalazłem ten głupi amulet? On nawet nie jest mój! Może czekacie na Fentongoosa...

- Chodź.

Chłopak postąpił krok w kierunku mostu i natychmiast się wycofał, przerażony bezkresną czeluścią.

– Znowu bez barierki – jęknął. – Czy na pewno mi to przeszkadza? Nie narzekam na równowagę, ale jeśli mam przechodzić nad przepaścią wypełnioną wrzącą magią, wolałbym się czegoś trzymać...

- Chodź – klekotały Smokorożce.

I nagle Henwyn poczuł, że wcale nie boi się upadku. Nawet jeśli odrobinka strachu w nim pozostała, znacznie przewyższała ją pragnienie dojścia do wzniosłego tronu. Przeszedł przez most, stanął na schodach i ku swemu zdziwieniu spostrzegł, że na kamiennym siedzisku coś leży... A kiedy wspiął się na sam szczyt, zobaczył wiekowego starca.

Jak to możliwe, że żadne z nich nie zauważyło go wcześniej? Może dlatego, że tron był tak wielki, a starzec taki mały? Tron pokrywały kunsztowne, skrzące się żłobienia, a starzec miał na sobie przetarte czarne szaty. Tron przepychem i świetnością

zapierał dech w piersiach, starzec zaś był cały pomarszczony i bardziej przypominał pokrzywiony korzeń wrzosu niż człowieka. A mimo to żył i przewiercał przybysza przenikliwym spojrzeniem żółtych oczu.

– No, jesteś wreszcie – przemówił ochrypłym głosem. – Trochę ci to zajęło!

Ze skroni starca, spomiędzy rzadkich, cienkich jak pajęcza nić włosów, wystawały czarne skrzydła, przytwierdzone do srebrnego diademu.

– To ty! Ty jesteś Królem Liczem! – wykrzyknął zdumiony Henwyn.

– Byłem – odpowiedział mężczyzna.

– Ale wszystkie pieśni, baśnie i legendy mówią, że nie żyjesz!

– Bzdury! Oczywiście, że żyję! Jak inaczej byśmy rozmawiali?!

– sarknął starzec. Zmarszczył się (kolejne bruzdy w twarzy pełnej zmarszczek) i przez sekundę Henwyn widział dumnego i srogiego władcę, którym niegdyś był. Zaraz jednak zakaszłał i kontynuował cichym, chrapliwym szeptem: – Legendy czasami się mylą, a pieśniarzom nie wolno ufać. Szczególnie harfiarzom. Zawsze wszystko poplączą. Ostatniego dnia, gdy magia prawie zupełnie już osłabła, wszyscy moi poddani uciekli, a armie Kennacka dobijały się do bram, zebrałem resztki mocy i rzuciłem jeszcze jedno zaklęcie. Zapieczętowałem Twierdzę. Spowolniłem czas. I tutaj czekałem przez stulecia. Grzałem dla ciebie Kamienny Tron, jak widzisz.

– Dla mnie? – zdziwił się Henwyn. – Tak właśnie mówiły te skórzaste cudaki, ale...

– Masz mój talizman, prawda? – zapytał Król Licz.

Henwyn sięgnął po wyrzeźbiony z kości słoniowej amulet,

który wisiał mu na piersi. Zdjął go i wyciągnął przed siebie.

– O tym mówisz?

Staruszek pokiwał głową.

– Ten, kto przyniesie mój talizman do Clovenstone, zajmie me miejsce na tronie.

– Ależ ja go tu nie przyniosłem!

– A jednak wisi na twojej szyi.

– To Fentongoose strzegł go przez te wszystkie lata! To Fentongoose przyniósł go do Clovenstone! Fentongoose, mistrz Kruczej Kapituły! Jeśli ktokolwiek miałby być Królem Liczem, to właśnie on! Chociaż...

– Ach! – westchnął starzec. – Ale czy krew Króla Licza płynie w żyłach tego Fentongoosa?

– Ja... eee... – zająkał się chłopak. – W każdym razie na pewno nie płynie w moich!

– Jesteś tego pewny, Henwynie z Adherak? – Starzec wyprostował się jak wiązka suchego chrustu. – Kiedy zrozumiałem, że przegrałem, że wszystko stracone, odesłałem z dworu swoich poddanych. Stenoryonowi poleciłem udać się do Kolendry, żeby zachował o mnie pamięć, aż magia powróci do świata. Ale co z moją córką? Moją malutką dziewczynką, dziedziczką całego imperium? Była zbyt mała, żeby choć zrozumieć, co to oznacza. Nie, nie mogłem zawierzyć jej bandzie niedoszłych czarowników. Tylko w jednym miejscu mogła być bezpieczna. Na dworze samego króla Kennacka. Doszły mnie słuchy, że została tam mleczarką. Widzisz, płynie zatem w tobie królewska krew Clovenstone, Henwynie z Adherak.

– Niemożliwe! – zaprzeczył Henwyn. – Nie czuję w sobie

żadnej królewskości ani okrucieństwa. Nic z tych rzeczy, jakie powinien czuć Król Licz...

– Pomyśl, chłopcze. Czy przez całe swoje życie nie czuleś zewu Clovenstone? Nie czuleś, jak Kamienny Tron cię wzywa? – spytał starzec. – Czyż nie odnalazła cię Krucza Kapituła, nieświadomie wiedzona mocą mojego talizmanu? Czyżbyś nie ożywił sera?

– Ja to zrobiłem? – zdumiał się Henwyn.

– Cóż, niezupełnie. To moja sprawka. Zobaczyłem cię przez oczy talizmanu i wprowadziłem w ruch serię zdarzeń, która doprowadzi cię tutaj. Gdybym nie stracił panowania, serowy demon przyniósłby cię całe tygodnie temu. Ale cóż, magia jest jeszcze zbyt słaba i nieprzewidywalna. Nawet mnie trudno jest rzucać zaklęcia poza granicami Clovenstone. Tylko dzięki bliskości talizmanu mogłem kontrolować serotwora. A gdy ten głupiec, Fentongoose, spanikował i uciekł, straciłem łączność. Czar prysł.

– A ser eksplodował... – wspomniał chłopak.

– Co za czarnoksiężnik trzęsie portkami na widok najzwyklejszego serowego golema? – prychnął starzec. – Wielki mistrz Kruczej Kapituły, w rzeczy samej! Widać tajne mroczne stowarzyszenia zeszły na psy. Trudno, zrobisz z tym porządek, jak tylko zasiądziesz na Kamiennym Tronie. – Wyciągnął drżącą, kościstą rękę i wziął amulet Henwyna w szponiaste palce, po czym umieścił go na poręczy tronu. Medalion zawibrował jak kropla rtęci i wsiąkł w kamień.

– Z tronu powstał i do tronu powrócił – rzekł Król Licz. – To właśnie ten Tron jest zaczątkiem i przyczyną wszystkiego. Czysta magia z najgłębszych trzewi ziemi burzy się pod

wpływem gwiazdy. Gdy kometa się zbliża, magiczna moc narasta, a gdy się oddala, mocy ubywa. Teraz znów jest blisko. Czarodziejska energia buzuje pod korzeniami góry. Gromadzi się, przepływa przez Twierdzę, nasącza Tron, wypływa na świat.

– Ale potrzebuje silnej woli – kontynuował. – Potrzebuje umysłu, który nią pokieruje. Władcy, który zasiądzie na tronie i nada jej kształt, cel, znaczenie. W innym wypadku będzie się bezowocnie miotać po ziemi. Dzika, nieujarzmiona, zacznie szukać jakiegokolwiek ujścia. Będzie stwarzać zbędne giganty i bezsensowne drzewce. Ktoś musi ją kontrolować, inaczej zapanuje chaos.

Poklepał poręcz kamiennego siedziska.

– No, chodź. Zajmij swoje miejsce, Henwynie z Clovenstone. Usiądź na tronie, a zrozumiesz.

To mówiąc, staruszek zsunął się i wstał na niepewne, wyschnięte nogi, kościste palce dotknęły podestu. Westchnął głęboko. Z żalu? Z ulgi? Trudno powiedzieć. Stanąwszy naprzeciwko tronu, zdjął ze skroni skrzydlaty diadem.

– Weź – powiedział, podając go Henwynowi. – Jest twój.

– Ale ja tego nie chcę... – zaczął Henwyn, lecz nagle pomyślał, że może jednak chce. Od dziecka wiedział, że jest wyjątkowy, że czeka go wielkie przeznaczenie. Może tylko mylił się co do jego natury. Może dlatego był tak kiepskim bohaterem... Los chciał, żeby został złoczyńcą? – Ja? Ja miałbym być nowym Królem Liczem? – zastanawiał się. – Władcą całego świata?

– Bierz! – Głos Króla Licza był tak cichy jak powiew wiatru w prastarym grobowcu.

Starzec zachwiał się i przewrócił. Chłopiec spróbował go

podtrzymać, ale wymizerowane ciało przeleciało mu przez palce jak rozpadający się kopiec piasku; obróciło się w proch i popiół. Szara chmura pyłu spłynęła w dół schodów, by niczym kurz opaść na pokryte kurzem Clovenstone. Jedyne, co zostało po starcu, to skrzydlata korona, zimna i twarda w dłoniach Henwyna.

– Henwyn! – zawołała z drugiego końca mostu księżniczka.

Chłopak obejrzał się i zobaczył, że Ned i Skarper przyglądają mu się uważnie.

– Wyrzuć to! – wołała Ned. – Proszę, Henwynie! To miejsce jest pełne straszliwej magii!

– Wszystko będzie dobrze – odpowiedział Henwyn. Żałował, że nie może jej wytłumaczyć, że przecież czekał na ten moment całe swoje nudne, serowe życie. Usiadł na Kamiennym Tronie i poczuł, jak siedzisko się zmienia. Czuł, jak się przeobraża i przekształca, dostosowuje do niego. Założył diadem na głowę.

Naraz rozległ się przeraźliwy dźwięk; coś pękło, coś się skruszyło. Kopuła z liczego kryształu pokryła się w całości pajęczą siateczką. Skarper i księżniczka Ned zakryli uszy i skulili się ze strachu, ale Henwyn jedynie się śmiał. Wiedział, że nie tylko kopuła rozpada się w kawałki. Wszędzie w Twierdzy kryształowe szyby i pieczęcie rozpryskiwały się w drobny mak, odsłaniając okna, portale i drzwi. Zupełnie jakby Clovenstone strząsnęło grubą lodową powłokę po wieloletnim zimowym śnie.

W tej samej chwili z każdego okienka, każdego balkoniku, każdego wykusza, każdego otworu strzelniczego odpadły bryły liczego kryształu. Skorupę zasłaniającą główną bramę przedzieliła ogromna szczelina. Nagły, przeszywający hałas

zaskoczył Knobblera, który właśnie miał odrąbać Fentongoosowi głowę. Goblinski król zatoczył się do tyłu z rozdziawioną ze zdumienia gębą, podczas gdy jego poddani, krzycząc wniebogłosy, rozbiegli się, szukając schronienia przed deszczem kryształowych odłamków. Ale bariera liczego kryształu nie wystrzeliła w nich setkami zaostrzonych włóczni. Popękała na tak drobnutkie okruszki, że wiatr rozwiął ją jak chmurę migotliwej mgły. Kilka większych kawałków opadło w dół śniegowym puchem. Błyszcząc w świetle pochodni, mistyczny łupież osiadł na włosach i ramionach wojowników.

Knobbler spojrział na trzech czarodziejów, tchórzliwie skulonych wśród zasp rozprószzonego liczego kryształu.

– To wasze dzieło?

– J-jasne, że tak! – zełgał Fentongoose. – Kazaleś otworzyć Twierdzę, no to... ach...!

Przerwał mu długi, jazgotliwy zgrzyt. Wrota Twierdzy, odpieczętowane po latach, otwierały się powoli, wpuszczając do środka światło księżyca, a na zewnątrz wypuszczając suche, zastałe powietrze. Gobliny stały przez chwilę w milczeniu, po czym rzuciły się do przodu z dziką, rozwrzeszczaną furią. Pchały się jeden przez drugiego, te większe tratowały mniejsze, najzwinniejsze skakały innym po głowach. Cytadelę Króla Licza zalała gwałtowna, śmierzcząca powódź.

KRÓL LICZ

Na Kamiennym Tronie siedział nowy Król Licz. Czuł starożytną magię Clovenstone pulsującą w żyłach. Nie osiągnęła jeszcze pełni mocy, lecz gwiazda była coraz bliżej. Drżał na samą myśl o tym, co wkrótce będzie w stanie zrobić. Spojrzał na podłogę i zrozumiał, że plamki, kleksy i zawijasy różnokolorowych metali układają się w mapę: kute srebro mórz i rzek, zielonkawa miedź lasów, brąz wrzosowisk i połyskujący mosiądz pustyni, złoto, platyna i lazuryt miast. Patrzył na świat, którym będzie rządził: grody, które zdobędzie, królestwa, które nagnie do swej woli...

I nagle spostrzegł swoich przyjaciół, przypatrujących się mu ze zmartwieniem. Przypomniawszy sobie, że w równej mierze jak Królem Liczem, jest także Henwynem z Adherak. Wzruszyły go ich stroskane twarze.

– Wszystko w porządku – powiedział, zapominając na moment o przeznaczeniu, o nowo zdobytej mocy. – Wciąż jestem Henwynem. Nie zamierzam być, no wiecie, zły... Magię można też wykorzystać do czynienia dobra, prawda? Skarper, przyjacielu, nie opuszczę cię. Patrz!

Pozwolił, by moce Clovenstone samoczynnie uniosły jego rękę, zacisnęły i rozprostowały palce. Poczuł, jak na karku

włoski stają mu dęba. Wyszeptał tajemne słowa, których nie słyszał nigdy w życiu i dziwny dym otoczył Skarpera. Kiedy opary się rozproszyły, po niechlujnym ubraniu goblina nie było śladu. Znaleziona w cytadeli brygantyna przemieniła się w lśniąca koszulkę kolczą ze srebrzystych łusek. Łapki zdobiły mu złote pierścienie, a złoty diadem okalał skronie. Nawet buty miał uszyte ze złotej skóry, frymuśnie haftowane wolnosrebrnymi wzorami i wysadzone rubinami. Skarper spojrzał na siebie i podskoczył z wrażenia. Monety sypnęły mu się z rękawów.

– Pragnąłeś skarbów? – zapytał Henwyn. – Będziesz miał ich więcej, niż śniło się najchciwszym goblinom!

Zobaczył błysk w żółtych oczkach Skarpera i napełniła go duma, że pierwszy uczynek, jaki spełnił za swego panowania, był więcej niż hojny. Czy można wyobrazić sobie lepszy sposób wykorzystania magicznych mocy, jak ziszczenie największych marzeń swoich przyjaciół?

Następnie odwrócił się w stronę księżniczki. Ned uniosła dłonie i postąpiła parę kroków do tyłu.

– Nie chcę żadnych bogactw ani skarbów, Henwynie! – zawołała.

Ponownie poczuł mrowienie magii; miał wrażenie, że wszystkie zakończenia nerwów skrzą mu energią. Chmura dymu ogarnęła księżniczkę. Po chwili się rozwiała, lecz Ned nie miała na sobie wyszukanych szat. Nadal była ubrana w połatany fartuch i ubłocone buty. Na szyi ciągle miała ten sam naszyjnik ze zwykłych otoczków. Jednak zmarszczki na jej twarzy zlagodniały, wygładziły się, rozpląnęły. Długie siwe włosy nabrały złotego połysku. Popatrzyła na dłonie, które cały

czas trzymała wyciągnięte przed sobą. Wszelkie niedoskonałości i przebarwienia starości zniknęły jak ręką odjął. Znow była młodą dziewczyną, piękną i gładką, jak w ten pamiętny wtorek przed laty, kiedy to Fraddon Olbrzym zabrał jej okręt ze wzburzonych fal przy Łbie Choon. Dotknęła ostrożnie pozbawionych zmarszczek policzków, a Henwyn dojrzał w jej oczach zdumienie, potem lekki strach, aż wreszcie pełną zachwyty radość. A więc spełnił także jej marzenie. Któż nie chciałby raz jeszcze przeżyć młodości?

– Widzisz? – triumfował. – A jednak zdołałem cię uratować. Uratowałem cię przed czasem!

Słyszając to, Skarper z trudem oderwał wzrok od cudownych pierścieni i srebrnych bransolet, które dotąd całkowicie pochłaniały jego uwagę. Dopiero teraz zauważył przemianę księżniczki. Gdy tak na nią patrzył, pomimo swych nowiutkich skarbów, nie mógł pozbyć się nieprzyjemnego uczucia niepokoju. Naraz wróciły do niego słowa Ned o tym, co potęga i władza robią z ludźmi. Wspomniał, jak mówiła to, siedząc w przytulnej kajucie swojego statku, z podciągniętymi pod brodę nogami, z burzą siwych włosów na głowie. Lubił ją taką, jaka była wcześniej; oczywiście, teraz wyglądała ładniej, bardziej jak księżniczka z bajki, ale niezupełnie jak ona sama. Wolałby, żeby prawdziwa Ned wróciła. Tęsknił też za prawdziwym Henwynem. Chciał przyjaciela, a nie wszechmocnego Króla Licza, który ochoczo rozdawał magiczne podarki towarzyszom, a kto wie, co będzie robił wrogom...

Goblin potrząsnął łapkami i pierścienie co do jednego pospadały z brzękiem na podłogę. Zrobił krok w tył i poczuł, że wyczarowane przez Hewnyna złociste buty są ciężkie i

niewygodne. Naraz zastukały głośno po mozaikowej mapie, gdy rzucił się do ucieczki przez milczące Smokorożce i dalej na schody.

– Skarper! – usłyszał za plecami wołanie Henwyna. – Skarperze! Wróć!

Smokorożce drgnęły, wróciły do życia i puściły się w ślad za goblinem, biegnąc sztywno na kościanych, ptasich nogach.

– Stójcie! – Henwyn zatrzymał je ruchem ręki. – Zostawcie go!

Dotarłszy do szczytu schodów, Skarper zerknął przez ramię i zobaczył, że Smokorożce dosłownie zamarły w pół ruchu. Zaraz potem potknął się o swoje cudaczne buty i runął jak długi. „Rety!”, zawołał, w ostatniej chwili zwijając się w kłębek jak jeż, łapkami osłaniając głowę. Srebrzysta kolczuga dzwoniła, gdy staczał się po spiralnych stopniach.

Księżniczka Ned spojrzała na Henwyna. Nie, już nie księżniczka Ned, a Eluned. Ned było zbyt pospolitym i męskim imieniem dla tak zjawiskowej istoty.

– Boi się ciebie, mój panie – przemówiła melodyjnym głosem.

Henwyn parsknął śmiechem. Wydawało mu się niedorzeczne, że ktokolwiek mógłby się go bać. Mały Podlec wysunął pyszczek spod jego płaszcza i chłopak wymyślił kolejne zaklęcie. Jak już złapał dryg do magii, czarowanie okazało się dziecinnie proste. Pstryknięciem palców przemienił nijakiego szaroburego smoczyka w idealną miniaturkę najprawdziwszego smoka, z łuską mieniającą się najżywszymi kolorami. „O tym musi marzyć każdy smoczyk”, pomyślał. „Pragnie stać się smokiem z krwi i kości”. Mało brakowało, a nadałby mu prawdziwie smocze rozmiary, ale powstrzymał się w ostatnim momencie. Lepiej z tym zaczekać, aż będzie silniejszy i nauczy

się oswajając smoki.

Podlec czknął i wypluł niewielki pomarańczowy płomyczek. Tak bardzo go to przestraszyło, że wystrzelił w powietrze i furkocząc, odleciał szukać schronienia w misternych płaskorzeźbach okalających komnatę. Henwyn był lekko zirytowany i trochę smutny. Czyżby nikt nie doceniał jego dobroci?

– A ty? Boisz się mnie? – zapytał Eluned.

– Troszkę – odpowiedziała dziewczyna.

Wyglądała tak pięknie, że Henwyn nie mógł się oprzeć, aby zmienić również jej ubranie. Fartuch i prosty nawiersznik przeobraziły się w suknię z delikatnego jedwabiu; plamy błota zastąpiły złote sploty haftu.

– Nie obawiaj się – rzekł uspokajająco. – Nie jestem taki jak on... – Wskazał na prochy dawnego Króla Licza, rozsypane na stopniach przed tronem. – Zrobię wiele dobrego. Ta magia tylko czeka, by jej użyć, wiesz? Takiej potęgi nie można pozostawić samej sobie. Trzeba ją ujarzmić. Jak dzikie rumaki. Clovenstone mi w tym pomoże. Sprowadzę rzeki na pustynie Zandegaru! Wzniosę wspaniałe pałace dla swoich sióstr, a dla ojca serownię nad serownię! Obalę tyranów i okrutnych władców! Na przykład tego warchoła, króla Choon; już ja mu pokażę, gdzie raki zimują!

Gdyby Ned wciąż była sobą, powiedziała by mu, że tak to się zwykle zaczyna. Najpierw chcesz ukarać złych ludzi, a potem karzesz wszystkich, którzy myślą inaczej niż ty. Droga do piekieł wybrukowana jest dobrymi intencjami. Ale nie powiedziała nic, ponieważ nie była sobą. Opadła ją zaskakująca uległość. Zaklęcie Henwyna nie tylko zwróciło Ned młodość, lecz

przemieniło ją w jego własne marzenie. Stała się wyobrażeniem, jakie miał o księżniczkach: urocza i dystyngowana, ale także potulna i nieśmiała. Stłamszona gdzieś w środku prawdziwa Ned walczyła z całych sił, żeby wyrwać się na wolność. Jednak młodziutka Eluned stała bezwolnie, ślicznie wyglądając i słuchając z podziwem, jak Henwyn snuje plany przyszłych podbojów.

– Oczywiście będę potrzebował armii! – mówił podekscytowany. – Gobliny nadadzą się w sam raz. Och, czemu Skarper musiał uciec? Zrobiłbym go swoim generałem! Dowodziłby wszystkimi goblinami Clovenstone! Cóż, trudno, wielu innych z ochotą stawi się na moje rozkazy. Bez wątpienia zapukają do wrót Twierdzy, jak tylko dowiedzą się, że ich pan powrócił...

Gobliny nie tylko pukały, również kopały i waliły w drzwi, rąbały je toporami, rozwalaly w drzazgi, jednocześnie szabrując dolne poziomy wieży ze wszystkiego, co wpadło im w łapy. Na widok nieprzebranych bogactw nietrwałe przymierze pomiędzy klanami rozpadło się w mgnieniu oka. Szajka Szalonego Manaccana rzuciła się na Czapeczki Chilli, a Wyjce starły się z Czarnymi Szponami. Każdy chciał zagarnąć najlepsze skarby dla siebie. Wkrótce nawet członkowie poszczególnych plemion zaczęli walczyć między sobą nawzajem. Podłogi skarbców pokryła śliska czerwona posoka i rozsypane monety. Upuszczone pochodnie wznieciły małe pożary z podartych gobelinów i roztrzaskanych mebli. W rozdygotanym świetle pomarańczowych płomieni cienie goblinów wojowników siekały, cięły, dźgały i młóciły jeden drugiego.

Przez sam środek kotłowniny kroczył Knobbler w obstawie

najsilniejszych i największych zabijaków. Tuż za nim dreptał stary Breslaw, a także Paplak, Walibrzuch, Buńczuk, Szarpacz i Głębciarz. Bracia Skarpera widzieli, jaki los spotkał inne szczeniaki, zgniecione na krwawą miazgę przez Czapeczki Chilli lub nadziane na włócznie Wyjców niczym szaszłyki, orzekli więc zgodnie, że najbezpieczniej będzie trzymać się srogiego króla.

– Zostawcie to! – wrzasnął Knobbler na dwóch knypków z szajki Szalonego Manaccana, niosących wielką złotą tarczę. – To moje! – ryknął i zdzielił innego szabrownika.

Za każdym razem, gdy chciał się zatrzymać, by napchać kieszenie bezcennymi klejnotami, Breslaw przysuwał się bliżej i szeptał mu do ucha:

– To tylko błahostki. Czeka cię prawdziwa nagroda, Knobblerze. Kamienny Tron, pamiętasz? Posadź na nim swój tłusty zadek, a wszystkie te błyskotki będą śmiechu warte.

Knobbler warknął i popatrzył dookoła przez wąską szparkę w wiaderkowym hełmie.

– To gdzie on jest? Ten tron?

Breslaw wskazał pazurem sufit.

– Na górze.

Z kolejnym warknięciem król Knobbler skierował się do najbliższych schodów i począł gramolić się na górę. Ledwo wspiał się parę pięt, gdy jeden z jego przybocznych, obdarzony wyjątkowo ostrym słuchem, zawołał:

– Ej! Słyszycie? Co to?

Z góry dochodził szcęk, grzechot i łoskot, początkowo ledwo słyszalny, stopniowo coraz głośniejszy. Wkrótce nawet Knobbler usłyszał go pod swoim wiadrem. Wśród narastających

trzasków i łupnięć dało się wyłowić zbolące jęki i piski, a także okazjonalne okrzyki: „Rety kotlety!”.

Nagle zza zakrętu schodów wypadło coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało jak włochata piłka. Odbiła się od półpiętra trzy stopnie nad Knobblerem i uderzyła go prosto w wydatne brzuszysko. Goblini król stracił równowagę i wpadł na Breslaw, który z kolei runął na wojaków z tyłu i wszyscy stoczyli się na dół w wielkiej plątaniu rąk, nóg, pancerzy i broni.

Knobbler pozbierał się pierwszy (to dzięki szybkiemu refleksowi został królem goblinów). Chwycił miecz i z wściekłością rozejrzał się za piłką, która zwała go z nóg. Tymczasem piłka podniosła się na czworaki i popatrzyła na niego żółtymi ślepiami.

– To ten szczawik! – zagrział Knobbler. – Jak mu tam...

Skarper zaskomlał i ponownie zwinął się w kłębek, jakby w ten sposób mógł uniknąć gniewu straszliwego króla. Nadal kręciło mu się w głowie od upadku w dół schodów i nie do końca rozumiał, skąd nagle wzięli się tu Knobbler i reszta.

Breslaw westchnął ciężko.

– Skarper – powiedział. – Co w ciebie wstąpiło, żeby zwrócić się przeciwko nam i bratać z tymi paskudnymi mienczakami?

Skarper wyjrzał spomiędzy palców.

– To nie paskudne mienczaki! To moi przyjaciele!

– Przyjaciele? – wybuchnął Knobbler, wymachując Panem Rach-Ciach. – Gobliny nie mają przyjaciół!

Skarper zapiszczał i przeturlał się w bok, o włos unikając opadającego ostrza, które wgryzło się głęboko w kamienny stopień.

– Brać go! – wołał Knobbler, siłując się z zaklinowanym mieczem.

Szczyściem gobliny nie zdążyły jeszcze wyplątać się z gmatwaniny jęczących, obitych ciał. Żaden nie zdołał schwycić Skarpera, gdy ten zerwał się na nogi i rzucił do panicznej ucieczki.

Knobbler w końcu oswobodził Pana Rach-Ciach i już miał ruszyć w pościg, gdy Breslaw złapał go za kostkę.

– W górę! – zawołał. – Kamienny Tron! Pamiętasz?

Gobliński król przytaknął.

– Leć za nim, Łajniak! – krzyknął i jego pierwszy dowódca pognał za Skarperem. Wtenczas Knobbler poprawił hełm i znów zaczął piąć się po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Domyślił się, że przyjaciele Skarpera muszą być w górnej części Twierdzy i nie chciał dopuścić, by dotarli do tronu przed nim. Biegł coraz wyżej, wyżej i wyżej, mijając kolejne półpiętra, korytarze i drzwi. Niektóre z komnat wypełniały bajeczne skarby i gobliny z jego straży przybocznej, znudzone długą wspinaczką i skuszone łupami, odłączały się jeden po drugim. Wkrótce przy królu pozostali już tylko Breslaw, a także Paplak, Walibrzuch, Buńczuk, Szarpacz i Głębciarz, którzy zanadto bali się wielgachnego pobijaka łęgomistrza, aby nawiać pod jego czujnym okiem.

Niespodziewanie schody się skończyły i mała gromadka z Knobblerem na czele wyszła na mozaikową mapę w sali tronowej.

Eluned zadrżała ze strachu. Wydarzenia niedawnych dni rozmyły się w jej pamięci, kiedy Henwyn zwrócił jej młodość. Jednak wraz z młodością wyraźnie odżyły wspomnienia z

dzieciństwa, a widok Knobblera przypomniał jej o tej okrutnej nocy, gdy ferajna z Czarnego Szpona zdziesiątkowała Smarkort, a jej rodzice polegli.

Gobliny stały stłoczone u szczytu schodów. Zobaczyły Smokorożce i Kamienny Tron. Breslaw cofnął się wraz ze szczeniakami, pozostawiając Knobblera samego przed mroczną postacią na wysokim tronie.

– Witaj! – przemówił Henwyn. – Jak cię zwą, goblinie?

Knobbler wymamrotał coś pod nosem. Czuł lęk, co było dla niego całkiem nieznanym uczuciem. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Gobliny z Clovenstone tak długo służyły okrutnej mocy Kamiennego Tronu, że odruchowo skłonił się przed tym nowym Królem Liczem.

– Knobbler – wybąkał wyraźniej. – Król Knobbler. Król wszystkich siedmiu wież.

– Wspaniale! – zawołał Henwyn. – W takim razie będziesz moim generałem, gdy zbiorę już porządną goblinską armię. Clovenstone zmarniało i podupadło, ale teraz to się zmieni, Knobblerze. Jestem następnym Królem Liczem, jak widzisz. Uklęknij zatem i przysięgnij mi wierność.

Knobbler nie ukląkł, ale wyglądał, jakby jakaś jego część bardzo chciała to zrobić. Za nim Paplak, Walibrzuch, Buńczuk, Szarpacz i Głębierz klęczeli już od dłuższej chwili.

Henwyn zeskoczył z tronu i zamaszystym krokiem ruszył przez zakrzywiony mostek. Mroczne szaty owiewały go jak dymne cienie.

– Mój panie! – wykrzyknęła zaniepokojona Eluned, ale on nie zwrócił na nią uwagi.

Smokorożce usunęły się Henwynowi z drogi, a w miarę jak

zbliżał się do Knobblera, gobliniński król schylał się coraz niżej i niżej, aż w końcu padł na kolana. Paplak, Walibrzuch, Buńczuk, Szarpacz i Głębierz płaszczyli się na podłodze z pyskami mocno przyciśniętymi do mozaikowej posadzki, a tyłkami wystawionymi wysoko w górę.

Rozległ się metaliczny brzęk, gdy Knobbler położył przed sobą Pana Rach-Ciach. Składał swą broń u stóp Króla Licza, tak jak inni goblinińscy wodzowie wiele lat przed nim. Nagle jednak usłyszał pogardliwy syk Bresława:

– Król Licz? To nie żaden Król Licz, Knobblerze! To tylko oszukańcze sztuczki i szarlataneria! Przecież to zwykły mienczak! Głupi, zasmarkany mienczak, jakich setki położyłeś trupem! Nie słuchaj go! Spójrz na tron, Knobblerze! Na tron! Nadszedł czas, by to krzeselko poczuło na sobie gobliniński tyłek!

I nagle cieniste szaty otaczające tego imponującego mężczyznę wydały się Knobblerowi niczym więcej jak iluzją. Rozwiały się, rozproszyły, a w miejscu straszliwego Króla Licza o posępnej, surowej twarzy stał jakiś obdartus, zwykły ludzki chłopak, odziany w zabłoconą tunikę, z powyginanym mieczem u pasa. W istocie był to nikt inny jak ten sam obdarty chłopak, z którym zmierzył się dwa dni wcześniej nad rzeką Oeth. Ten sam stępiony miecz, który rozwalił mu poprzedni hełm.

– Pozwolisz sobą pomiatać takiemu chłystkowi? – zapytał Bresław.

– Nigdy! – warknął Knobbler. – NIGDY! – I z gromkim rykiem chwycił oręż, który złożył w hołdzie Królowi Liczowi, by zamiast tego odrąbać mu głowę.

PROBLEMY Z MAGIĄ

Skarper biegł szybko, naprawdę szybko... Ale Łajniak był szybszy. Przerażony maluch pędził jak zając przez ciemne, sklepione korytarze Twierdzy, gnał na ślepo, nie wiedząc gdzie, a wściekłe okrzyki Łajniaka stawały się coraz głośniejsze, szczęk jego pancernych buciorów był coraz bliższy i bliższy.

Raptem z zacienionego przejścia wiodącego na kolejne schody wyskoczyła jakaś postać. Skarper, myśląc, że to inne gobliny odcinają mu drogę ucieczki, z krzykiem padł na podłogę. I dobrze zrobił, bo coś dużego i lekko błyszczącego przeleciało nad nim, uderzając Łajniaka prosto w pysk. Rozległ się głuchy brzęk, jakby pękniętego dzwonu: Łajniak zatoczył się w tył, a przyjazne ręce chwyciły Skarpera i pchnęły go naprzód, za róg, w górę jeszcze jednych schodów.

Minęło dobrych kilka sekund, zanim zrozumiał, że jest uratowany, a swoich wybawców zobaczył dopiero, gdy zatrzymali się na opuszczonym półpiętrze, aby złapać oddech.

Gobliny zapomniały o Kruczej Kapitulce, jak tylko pękła skorupa liczego kryształu, broniąca dostępu do cytadeli. Porzuceni i niemal zdeptani na śmierć czarodzieje podążyli za wojakami Knobblera i przy pierwszej okazji wymsknęli się

boczną klatką schodową, żeby uniknąć jatki i grabieży na dolnych poziomach. Szukali Kamiennego Tronu, oczywiście, ale bardzo szybko zgubili drogę. Błądzili po starych sypialniach i garderobach, grabiąc i szabrując troszkę na własną rękę.

Tylko czystym przypadkiem trafili na Skarpera, uciekającego przed Łajniakiem.

Tylko czystym przypadkiem Prawl go rozpoznał.

Tylko czystym przypadkiem Carnglaze miał w ręce ogromną patelnię, którą znalazł w jednej ze spiżarni. To właśnie nią łupnął Łajniaka. Wibrowała jeszcze od uderzenia, a na samym środku miała głębokie wgniecenie w kształcie gęby rosnącego goblina.

– Widzieliście to? – Carnglaze chichotał, poklepując czule patelnię. – Bam! To nauczy tych szubrawców, by nie zadzierać z Kruczą Kapitułą!

– A Fentongoose naprawdę potrafi czarować! – ekscytował się Prawl. – Zawołał „otwórz się!” i bariera z liczego kryształu rozpadła się w drobny mak!

– To nie Fentongoose. – Skarper pokręcił łebkiem. – To zasługa Króla Licza.

– Biedny goblin! – Tym razem Carnglaze potrząsnął głową. – Przygody pomieszały mu zmysły! Nie ma już Króla Licza, Skarperze. Nie żyje od setek lat...

– Nowy zajął jego miejsce! – wyjaśnił rozgorączkowany Skarper. – To Henwyn! Usiadł na Kamiennym Tronie! Ponoć jest potomkiem tego starego Króla Licza. I teraz rzuca czarami na prawo i lewo! Patrzcie! – Wskazał na przepyszną zbroję kolczą i jedyny but, który jeszcze miał na sobie (drugi zgubił, spadając po schodach). – Henwyn to wyczarował! I odmłodził księżniczkę

Ned!

– Henwyn? Potomkiem Króla Licza? – zaciekawiał się Fentongoose. – To by wyjaśniało, dlaczego serowe zaklęcie poskutkowało, dlaczego w ogóle wybraliśmy akurat jego! Prastare moce nie działały przez nas, lecz przez niego! – Był zawiedziony, ale jednocześnie trochę mu ulżyło. – Przepowiednie, powrót Króla Licza, to wszystko dotyczyło młodego Henwyna.

– W takim razie moc Clovenstone jest w dobrych rękach – stwierdził Prawl.

– Durniu! – wykrzyknął Skarper. – Nie ma dobrych rąk do mocy takiej jak ta! Zapomnieliście już, co mówiła Ned? Potęga i władza są jak trucizna. Poczekajcie tylko, a Henwyn zrobi się dokładnie taki jak stary Król Licz. Nim się obejrzyście, zaczniesz podbijać to i ciemnieć tamto!

– A zatem musimy go powstrzymać! – oświadczył Fentongoose. – Musimy uratować go przed nim samym!

– Jak? Czy wy w ogóle słuchacie? Ma całą magię na skinienie palca!

– Jeszcze nie – rzekł Fentongoose.

– Nie całą – zgodził się Prawl.

– Moc Clovenstone nie osiągnie pełni, dopóki gwiazda Króla Licza nie zawiśnie bezpośrednio nad cytadelą – wyjaśnił Carnglaze. – Wszysciutkie zaklęcia, jakie rzuca teraz Henwyn, to zaledwie sztuczki. Nie przetrwają poza salą tronową. Zobacz...

Z tymi słowy oderwał jedną łuskę ze złotej kolczugi goblina. Rozkruszyła się pomiędzy jego palcami niczym zeschnięty liść. Skarper popatrzył na swój wspaniały pancerz i zauważył, że pozostałe łuski też zmarniały. Dotknął ich łapką i rozsypały się

w pył. Znowu miał na sobie przydużą brygantynę.

– Możemy jeszcze go przekonać, żeby zrezygnował z tej mocy – oznajmił Fentongoose.

– I przekazał ją komuś, kto wie, jak z niej korzystać, co? – zapytał Skarper.

Stary czarownik poczerwieniał i wymamrotał coś o latach przygotowań do tego, by zasiąść na Kamiennym Tronie, a także jaka byłaby to okropna strata, gdyby cały ten trening poszedł na marne, jednak towarzysze popatrzyli na niego wilkiem.

– Jeśli czegokolwiek nauczyliśmy się podczas swoich przygód – powiedział Carnglaze – to tego, że gobliny, magię i starożytne moce ziemi lepiej jest pozostawić w spokoju. Ocalmy Henwyna, jeżeli to możliwe, a potem wracajmy do domu. Najwyższy czas znaleźć sobie bezpieczniejsze hobby.

– Ocalmy Henwyna – zgodził się Skarper – a potem rozwalmy ten paskudny tron, żeby żaden Król Licz nigdy nie powrócił!

Henwyn odchylił się w ostatniej sekundzie, bo klinga Knobblera przecięła powietrze o centymetr od jego nosa. Próbował rzucić zaklęcie, ale chociaż czuł mistyczną energię buzującą i kotłującą się dokoła, magia nie przepływała już przez niego. Nie mógł jej wychwycić ani kształtować. Nie mógł jej rozkazywać. To tron, zrozumiał nagle. Musiał siedzieć na tronie. Odwrócił się, by uciec z powrotem przez mostek, ale Knobbler stanął mu na drodze. Oddychając ciężko pod swoim wiadrem, goblini król szykował się do kolejnego ciosu. Magiczna błyskawica zaskrzyła pomiędzy rogami Clovenstone, odbijając się złowrogim błyskiem w ostrym żeleźcu Pana Rach-Ciah.

– Smokorożce! – krzyknął w desperacji Henwyn.

Ze skórzastym szelestem słudzy Króla Licza skoczyli mu na

pomoc. Reszta goblinów truchlała pod ścianą, ale Knobbler był odważniejszy od przeciętnego goblina, a Pan Rach-Ciach nie był zwykłym gobliniskim mieczem. Jedni bogowie wiedzą, gdzie Knobbler go znalazł, w jakiej zapomnianej zbrojowni czy grobowcu, lecz co do jednego nie można było mieć wątpliwości – okrutne ostrze wykuto w wielkich kuźniach Clovenstone za dawnych dni, a pomiędzy stal wpleciono straszliwe zaklęcia. (Prawdopodobnie w tamtych czasach oręż miał godniejsze imię niż Pan Rach-Ciach, zaginęło jednak w pomroce dziejów).

Szast! Prast! Frast! Czaszki trzech Smokoroźców potoczyły się po podłodze jak gniazda os ścięte u powały.

– Hurra! – wiwatowały gobliny.

– Brawo król Knobbler!

– Sardynki!

Ciach! Mach! Bach! Kolejne trzy Smokoroźce padły na mozaikową posadzkę. Ręce, głowy i wrzecionowate nogi stoczyły się do wylotu miedzianego szybu i pospadały do jeziora lawy.

Ostatni Smokorożec zdołał wyprowadzić cios w ramię Knobblera. Z rozciętej zbroi wypłynęła czarna posoka. Jednak Pan Rach-Ciach śmignął w zdradzieckiej kontrze i gobliniski król kopniakiem posłał przepołowionego kościeja w ślad za pozostałymi.

– Mienczak! – krzyknął Breslaw. – Ucieka! Powstrzymaj go, zanim dobiegnie do tronu!

Knobbler obejrzał się. Rzeczywiście, podczas gdy on był zajęty starciem ze Smokoroźcami, Henwyn skorzystał z jego nieuwagi i wbiegł na most. Król goblinów ryknął wściekle i skoczył za chłopakiem. Henwyn zrozumiał, że nie dosięgnie

tronu bez walki. Odwrócił się więc, by stawić czoło adwersarzowi, równocześnie usilnie próbując przypomnieć sobie ruchy ćwiczone na poddaszu serowni.

Właśnie wtedy u szczytu schodów pojawił się Skarper, z Kruczą Kapitułą marudzącą tuż za nim. Oczy małego goblina ze zdumienia stały się okrągłe, gdy ujrzał scenę rozgrywającą się w sali tronowej. Szczątki Smokoroźców rozrzucone po podłodze. Piękna Eluned pobladła przy kamiennym siedzisku. Henwyn i Knobbler, stojący naprzeciw siebie na wąskim moście.

Nie zauważył Bresława i swoich braci lęgowych, którzy obserwowali potyczkę, bezpiecznie schowani w cieniu. Nie spostrzegł ich, dopóki nie było za późno.

– Łapać go! – syknął Bresław i Skarper wnet został przyciśnięty do ziemi przez Paplaka i Głabiarza, podczas gdy reszta goblinów capnęła czarodziejów jednego po drugim.

Tymczasem na moście Henwyn zamachnął się na Knobblera, lecz jego klinga odbiła się ze szczękiem od kolczastej zbroi. Natychmiast zasłonił się przed kontratakami przeciwnika, jednak Pan Rach-Ciach rozsiekł używany brzeszczot w kurzawie iskier. Górna część ostrza poszybowała w dół, w dół, w dół, do jeziora lawy, chłopak zaś został z kikutem miecza w obolałej ręce. Knobbler parsknął śmiechem, ale Henwyn w przypływie desperacji pchnął gobliniego króla złamaną głownią. Sam los musiał kierować jego dłonią. Żelazo wbiło się idealnie w dziurę w pancerzu, pozostawioną przez szpony Smokoroźca, wgrzając się głęboko w bebechy Knobblera.

Wszyscy w komnacie wciągnęli z wrażenia powietrze. Gobliny zawarczały groźnie.

– Henwyn! – krzyknął Skarper.

– Och, świetna robota! – zawołali czarodzieje.

– Ufff! – wystękał Knobbler, chwiejąc się na nogach. Pan Rach-Ciach wypadł mu z łapy i brzęknął na moście. Król goblinów opadł powoli na kolana, jak namiot cyrkowy, w którym podcięto podtrzymujące go liny. Czarna krew spływała po zbroi, zbierając się w kałuży między jego kolanami.

– Aj! – jęknął. – Litości! Oszczędź mnie!

Henwyn już miał odrzucić pęknięty miecz i sięgnąć po Pana Rach-Ciach. Oto oręż godny władcy Clovenstone, pomyślał, z łatwością rozłupie łeb Knobblera na dwoje, z hełmem, czaszką i całą resztą. Chociaż jednak stał się Królem Liczem, wciąż był też Henwynem, a Henwyn nie należał do osób, które dobijają rannego, bezbronnego wroga, nawet jeśli jest to goblin. „Czy nie byłoby lepiej, myślał, rozpocząć rządy aktem łaski?”

„Nie rób tego!”, zaoponowała liczba cząstka jego duszy, zimny, okrutny głos Kamiennego Tronu, rozbrzmiewający w umyśle chłopaka. „Gobliny szanują siłę, nie łaskę!”

– Nie rób tego! – zawołał Skarper, który wyrwał się Paplakowi i Głębierzowi, a teraz biegł w kierunku mostu, aby zrzucić Knobblera w przepaść. – Nigdy nie ufaj goblinom! Poza mną, oczywiście...

– Nie rób tego! – ostrzegła Eluned z drugiego krańca mostu. – Znam tego goblina! Jestem pewna! Jest większy i silniejszy, ale to z pewnością ten sam skamlący głos! „Łaski!” Och, zabij go! Zabij go, Henwynie! To ten sam tchórzliwy zdrajca, przez którego zginęli moi rodzice w Smarkorcie!

Henwyn ściągnął wiadro z głowy Knobblera, odsłaniając przepoconą, ściągniętą bólem twarz. Wystające kły... Żółte oczy... Opaska na oku...

– Och! – westchnęła Eluned, zaskoczona. – Och, nie! To nie on! Mój błąd.

– Chyba myślałaś o mnie, gołąbeczko – zakrakał ktoś z cienia za Knobblerem. Stary Breslaw, zapomniany przez wszystkich, doczłapał do mostu i odepchnął Skarpera z drogi mocnym uderzeniem swojego edukacyjnego pobijaka. – To ja nabrałem twojego tatuśka i wpuściłem chłopaków z Czarnej Szpony do zamku, księżniczko – powiedział, wchodząc na most z paskudnym uśmiechem.

– Ostatnia bitwa, w której brałem udział. Tchórzliwy zdrajca, powiadasz? Cóż, potraktuję to jako komplement. Widzisz, jestem sprytny, a sprytni zawsze są tchórzliwi i zdrażliwi. Zapytaj młodego Skarpera. Po co ryzykować nasze łebkie głowy, skoro możemy wysłużyć się takimi tępymi osiłkami jak Knobbler?

– Kogo nazywasz tępym osiłkiem? – spytał skonfundowany Knobbler.

Edukacyjny pobijak Breslawy stuknął go w tył czaszki i król z wybałuszonymi oczami zsunął się z mostu.

– Dobra, chłopaki! – zawołał łęgomistrz do gromadki goblinów za swoimi plecami. – Poślijmy resztę mienczaków do lawy i Kamienny Tron będzie mój, a wtedy zabawimy się, mordując, plądrując i terroryzując wszystko, co się da.

– Nie przejdiesz! – Henwyn spróbował przywołać ton i maniery Króla Licza, co jeszcze przed chwilą przychodziło mu z taką łatwością. Cofnął się o krok w nadziei, że zdąży usiąść na tronie, zanim gobliny połapią się, iż nie potrafi czarować bez niego. Nie czuł się jednak pewnie, idąc tyłem po wrzecionowatej kładce nad ziejącą przepaścią. Odwrócił się, a w tym samym

momencie Breslaw podniósł Pana Rach-Ciach i wraził mu ostrze prosto w plecy.

Eluned zapiszczała. Skarper i czarodzieje krzyczeli, szarpiąc się w silnych goblińskich łapskach, które trzymały ich mocno jak imadła. Henwyn opadł na kolana, a potem uderzył twarzą o wąski most.

Jako mały chłopiec w Adherak zawsze wyobrażał sobie, że gdy już będzie bohaterem, raz czy dwa zostanie ranny. To przecież oczywiste, biorąc pod uwagę przeróżne bitwy, pojedynki i inne bohaterskie zajęcia. Blizna lub dwie były nieodłączną częścią bohaterowania. Nigdy jednak nie przypuszczał, że rana może tak bardzo boleć, ani że krew będzie tryskać takimi strumieniami. Oszołomiony, uniósł ociężałą głowę i ujrzał Eluned, wyciągającą doń alabastrowe dłonie z drugiego końca mostu. Zobaczył Kamienny Tron, czekający na niego, przyzywający. Gdybyż tylko zdołał się do niego doczołgać, gdyby na nim usiadł, wszystko skończyłoby się dobrze. Moce Clovenstone zaleczą mu rany i dadzą siłę, aby mógł rozprawić się ze zdrazieckim goblinem. Ale tron był tak daleko, wiodące na górę stopnie tak wysokie i strome. A teraz Breslaw przeszedł nad nim, przyjrzał się mu z politowaniem, uniósł zbroszoną krwią klingę...

– Ach, ależ będę miał radochę, jak zostanę Królem Liczem! – zachichotał łęgomistrz. – Ale lepiej wykończę cię już teraz, kochanieńki. Może jestem tylko starym, schorowanym goblinem, ale wiem, że tylko głupiec obraca się plecami do wroga.

Aczkolwiek zrobił dokładnie to samo, ponieważ zupełnie zapomniał o Eluned. Magia Henwyna rzeczywiście słabła i

księżniczka poczuła się bardziej sobą. Zakradła się do Bresława od tyłu i wyciągnęła swój nóż, który niestety zmienił się wraz z jej ubraniem i teraz był zaledwie wysadzaną diamentami zabawką, drogocenną błyskotką. Księżniczka odrzuciła bezużyteczny sztylecik i skoczyła na goblina. Otoczyła ramieniem jego szyję, dusząc z całej siły, gryzła go w ucho, szarpała za rękę z mieczem.

Bresław charknął, zaklął i zawył z bólu. Potknął się i dźgnął Ned pod żebra kościstym łokciem. Jak tylko dziewczyna poluzowała chwyt, oswobodził się i przerzucił ją sobie nad głowę. Z krzykiem poleciała śladem Knobblera, pęd powietrza rozwiął jej lśniące włosy do góry.

– Nie! – zapłakał Henwyn. Nic jednak nie mógł zrobić. Tymczasem Bresław, rechocząc złośliwie, zawrócił w jego stronę.

Wtem spomiędzy wysokich filarów, jak malutka piszcząca strzała, wyleciał rozpędzony Podlec. Zawirował dwukrotnie wokół głowy łęgomistrza, który machał na oślep Panem Rach-Ciach, próbując go odpędzić. Mieniąca się wielobarwnymi klejnotami łuska smoczyka zdawała się jarzyć wewnętrznym blaskiem niczym papierowy lampion. Nagle stworzonko wycofało się trochę, zawisło nad goblinem i wypluło gorący, pomarańczowy płomyczek prosto w jego pysk.

– Mój nos! – zaskrzeczał Bresław, puszczając Pana Rach-Ciach i przykładając łapę do poparzenia. – Moje palce! – dodał, gdy upadł na nie miecz. Z włosami w płomieniach skakał na ślepo, aż nagle, jakże by inaczej, spadł z mostu. Sekundę wisiał w powietrzu, unoszony ciepłym prądem, po czym runął w dół. Przez długi czas w górę szybu niosły się odgłosy jego upadku.

Słysząc było, jak obija się o miedziane ściany i zjeżdża coraz niżej. Wreszcie zapadła cisza, a nagły rozbłysk światła potwierdził, że stary goblin musiał wpaść w jezioro lawy.

Henwyn patrzył, jak błysk słabnie. A potem za upuszczonym mieczem i odciętymi paluchami Breslawa zauważył osiem poczerńiałych pazurów wczepionych w krawędź mostu.

– Pomocy! – zaskamlał Knobbler, trzymając się resztkami sił.

– Pomocy! – zawołała Eluned, uczepiona jego kostek, które złapała w ostatniej chwili.

– Puszczaj! – Knobbler wierzgnął, starając się ją zrzucić. Księżniczka pisnęła i chwyciła go za nogawki. Portki goblina zsunęły się w dół, ujawniając ogromne, różowe, falbaniaste flanelowe majtasy, na widok których dziewczyna pisnęła po raz drugi.

Henwyn przysunął się bliżej, choć z trudem. Nie miał ochoty pomagać Knobblerowi, ale nie widział innego sposobu, aby uratować Ned. Chwycił goblina za włochate nadgarstki i przyciągnął do siebie.

Jednocześnie Skarper szarpał się dziko ze swoimi braćmi.

– Puszczajcie! – warczał. – Muszę im pomóc!

Teraz, gdy nie było już Knobblera ani Breslawa wykrzykujących rozkazy, gobliny nie wiedziały, co robić. Siłowały się ze Skarperem bez większego przekonania, dzięki czemu zdołał dowlec się do mostu. Tam wszyscy zobaczyli Knobblera w różowych majtkach i z obciążniętymi spodniami, na których dyndała księżniczka. Osłupiałe gobliny puściły Skarpera, on zaś rzucił się Henwynowi na pomoc. Zaraz dołączyli do nich Fentongoose, Prawl i Carnglaze. Sapiąc, zipiąc i stękając na potęgę, wspólnie wciągnęli na most Knobblera i

Ned. Kiedy goblini król szamotał się ze spodniami, trzej czarownicy z narastającym zdumieniem przyglądali się dziewczynie. Widywali często, jak ludzie posuwają się w latach, ale pierwszy raz patrzyli na osobę, która w latach się cofnęła.

Tymczasem Skarper przecisnął się między nimi, wziął Pana Rach-Ciach i podreptał po schodkach do Kamienego Tronu. Na jednym ze stopni przycupnął Podlec, zaskoczony swoimi ognistymi zdolnościami w równym stopniu co Breslaw. Dwie smużki dymu ulatywały z dziurek jego nosa, ale smoczyk odzyskał już szarobure ubarwienie i gdy spróbował zionąć ponownie, wykaszał tylko parę cherlawych iskierek. Skarper przestąpił ostrożnie nad malcem, po czym stanął przed mistycznym tronem. Nawet gdy nikt na nim nie siedział, dało się wyczuć jego potęgę. Siedzisko wyglądało bardzo wygodnie, chociaż zrobiono je z kamienia. „Chodź, zajmij należne ci miejsce”, zdawało się mówić. „Usiądź, a zyskasz nieograniczoną władzę. Będiesz znany jako Król Skarper. Skarper Wielki. Skarper Zdobywca, ciemiężyciel tysiąca ziem”.

„Mógłbym zostać nowym Królem Liczem”, pomyślał goblin i wyobraził sobie Clovenstone odbudowane, przywrócone do dawnej świetności. Ujrzał ludzi i goblina, jak świat długi i szeroki, oddających mu hołd, czekających na każde jego skinienie.

Ostatecznie jednak nie był aż tak chciwy. Nie chciał rozkazywać innym. Nie chciał zamków ani królestw. Nic z tych rzeczy go nie obchodziło.

– Pragnę tylko cichego, spokojnego życia – powiedział, biorąc mocny zamach i z całej siły uderzając w tron Panem Rach-Ciach.
– Cisza, spokój i odrobina skarbów. Czy proszę o zbyt wiele?

Odłamek wielkości jego głowy poleciał na bok. Siedzisko pokryła sieć pęknięć, niczym cienie rzucone przez nagie zimowe gałęzie. Wysoki, przenikliwy wrzask zatrzęsł cytadelą w posadach, podłoga w komnacie zadrżała. Pozostałe gobliny, do tej pory bezmyślnie wpatrzone w majtki Knobblera, rzuciły się do ucieczki, traktując się nawzajem.

– Skarperze, nie! – zawołał Henwyn, widząc, co robi jego przyjaciel. – Mój tron!

– Głuptasie – księżniczka Ned popatrzyła na chłopaka z czułością – pozwól mu go zniszczyć. Wolimy cię, gdy nie jesteś Królem Liczem.

– Ale moja moc! – Pomimo bardzo ciężkich ran podniósł się powoli na nogi i pokuśtykał wzdłuż mostku. Był gotowy rzucić się na Skarpera, żeby tylko go powstrzymać. – Moja magia! – warknął. – Dary, które wam ofiarowałem...

– Nie możesz ofiarować tego, co nie należy do ciebie – wyjaśniła Ned.

Włosy znów jej posiwiały, zmarszczki pobruździły twarz. Słabe zakłęcie Henwyna znikło i Ned czuła, jak sztywnieją jej stawy, a ciężar lat ponownie opada na jej ramiona. Zupełnie jakby drzwi wiodące do pięknego letniego krajobrazu zamykały się powoli. Poprzez łzy spływające po znowu zwiędłych policzkach, księżniczka powiedziała:

– Daj mu go zniszczyć, Henwynie.

– Niech to robi, chłopcze – zgodził się Fentongoose. Białobrody czarodziej darł swoje szaty na strzępy, żeby Prawl mógł zabandażować rany Henwyna. – Świat będzie bez niego lepszy.

Fala czerwonej złości zalała chłopaka. „Jeśli nie jestem ani

bohaterem, ani Królem Liczem, to w takim razie kim? Czym jestem?”, myślał. „Czyżbym naprawdę był zwykłym, nic nieznaczącym serowarem?” Naraz spojrzął na kałużę krwi pod swymi stopami. „Może już za chwilę nie będę w ogóle nikim...”

Osunął się bezsilnie na kolana i patrzył, jak Skarper rozwala Kamienny Tron na kawałeczki, sypiące się w dół schodów skalistym deszczem i z brzękiem spadające miedzianym szybem do jeziora lawy.

Świdrujący wrzask narastał, w miarę jak tronu ubywało. Podłoga trzęsła się jeszcze mocniej. Ściany pozoczyły głębokie szczeliny. Skarper zamachnął się po raz ostatni. Pan Rach-Ciach uderzył w resztkę czarnej skały, rozpryskując ją w drobny mak i zarazem rozpadając się na siedem stalowych fragmentów. Spora część ściany runęła z łoskotem, odsłaniając nocne niebo zalane światłem księżyca. Kometa Króla Licza zataczała na atramentowym firmamencie łuk jak uniesiona kpiąco brew.

– Chyba powinniśmy czym prędzej zejść z tego mostu – zaniepokoił się Prawl.

– Twierdza zaraz się zawali! – krzyknął Carnglaze.

Skarper miał nadzieję, że te wszystkie wstrząsy, trzaski i pęknięcia ustaną, gdy tronu już nie będzie. Zamiast tego sytuacja tylko się pogorszyła. Jeden z wrzecionowatych kolców, wyrastających z cytadeli, złamał się i roztrzaskał na mozaikowej posadzce.

Czarownicy podnieśli Henwyna i razem z księżniczką rzucili się do ucieczki. Skarper pobiegł za nimi i w ostatniej chwili zeskoczył z mostu, który załamał się, by opaść w przepaść. Skalny pazur, na którym spoczywał tron, zaczął rozpadać się na kawałki. Podlec zatrzepotał skrzydełkami i wzbił się w

powietrze z pękających schodków. Przeleciał zygzakiem wśród sypiących się zewsząd odłamków, po czym wylądował na ramieniu Henywna i pociągnął go pyszczkiem za płaszcz.

– Jajka! – przypomniał sobie Skarper.

– Jakie znowu jajka? – zapytał Fentongoose.

– Rodzeństwo Podleca – wyjaśnił Henwyn. Wyrwał się podtrzymującym go czarodziejom i spróbował stanąć o własnych siłach, ale się zachwiał i złapała go Ned. – Obiecaliśmy! – wystękał z wysiłkiem. – Nie możemy ich tu porzucić!

– Ależ możemy! – odpowiedział Skarper, chociaż wiedział, że Henwyn ma rację. Sam wyklął się z jaja i nie mógł odpędzić myśli, że biedne, kwilące maluchy, uwięzione w twardych skorupach, zostaną zgniecione na jajecznicę przez spadające gruzy. Popchnął trzech czarodziejów w kierunku schodów. – W połowie drogi na dół znajdziecie otwarte drzwi do ptaszarni. Na ścianie wisi młotek do rozbijania jajek. Podlec wam pokaże...

Czarownicy pobiegli za smoczykiem popiskującym nad ich głowami. Skarper zawrócił do Henywna i razem z księżniczką poprowadził ранego niedoszłego bohatera w dół schodów. Za plecami słyszeli walące się iglice, dookoła sypały się odpryski szkła i kamieni.

WSZYSTKO WALI SIĘ NA GŁOWĘ

Na niższych poziomach chciwe gobliny wciąż biegały z komnaty do komnaty, kradnąc drogocenne naszyjniki, aksamitne kotary i statuetki z kości słoniowej. Były tak zajęte grabieżą i kłótniami, że nawet nie zauważyły, gdy z góry zbiegli najpierw czarodzieje, a potem Skarper, Ned i Henwyn. Skarper jednak był na tyle przyzwoity, aby zawołać:

– Uciekać! Ratuj się, kto może! Twierdza się wali!

Podłogi rzeczywiście się zatrzęśły, a za oknami mignęły odłamki spadające ze szczytu. Skarper widział czarodziejów, pędzących na złamanie karku, ale z rannym Henwynem nie był w stanie dotrzymać im kroku. Trzej mężczyźni wysforowali się do przodu i zniknęli mu z oczu. Nagle cytadelę przeszył gwałtowny wstrząs – jakby Twierdza skręcała się wokół własnej osi – a gdy hałas ucichł i opadły chmury gęstego pyłu, przyjaciele zauważyli, że schody przed nimi już nie istnieją. Patrzyli w ziejącą czeluść klatki schodowej, wypełnioną kłębam kurzu i rozdzierającym jękiem pękających rur.

– No i po schodach – powiedział Henwyn.

– I po jedynej drodze na wolność – zgodził się Skarper.

– Moglibyśmy skoczyć... – zasugerowała Ned.

Popatrzyli po sobie i milcząco uzgodnili, że jednak nie mogliby.

– I co teraz? – zapytał Henwyn.

– Nie mam pojęcia! – jęknął Skarper.

Ale po chwili już miał.

Zawrócili na górę, a przy pierwszej okazji skręcili w boczne przejścia, zatarasowane gruzem i ciałami goblinów, które pozabijały się nawzajem o drogocenne klejnoty. Wokół walały się rozrzucone monety, perły i biżuteria, ale nie było czasu, aby się po nie schylić. Podłogi chwiały się jak okręt na wzburzonym morzu. W zapyłonym powietrzu trudno było cokolwiek zobaczyć, jednak po pewnym czasie Skarper odnalazł to, czego szukał: łukowate drzwi wiodące na zewnątrz. Wyszli na wysokie mury, które wciąż jeszcze stały, chociaż krenelaż i parapet częściowo odpadły. W rogu rozkraczyła się wielgachna katapulta, a przy niej leżał stos kamiennej amunicji. Skarper przebiegł obok i wyjrzał pomiędzy popękkanymi blankami.

Biorąc pod uwagę cały ten raban i rejwach, pomyślał, chmurzanny powinny być w pobliżu.

– Hej! – zawołał w puste niebo, podskakując i machając rękami, aby zwrócić czyjąkolwiek uwagę. – Chmurzanny! Chmurne Panny! Tu jesteśmy!

– Pomocy! – dołączyła Ned.

– Pomocy! – dodał Henwyn wątlym głosem. – Pomocy! Tutaj, chmurne damy!

– No, gdzie jesteście?! Pokażcie się, chmurzaste kłębki dymu! – darł się Skarper. Wątpił jednak, by ktokolwiek usłyszał go poprzez rumor rozpadającej się cytadeli. Jedyne obłoki na niebie były obłokami kurzu i pyłu.

Nagle szczelina czarna jak środek nocy i ostra niczym zimowy cień rozcięła parapet pod jego stopami. Mury się ugięły, kamienny chodnik popękał i wybrzuszył, machina wojenna jęknęła. Fragmenty krenelazu osunęły się do urwiska, odsłaniając zawrotny widok Murów Wewnętrznych i dachów wież daleko w dole. „Stąd będę spadał jeszcze dłużej niż wtedy, gdy wystrzelili mnie z karapulty”, pomyślał goblin. „Całe wieki miną, zanim sięgnę dna”.

– Skarper! – krzyknęła Ned.

Obejrzał się z nadzieją, że to chmurzanny nadlatują swym podniebnym statkiem. Zamiast tego zobaczył księżniczkę, siłującą się z kołowrotem katapulty.

– Skarperze! Pomóż jej! – zawołał Henwyn. Sam też próbował pomóc, ale opadł na ziemię, osłabiony ciężkimi ranami.

– Och, nie – westchnął goblin, zgadując ich głupi plan.

Dokładnie w tym samym momencie spory kawałek muru, na którym akurat stał, postanowił sobie odpaść. Skarper w ostatniej chwili przeskoczył na ocalały fragment chodnika i pobiegł do przyjaciół. Chociaż katapulta przez całe wieki stała nieużywana, była w zaskakująco dobrym stanie. Skórzane olinowanie napędzające mechanizm wyglądało na równie sprężyste i wytrzymałe, jak w czasach nowości. Wyciskając z siebie siódme poty, przyjaciele zdołali w końcu nakręcić kołowrót, tak że ramię miotające znalazło się w odpowiedniej pozycji. Następnie cała trójka wspięła się do łychy.

Blanki na murach nikły w oczach, jak gigantyczne ciasto podgryzane przez wygłodniałą niewidzialną mysz. Wkrótce machina stała na samotnej wysepce, na rozchwianym kamiennym filarze. W chwili, gdy kolumna pękła i zaczęła

przechylać się na bok, Skarper wychylił się z łyżki i pchnął dźwignię spustową.

Ramię katapulty wystrzeliło gwałtownie, z trzaskiem uderzając w drewnianą ramę. Machina zsunęła się ze swojej wysepki i poleciała w dół, podczas gdy Skarper, Ned i Hewnyn lecieli w zupełnie przeciwnym kierunku: w górę, prosto w bezkresne przestworza.

– Aaaaaaaaaaaaaaaaa...! – krzyčili chórem.

W tym czasie na samym dole Prawł, Fentongoose i Carnglaze dotarli do głównej bramy bez większych problemów. Jeśli jakiś goblin próbował ich zatrzymać lub wejść im w paradę, natychmiast przeganiał go Podlec na czele piszczącego stadka nowo wyklutych smoczyków, które krążyły nad głowami czarodziejów ze skrzydełkami wciąż jeszcze wilgotnymi. Jednak znaczna większość goblinów uciekała gdzie pieprz rośnie, nie zważając na Kruczą Kapitułę. Po drugiej stronie bramy odłamki cytadeli torpedowały ziemię, a chmara goblinów biegała jak bezgłowe kurczaki, z trudem unikając kamiennych pocisków. Niespodziewanie gigantyczna, uskrzydłona głowa posągu zmiażdżyła przebiegającego Wyjca i rozprysła się w ostre drzazgi, które z grzechotem uderzyły o pękające ściany.

Czarodzieje przystanęli, osłaniając twarze przed chmurami pyłu i skalistym gradem, po czym popatrzyli w górę na Twierdzę. Nie przewracała się łagodnie, jak ścięte drzewo: raczej załamała się pod własnym ciężarem i jak niebotyczny wieżowiec implodowała do środka. Zapadała się sama w siebie, prosto w rozszczepiony górski szczyt, z którego powstała stulecia temu. Dookoła sypały się dodatkowe elementy, doczepione ongiś przez Króla Licza: wieżyczki i machikuły,

rynienki i gargulce.

– Co z resztą budynków? – zawołał Prawł, przekrzykując ogłuszający rumor. – Też się rozpadną?

Fentongoose pokręcił głową.

– Cytadela jest inna. Pozostałe budynki zbudowali ludzie. Powinny przetrwać. Chyba że Twierdza na nie upadnie...

Ledwo to powiedział, jedna z wysokich wież grzmotnęła z hukiem o ziemię. Ogromny trebusz oblężniczy stoczył się ze znikającego muru i rozpląszczył pechowego goblina z Czapczek Chilli. Krucza Kapituła w asyście młodych smoczyków ukryła się w niszy nieopodal bramy. Byli tam względnie bezpieczni, ponieważ nisza nie stanowiła części Twierdzy, wykuto ją w litej skale Meneth Eskern. Gobliny wciąż biegały jak oszalałe. Niektóre ciągnęły za sobą worki pełne zdobycznych łupów, inne łączyły się w skłócone bandy, próbujące ocalić drogocenne łodzie i powozy. Jednak nawet najchciwsze z nich zdały już sobie sprawę z niebezpieczeństwa i schowały się w tym samym miejscu co czarodzieje. Wyglądało na to, że nie przeszkadza im dzielenie schronienia z mienczakami.

– To by było na tyle. Koniec Twierdzy – westchnął smutno Fentongoose. Na ich oczach niebosięźna cytadela malała z minuty na minutę, składała się do wewnątrz jak teleskop.

– Tak będzie lepiej – podsumował Prawł. – Mieliliśmy z nią tylko kłopoty.

Przez chwilę nikt nic nie mówił, bowiem hałas spadających skalnych odłamków i cytadeli zapadającej się w podziemne jaskinie zagłuszał wszystko. Z epicentrum destrukcji trysnęły strumienie wzburzonej lawy, pałające pomarańczowym

blaskiem w ciemnościach. Kilka ostatnich kamulców rąbnęło o ziemię jak uderzenia kowalskiego młota. Chmury duszącego pyłu, jakie przesłoniły niebo, zaczęły powoli osiadać. W miejscu dawnej Twierdzy rozciągała się absolutna pustka, a centralnie nad nią wisiała gwiazda Króla Licza.

Podlec wystartował w powietrze, a za nim poleciało stadko smoczyków. Wzbijały się coraz wyżej i wyżej, szukając jakichkolwiek śladów Henwyna i reszty przyjaciół. Ich piskliwe, smutne okrzyki ginęły w rumorze osuwających się skał.

– Biedna księżniczka Ned – zmartwili się czarodzieje, gdy wreszcie zapadła cisza. – Biedny Henwyn. Biedny Skarper...

– ...aaaaaaaaaaaaach! – Henwyn, Skarper i księżniczka lecieli gwałtownie w dół. Z początku trzymali się kurczowo siebie nawzajem, ale w pewnym momencie rozdzielił ich pęd powietrza i od tamtej pory spadali osobno – trzy pojedyncze plamki krzyczące jednym głosem.

I właśnie wtedy Skarper go zobaczył – lśniący w blasku zachodzącego księżyca chmurny okręt, sunący po niebie z prędkością błyskawicy. Obłoczek zręcznie wyminął upadającą basztę i zatrzymał się dokładnie pod trójką przyjaciół. Chmurzanny stały na pokładzie; wyciągały ręce, a zaniepokojone twarzyczki zwróciły do góry.

– Złapiemy cię, o książę! – zawołała Rill.

– Szybko! – dodała druga chmurzanna. – Nie możemy zwlekać zbyt długo, ta paskudna kurzawa zabrudzi nam chmurkę...!

– Ależ oni spadają tak szybko, jak mogą, Bree! Szybciej już się nie da. Takie jest prawo, eee..., grawitacji.

– Och! Spójrzcie, siostry! Znów ma ze sobą tego wstrętnego

goblina...

– Przyleciały! – krzyknął Skarper do pozostałej dwójki, która miała oczy szczelnie zamknięte. Machając łapkami i ogonkiem, podleciał bliżej do Henwyna i Ned, aby mogli razem wylądować na chmurce. W ostatniej chwili również zacisnął powieki, szykując się na zderzenie z miękkim obłoczkiem, podczas gdy chmurzanny odsunęły się, by zrobić im miejsce...

Rozległ się dziwny dźwięk, przypominający rozdieranie prześcieradła. Towarzysze mieli wrażenie, że wpadli w bardzo gruby i mokry wełniany materac, uczucie skądinąd bardzo dobrze znane Skarperowi. Gdy chmurzasta masa spowolniła jego upadek, goblin wczepił się łapkami w ścianki otworu, jaki wybił w obłoczku, i wylazł na górę. Obok księżniczka Ned niepewnie gramoliła się z własnej dziury. Skarper chwycił ją za rękę i wciągnął na pokład, gdzie czekały chmurzanny. Wszystkie oczywiście zebrały się wokół miejsca, w które wpadł Henwyn.

– Nam nic się nie stało, jeśli chcielibyście wiedzieć – obwieścił Skarper, wkurzony, że chmurzanny interesowały się tylko chłopakiem. Żadna nie zaszczyciła go choćby spojrzeniem.

– Och, nie! – wydyszała Ned.

Skarper przepchnął się pomiędzy zachmurzonymi chmurzannami i spojrzął w dziurę po upadku Henwyna.

Przechodziła przez chmurę na wylot. Dziurka w kształcie serowara-pajacyka, jak w zabawce w dopasowywanie kształtów dla małych dzieci. Widać było przez nią czarne drzewa i ruiny na ziemi.

– Był z was najcięższy – powiedziała Rill.

– Chmura była tutaj cieńsza... – dodała jedna z jej siostr.

– Przeleciał na wylot!

– Musi nadal spadać!

– Och, biedny Henwyn! – zapłakały wspólnie chmurzanny. Kurz i pył zrujnowanej Twierdzy zabrudziły im buzie, a duże, szare łzy skapnęły na Mury Wewnętrzne, tysiące stóp poniżej.

Henwyn spadał dalej w zupełnej ciszy, zbyt zaskoczony, by krzyczeć. Strzępki chmury łopotały na wietrze między jego zaciśniętymi palcami. Leciał twarzą do góry, wpatrzony w malejący obłoczek. Pocieszał się myślą, że dzięki temu nie będzie widział twardych skał, pędzących mu na spotkanie z zawrotną szybkością. Nie zobaczy ostrych kamiennych odłamków, rozbitych dachówek i pogiętych zardzewiałych rynien, szczyrzących się jak wygłodniała paszczyka. Nie zobaczy rozległych placów i chodników, o które za sekundę rozbije się jak jajko.

Nagle uderzył o coś z taką siłą, że prawie wypluł płuca.

Z drugiej strony spodziewał się, że będzie znacznie gorzej. Na czymkolwiek wylądował, było to zaskakująco miękkie i elastyczne. Po paru sekundach poczuł pieczenie w piersiach i nagłą chęć zaczerpnięcia oddechu, a to musiało oznaczać, że jeszcze żyje. Uchylił ostrożnie jedną powiekę i ujrzał nad sobą wielką jak balon głowę.

– Wszystko w porządku, maleńki człowieczku? – zagrzemiał Fraddon.

Henwyn leżał w czapce, w którą złapał go gigant. Dyszał ciężko i nie mógł zebrać myśli.

– Zszedłem z gór, jak tylko usłyszałem całą tę kotłowaninę – wyjaśnił Fraddon. – Martwiłem się, że możecie być w niebezpieczeństwie. A potem zobaczyłem, jak spadasz z nieba.

Widzę, że starej Twierdzy już nie ma. Jakby tego było mało, zaczęło padać...

Chłopak poczuł krople deszczu na twarzy. Z nieba spłynęła brudna chmurka. Dziura, jaką w niej zrobił, była już częściowo załatana. Chmurzanny, umorusany goblin i księżniczka w średnim wieku wyglądali zza chmurkowej krawędzi, a nad nimi w świetle księżyca latały małe smoczyki.

DŁUGO I SZCZĘŚLIWIE

Kometa zwana Liczym Światłem i Gwiazdą Króla Licza (choć w innych światach miała jeszcze inne nazwy) pędziła w bezkres kosmosu, zajęta własnymi sprawami. Nie miała pojęcia, że sprawiła aż tyle kłopotów, nie mogła przecież wiedzieć, że wolnosrebrny pył z jej ogona rozbudzał magię na każdej mijanej planecie. Przeleciała nad księżycem i w mgnieniu oka na jego powierzchni wyrosły lasy białych drzew, które zwracały blade listowie w stronę jej srebrzystego blasku jak stokrotki do słońca. Dwukrotnie okrążyła świat i starożytne czarodziejskie siły powróciły. Trolle znów wynurzyły się z rzek, giganty zeszły ze wzgórz, węże morskie i syreny wypłynęły na plaże w Kolendrze, a kolejny wykład doktora Quesneya Thezy o tym „Czemu magia nie exystuje” został przerwany przez rozzłoszczoną wróżkę, która wleciała przez okno i zdzieliła go w wielce uczony nos.

Tym razem nie było nikogo, kto zapanowałby nad żywiołakami. Nikt nie utworzył z nich armii. Żadna mroczna wieża nie kusila ludzi, żeby wykorzystali magię do własnych, samolubnych celów. A mimo to wiele prastarych istot, które rozbudził przelot komety, skierowało się do Clovenstone. Tam,

zamiast nowego Króla Licza, czekała na nich księżniczka Eluned z przyjaciółmi.

Wielka Twierdza obróciła się w perzynę, a wśród wstrząsów i drgań, które towarzyszyły jej upadkowi, rozpadły się także spore fragmenty Murów Wewnętrznych. Jednak goblinie wieże wciąż górowały nad okolicą, otaczając kręgiem szczyt Meneth Eskern. Gdy okręt księżniczki został naprawiony, Fraddon zaniósł go na czubek Czarnej Szpony. Stamtąd Ned miała świetny widok na pola i ogrody, które gobliny z jej polecenia zakładały na południowym zboczu.

Z początku niezbyt podobał im się pomysł ogrodnictwa. Woląły wykorzystywać motyki, grabie i szpadle do bijatyki, zamiast do pielienia, grabienia i kopania. Wkrótce jednak zmieniły zdanie. Większość najsilniejszych, najchciwszych i najniebezpieczniejszych goblinów zginęła w ostatniej utarczce w cytadeli, albo rozgniotły je spadające gruzy, gdy próbowały ratować swoje skarby. Mniejsze i słabsze wydawały się zadowolone ze zmian i chętnie słuchały księżniczki Ned, Władczynie Clovenstone. W krajach ludzi krążyły już pogłoski o Królowej Goblinów. („Ale znacznie lepiej jest bez królów i królowych”, tłumaczyła Ned goblinim klanom. „Każdy, kto narzuca swoją wolę innym, sprawia tylko kłopoty. Tak długo, jak nikomu nie dokuczacie ani nikogo nie krzywdzicie, możecie robić, co tylko dusza zapagnie. Chociaż byłoby miło, gdybyście posadzili jabłonie wzdłuż starego placu defilad przy Południowych Wrotach”).

Sadzonki jabłonek dostarczyła całkiem niedawno karawana, która przyjechała do Clovenstone przez Wrzosowiska Oeth. Wysłał ją Carnglaze wkrótce po tym, jak opuścił Kruczą Kapitułę

i udał się do domu w Kolendrze. Kilka błyskotek, jakie zabrał z Twierdzy, uczyniło go najbogatszym kupcem w mieście słynącym z bogatych kupców. Bardzo chętnie handlował z mieszkańcami Clovenstone, wymieniając zwykle towary na przeróżne cacuszka i bibeloty, które ocalały z cytadeli – aż trudno było uwierzyć, jak wiele skarbów bystre goblinie oczy mogły wypatrzeć pośród ruin.

Carnglaze wykupił nawet słynny magiczny wóz Króla Licza, Rolls-Royce'a „Srebrny Cień”, który kilku wyjątkowo przedsiębiorczych Wyjców wyciągnęło z Twierdzy tuż przed jej upadkiem. Zamówił nowe koła u najlepszego kołodzieja i teraz, ku zazdrości wszystkich kupców z Kolendry, jeździł swym niecodziennym pojazdem zaprzężonym w czwórkę siwków.

Osobisty ochroniarz Carnglaze'a stał na stopniu przy drzwiczkach, wzbudzając równie dużo zainteresowania co sam „Srebrny Cień”. Był nim nie kto inny jak Knobbler we własnej osobie. Zhańbiony król uciekł z Clovenstone po upadku cytadeli. Wiedział, że nigdy już nikomu nie będzie królował. Jaki goblin słuchałby jego rozkazów, odkąd plotki o różowych majtasach obiegały wszystkie wieże? Mógł się wściekać i krzyczeć, mógł karać i bić, ale rozzuchwalone gobliny tylko chichotały i wymyślały coraz to nowe dowcipy o jego gatkach. Dlatego też zdecydował się na wygnanie, żalując z całego serca, że nie skończył w jeziorze lawy. Po drodze przez wrzosowiska natknął się na Carnglaze'a, któremu tak było żal pogiębionego goblinie wodza, że zaoferował mu pracę.

Wszystko ułożyło się wyśmienicie. Będąc jedynym goblinem w Kolendrze, były król cieszył się ogromną popularnością, a pod nowiutką elegancką zbroją nosił nie tylko majtki, lecz również

skarpetki i podkoszulek pierwszej jakości, idealnie dopasowane do jego pokracznej postury przez mistrzynię tkactwa z bieliźniarskiej dzielnicy. Jego nowy pracodawca też był zadowolony, ponieważ wystarczyło jedno spojrzenie na pokaźne mięśnie, mocarne pięści i zakazaną gębę Knobblera, żeby wszelkim włamywaczom i rzezimieszkom natychmiast przeszła ochota na włamywanie się do rezydencji Carnglaze'a czy rzezania jego ciężkich mieszkań.

Pozostali członkowie Kruczej Kapituły postanowili zostać w Clovenstone. Kiedy księżniczka Ned napomknęła, że z wielką chęcią porozmawiałaby czasem z tak uczonymi mędrkami, Fentongoose i Prawl byli tak zaskoczeni i mile połączani, że ktoś uważa ich za mędrków, iż zupełnie zapomnieli o planach powrotu do domu i skończenia z badaniem magii. Z zamięłowaniem przeczesywali komnaty podcierek każdej z wież w poszukiwaniu zwojów i ksiąg wiedzy tajemnej, jakie dałoby się uratować. (Teraz podcierki i tak nie były już potrzebne, gdyż karawany Carnglaze'a przywoziły całe paczki mięciutkiego i wyjątkowo chłonnego papieru toaletowego. Chociaż księżniczka Ned musiała bez przerwy przypominać goblinom, żeby robiły z niego użytek).

Wśród innych dóbr dostarczanych przez kupców znalazły się krowy. Czerwone krasule z przyjaznych ziem błyskawicznie zasmakowały w trawie porastającej wzgórza za Murami Zewnętrznymi. Henwyn nauczył goblina, jak je doić i wypasać. Chłopak wysłał też wiadomość do rodziny w Adherak i wkrótce jego rodzice i siostry pośpieszyli gościńcem przez wrzosowiska, wioząc stare serowe kadzie, niezbędny sprzęt i tajniki serowarskiej wiedzy. Z początku obawiali się goblinów, ale Ned

szybko ich uspokoiła. Nie minęło wiele czasu, a Henmor doszedł do wniosku, że gobliny mają naturalne uzdolnienia w sztuce warzenia serów. Stary serowarski mistrz ogłosił nawet, że sery z Clovenstone niebawem zasłyną w całych Zachodnich Krainach. (Zdążył już wybaczyć synowi zniszczenie serowni. Zresztą o wiele większy i nowocześniejszy warsztat zbudowano za część skarbów, które Henwyn zdobył w ruinach Twierdzy. Chłopak postanowił wbrew wszelkim zwyczajom przekazać go w ręce Herdy, Gerdy i Lynt).

Przez mniej więcej miesiąc od zniszczenia cytadeli wszyscy byli przekonani, że jezioro lawy do cna zapchały gruzy i nigdy już nie pojawią się nowe skałojaja. Aż nagle pewnego dnia ze szczelin spękanego szczytu wyłoniła się gromadka dezorientowanych goblinich szczeniaków. Mrużąc ślepia w jasnym świetle dnia, od razu zaczęły rozglądać się za kamieniami i pałkami, którymi mogłyby walić się po łebkach. Przeprowadzono więc krótkie dochodzenie i wnet okazało się, że zbiornik lawy w jaskini zmałał, ale nie zniknął (teraz bardziej jest to sadzawka niż jezioro) i nadal od czasu do czasu wypływał nowe jaja. Tunele, które prowadziły do pieczary, zawaliły się co do jednego, ale po kilku tygodniach ciężkiej pracy udało się udroźnić przejścia z Czarnej Szpona i Wyjca, a Fentongoose został pierwszym mienczakowym łęgomistrzem. Przeprowadził się do Wyjca i tam nauczał młode goblinki historii gobliniego rodu.

Minęło sporo czasu, zanim rana Henwyna w pełni się zagoiła, a jeszcze więcej, nim chłopak przestał się wstydić, że tak łatwo uległ złowrogiej mocy Kamiennej Tronu. Było mu okropnie głupio, że mało nie został następnym Królem Liczem.

– Zawsze myślałem, że jestem bohaterem – zwierzył się Ned i Skarperowi. Był już koniec lata i cała trójka siedziała na szczycie Murów Wewnętrznych, pogryzając jabłka i obserwując Podleca, który bawił się w berka z resztą smoczyków w zagajniku na dole. Gwiazda Króla Licza, widoczna w świetle dnia, wisiała wysoko na zakurzonym błękitnym niebie.

– Ależ ty jesteś bohaterem! – wykrzyknęła Ned. – Bez wahania ruszasz przyjaciołom na ratunek, nie boisz się walczyć z potworami...

Henwyn pokręcił głową.

– Te wszystkie tęskne uczucia, ta ciekawość magii i pragnienie przygód... to jego krew wzywała mnie do Clovenstone. Chciałem tylko zasiąść na Kamiennym Tronie. To on mnie tu przywiódł.

– A więc jesteś jeszcze większym bohaterem – powiedziała stanowczo księżniczka. – Mogłeś mieć ogromną moc, ale udało ci się z niej zrezygnować. To najbardziej heroiczny czyn, o jakim kiedykolwiek słyszałam. – Gdyby wciąż była młoda, z przyjemnością by go wtedy pocałowała, ale niestety nie była, dlatego też zadowolili się przyjacielskim kuksańcem. A potem wstała i wróciła na statek, ponieważ piekła akurat babeczki i chciała sprawdzić, czy są gotowe.

– Jesteś tylko troszkę przygnębiony i tyle – odezwał się Skarper, kiedy sobie poszła. – Tak to już jest z tymi przygodami. Kiedy masz ich pod dostatkiem, są strasznie przerażające i koszmarne niewygodne. W butach chlupie ci bagienna woda, łapki masz utyłane i mokre, wszystko cię boli, a wszędzie czyhają wygłodniałe potwory, żeby schrupać cię na kolację. Myślisz wtedy tylko o tym, że masz dość przygód i chcesz jak

najszybciej wrócić do domu. Ale kiedy przygody dobiegną końca, zaczniesz za nimi tęsknić. I znowu chciałbyś wyruszyć na jakąś wyprawę.

Rozważali to przez dłuższą chwilę, podczas gdy wielkie białe obłoki płynęły po letnim niebie, rzucając gęste cienie na lasy porastające ruiny.

– Problem z brakiem przygód tkwi w tym – rzekł w końcu Henwyn – że jest wtedy raczej nudno. Nudno w miły, bezpieczny sposób, ale jednak nudno.

Skarper skończył jabłko i wyrzucił ogryzek w powietrze, gdzie chwycił go jeden ze smoczyków. Świetnie mu się wiodło, odkąd upadła Twierdza. Przyjemnie było obserwować zmiany, jakie zaszły w Clovenstone. Miał swoją własną kajutę na statku Ned i zdążył uzbierać całkiem pokaźny skarbczyk ze świecidełek porzrzucanych na gruzowisku. A jednak nieustannie czegoś mu brakowało. Podczas tych ciepłych wieczorów u schyłku lata nie mógł odpędzić myśli o szerokim, niezbadanym świecie poza Murami Zewnętrznymi. Oczami duszy wciąż widział dalekie krainy na mozaikowej mapie w sali tronowej Króla Licza.

– Wydaje mi się – powiedział – że czeka nas jeszcze masa przygód. Na świecie jest więcej miejsc podobnych do Clovenstone. Miejsc wciąż tętniących magią.

– Ponoć w Barragan jest rozpadlina, która wiedzie do samych piekieł w Podświecie – zauważył Henwyn. – A w Musk czarownicy latają na magicznych dywanach.

– Latające dywany? – Skarper prychnął i pomachał do Rill, bo chmurzanny przelatowały akurat w pobliżu (uformowały swój obłoczek na kształt litery O, żeby smoczyki mogły śmigać przez

środek, jak szczeniaczki przeskakujące przez obręcz). – Twój problem polega na tym, że wierzysz we wszystkie brednie, jakie usłyszysz.

– W krajach Lamparcich Królów podobno są całe góry ze złota! – kontynuował Henwyn, ignorując przyjaciela.

– Złoto, co? – zamyślił się Skarper. – I pewnie w tych odległych krainach żyją jakieś inne gobliny...

– Powinniśmy zobaczyć to na własne oczy! – wykrzyknął Henwyn. – Tylko my dwaj! Skarper i Henwyn: nadzwyczajni poszukiwacze przygód! Eksploratorzy dzikich ostępów! Wierni towarzysze w doli i niedoli! Z moją biegłością w szermierce i twoim sprytem...

– Biegłością w szermierce? Rzeczywiście, lepiej będzie, jeśli pójdę z tobą! – uśmiechnął się Skarper. – Gdyby puścić cię samego, pewnie sprzedałbyś cały swój dobytek za garść magicznych fasolek czy coś...

– Oooch! Magiczne fasolki? – zawołał Henwyn, nagle zaintrygowany.

– Oczywiście – ciągnął Skarper – czasem będziemy wracać do Clovenstone. Żeby odpocząć, napić się herbatki i opowiedzieć księżniczce Ned o naszych odkryciach...

– Clovenstone zawsze będzie na nas czekać – powiedział Henwyn, ale wzrokiem błędził już po horyzoncie, marząc o przedziwnych opowieściach z obcych i tajemniczych krajów. – Jesienne Wyspy... – wyszeptał. – Góry Lodowego Kryształu na Krańcu Świata...

– Podwieczorek gotowy! – zawołała Ned i dwaj przyjaciele poczuli apetyczny zapach świeżo upieczonych babeczek. Podnieśli się, niemal gotowi, by wrócić na statek, jednak

przystanęli jeszcze na chwilę, wpatrzeni w srebrzystą linię wilgotnego gościńca wiodącego od Zachodniej Bramy przez wrzosowe łąki. Szeroka droga rozciągała się z południa na zachód, biegła przez wrzosowiska i wzgórza, niknąc w dalekim błękicie, zwiastującym obietnicę nowej przygody.

Podziękowania

Serdeczne podziękowania dla moich redaktorek, Marion Lloyd i Anny Solemani. Dla Sama, od którego wszystko się zaczęło. Dla Jeremy'ego Levetta i Sary McIntyre za pomoc i rady. A przede wszystkim dla Eluned Gramich, która pozwoliła mi skorzystać ze swojego imienia.